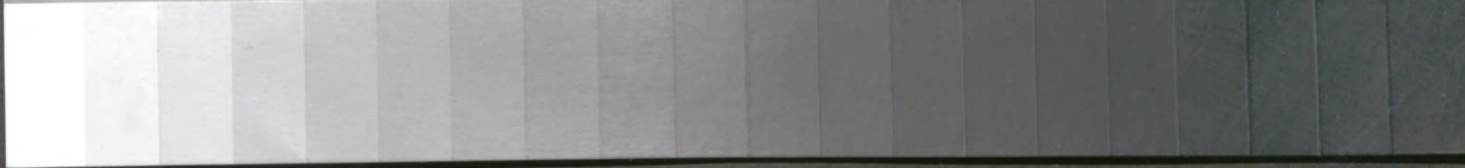




Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19





**ISKIERKI
WARSZAWSKIE**



„Nowości Literackie“

Wincenty Lutosławski



ISKIERKI WARSZAWSKIE

SERJA PIERWSZA

Z portretem Autora.



RM

WARSZAWA, ___ 1911
NAKLADEM KSIĘGARNI
St. Sadowskiego, Złota 1.



9225/1

Przedmowa.

Dnia 4-go Listopada 1908-go roku przybywałem do Warszawy, po przeszło dziewięciomiesięcznym ¹⁾ objeździe Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, gdzie wygłosiłem setki wykładów o Polsce na kilkunastu wszechnicach i w kilkudziesięciu instytucjach naukowych, a także na licznych zebra-

¹⁾ Wyjechałem z Liverpool 5 Paźdz. 1907 roku; przybyłem do Bostonu 14 Paźdz.; do Asheville 29 Listop., do Częstochowy w Texasie 8 Grud., do Los Angeles 13 Grud., na wyspę Santa Catalina na Spokojnym Oceanie 3 Stycznia 1908 r., do S. Francisco 7 Marca, do Santa Helena 10 Marca, do Salt Lake City 4 Kwietnia, do Chicago 17 Kwiet., do Madison 4 Maja, do Detroit 6 Czerwca, do Niagara falls 20 Czerwca, do Scranton 27 Czerwca, do Reading, Pa 7 Lipca, do Lake George 13 Lipca, do Bostonu 15 Lipca, do New York 19 Lipca, skąd wyjechałem 21 Lipca i wróciłem do Liverpool 28 Lipca 1908 roku.

niach rodaków, organizowanych gdziekolwiek przybywałem.

Byłem pierwszym Polakiem, zaproszonym przez Amerykanów pragnących pouczenia o Polsce — wykłady moje w wielu miejscach po raz pierwszy głosiły obcym i rodakom radosną nowinę, że *Polska to wielka rzecz*.

A dowodząc tego tylu tysiącom ludzi w tylu odległych miejscach, marzyłem o powrocie do kraju, o udziale w pracy, której się spodziewałem w budzącej się do intensywniejszego życia stolicy narodu. Sądziłem, że pozyskam stałe a liczne grono rodaków, co zechcą wysłuchać wszystkiego, com z trudem i wysiłkiem zdobył dla nich w wędrówkach i rozmyślaniach.

Pierwszy wykład w Filharmonji Warszawskiej d. 23-go Listopada 1908 roku wobec blisko 2000 ludzi zdawał się ziszczać te nadzieje¹⁾.

Dalsze wykłady w grudniu miały nie mniejsze powodzenie. Różne towarzystwa ubiegały się o urządzenie wykładów — lecz w Styczniu 1909 roku już ilość słuchaczy

¹⁾ Pierwszy ten wykład, wydany osobno p. t. „Darwin i Słowacki“ nie wchodzi w skład niniejszego tomu.

bardzo malała i wkrótce musiałem zamilknąć, bo zbrakło i słuchaczy i organizatorów dalszych wykładów.

Wyższe kursa naukowe, którym jeszcze z Londynu ofiarowałem moje usługi na tych samych warunkach, co inni wykładający — nie raczyły nawet odpowiedzieć na moje zgłoszenie.

Redakcje pism, które z początku chętnie przyjmowały moje artykuły i zaraz je drukowały — po kilku miesiącach zaczęły mnie traktować z obojętnością, oniemiał z lekceważeniem, a nawet zdarzyło się kilkakrotnie, że zamówione u mnie artykuły, napisane według ich własnych wymagań na ich życzenie, zwracały jako nieodpowiednie. Tak postąpiły ze mną redakcje Biblioteki Warszawskiej, Przeglądu Narodowego, Dziennika Powszechnego i Kurjera Warszawskiego. Kurjer Warszawski nadto zatracił kilka moich rękopisów, choć za nie z góry zapłacił. Tygodnik Ilustrowany zwracał mi prawie każdy artykuł, który do tego pisma przeznaczałem.

Jednym słowem, po największem w życiu powodzeniu i po najliczniejszych dowodach uznania, z jakimi się spotkałem w Ameryce, nastąpiła dla mnie bezpośrednio epoka największych upokorzeń i niepo-

wodzeń w tem mieście, w którym się urodziłem, (6 Czerwca 1863 roku) w stolicy narodu, dla którego już 25 lat pracuję naprzemian naukowo i społecznie. ¹⁾

Jedyną ofertą pracy wychowawczej w szkołach polskich warszawskich, była propozycja pana Rontalera, by uczni 4 klasy uczyć angielskiego języka, co skwapliwie przyjąłem—lecz po kilku tygodniach musiałem się uznać za niezdatnego do wykładu przedmiotu, którego nigdy dosyć gruntownie jeszcze nie zgłębiłem.

A że majątek mój wydałem na studia i doświadczenia społeczne, więc musiałem na życie zarabiać. Urodzony jako kapitalista, dobrowolnie i świadomie stałem się robotnikiem, szukającym pracy zarobkowej z powodzeniem na obczyźnie, z trudem w stolicy własnego kraju.

Z kilkudziesięciu moich uczni, co mi pomogli wydać kapitał, żaden nie poczuwał się

1) Pierwsze dwie moje prace naukowe wyszły w 1885 roku—jedna przyrodnicza p. t. *Das Gesetz der Beschleunigung der Esterbildung, Beitrag zur chemischen Dynamik*, Halle 1885,—druga filozoficzna p. t. *Ueber die Konstanz des phonetischen Charakters, w Internationale Zeitschrift für allgemeine Sprachwissenschaft*, Bd. II S. 393, Leipzig 1885.

teraz do jakiegoś obowiązku pomóżenia mi, choć niektórzy nieźle zarabiali, mając stałe stanowiska nauczycielskie w szkołach rządowych galicyjskich.

Gdy nareszcie w Styczniu 1910 roku dalszy pobyt w Warszawie wskutek aż nadto wielu odemnie całkiem niezależnych okoliczności stawał się coraz to więcej utrudnionym i oniemał już niemożliwym, musiałem z wielkim żalem i bez nadziei powrotu nareszcie opuścić stolicę Polski, aby znów jak obieżysas, bezdomny człowiek i tułacz szukać gdzieś na obczyźnie środków utrzymania.

Opuściłem niewdzięczną Warszawę 9-go Kwietnia 1910 roku, po siedemnastomiesięcznej próbie osiedlenia się w tem rodzinnem mojem mieście, które zawsze na mnie robiło przygnębiające wrażenie swą pustotą, rozpusztą i lekkomyślnością.

Pobyt w Warszawie był zresztą przerywany wykładami w Kijowie, Petersburgu, Humanu, Łucku, Berdyczowie, Wilnie, Poznaniu, Krakowie, Lwowie, Włocławku, Radomiu i Siedlcach. Tylko dzięki tym wyjazdom mogłem zarobić na utrzymanie, bo sama Warszawa, gdybym na niej poprzestał, zagłodziłaby mnie bez litości.

A jednak ten pobyt w Warszawie, pomimo licznych niepowodzeń i trudności, dał mi pierwszą okazję intensywniejszego nieco udziału w prasie polskiej, bo choć wiele moich artykułów redakcje zwracały, to niektóre bywały drukowane.

Otóż te artykuły, pisane dla zarobku, o ile udało mi się zachować wycinki, zbieram teraz w jedną całość jako „Iskierki Warszawskie”.

Są to bowiem iskierki z tej samej kuźni, z której w tym samym czasie pobytu w Warszawie wyszło kilka dzieł obszerniejszych — jak „Rozwój Potęgi Woli przez psychofizyczne ćwiczenia”, „Ludzkość Odrodzona”, „Nieśmiertelność duszy i wolność woli” i „Jak tanio podróżować: wędrówki iberyjskie”.

Dołączam także niektóre artykuły o dziesięć lat starsze, dotyczące polemiki z Prusem, Rodziewiczówną i Orzeszkową o wartość dóbr i własności materialnych w porównaniu z moralnymi. Zdaje mi się, że w owych pierwszych „iskierkach” z mego warsztatu myśli wyraziłem prawdy, które i dziś zbyt mało są uznane, a pozostają bardzo doniosłymi dla zycia narodowego.

Zbiór tych moich prac publicystycznych jest niezupełny, bo nie zachowałem wycin-

ków wszystkiego, co pisałem, a trzebaby całe roczniki wielu pism przeglądać, żeby dziś wszystko zebrać.

O ile obecny tom *Iskierek Warszawskich* będzie miał powodzenie, to starczy materiału na drugi tom podobny, a nawet na więcej, gdyby wszystkie takie *iskierki*, rozproszone po wielu pismach polskich i obcych zebrać razem.

A choć te artykuły dotyczą rozmaitych przedmiotów i po części nawet dzieł, których znaczenie minęło, to łączy je osobistość autora, wyrażająca zawsze i wszędzie swą odrębność, wynikającą szczególnie ze skupienia indywidualnych myśli i uczuć stale i poważnie w okół pewnej zasadniczej sprawy, która stanowić powinna treść główną życia Polaka w obecnej dobie.

Podobnie jak malarz wyciska piętno swego pędzla na każdym obrazie, tak samo i myśliciel, który przywykł myśleć własne myśli, zawsze czytelnika pobudzi do myślenia w pewnym określonym kierunku, choćby poruszał rzeczy na pozór nie mające nic wspólnego między sobą.

A ten kierunek myśli, który mi daje pewne prawo głosu w naszej literaturze, to myśl Polaka, skupiającego samodzielnie doświadczenie wszechświatowe dla dobra swego na-

rodu, nie w celach jakiegoś egoizmu narodowego, lecz dla tego, że tylko silna indywidualność jednostki może złożyć jakieś istotne ofiary narodowi, tylko silna indywidualność narodowa ma znaczenie dla uduchownienia i zjednoczenia ludzkości.

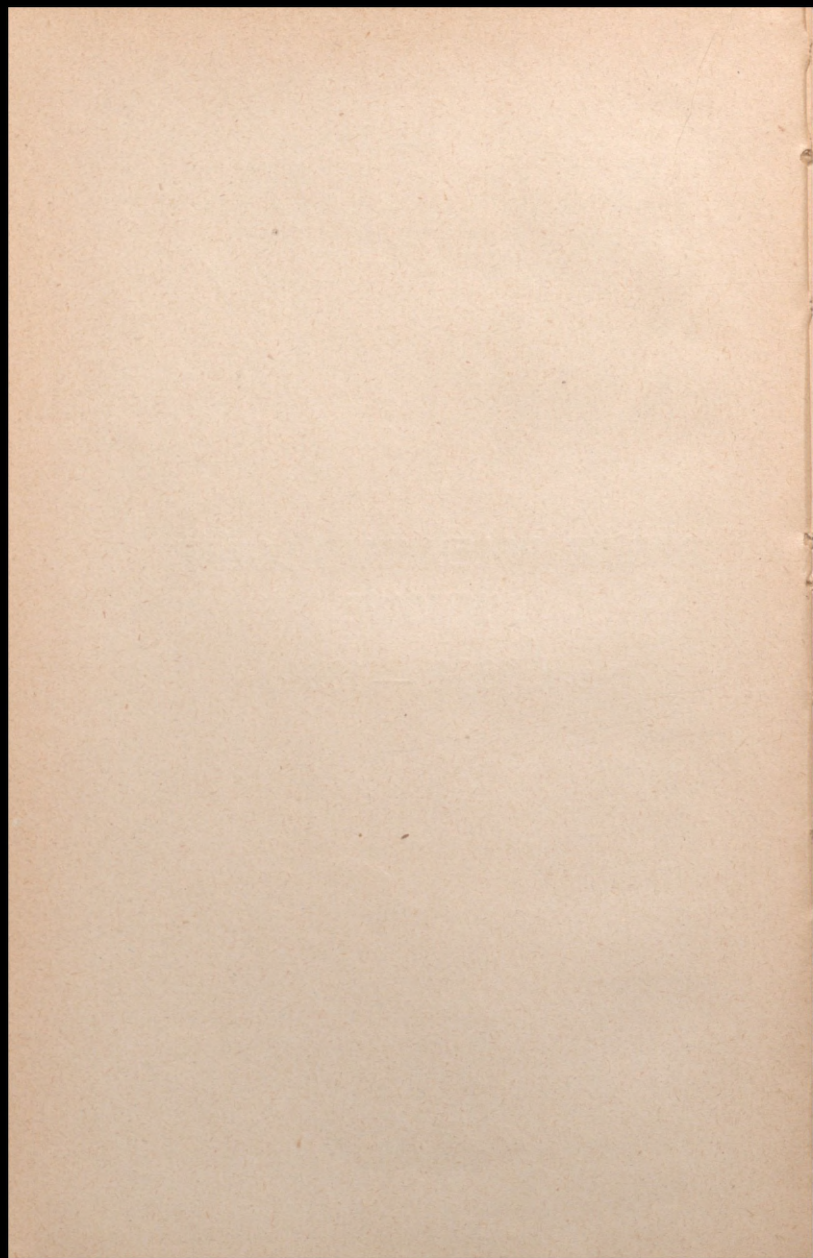
Trzeba przecie być kimś, aby z siebie ofiarę złożyć, bo kto nikim i niczem nie jest, nic też nikomu dać nie może.

Wincenty Lutosławski.

I.

DAWNA POLEMIKA O DOBRĄ
DUCHOWE

z r. 1898 — 1899.



W 1898-m roku, po trzyletnim pobycie w Hiszpanji, gdzie byłem pogrążony w pracy nad dziełem angielskiem „Plato's Logic“ (London, Longmans 1897) i nawet pism polskich nie otrzymywałem, wróciłem do kraju z zamiarem wznowienia nauczycielskiej działalności, przerwanej w 1893-m r. ustąpieniem z katedry filozofji w uniwersytecie każańskim.

Wtedy zacząłem czytać niektóre wydawnictwa ówczesne i napisałem o nich szereg artykułów tak odbijających od panujących powszechnie poglądów, że wyzwały one polemikę dosyć ostrą, a w szczególności pobudziły ks. Czeczotta, Prusa i Orzeszkową, do wystąpienia przeciwko mnie.

Poruszone tematy pozostają żywotne i dziś, choć te kilka powieści ówczesnych, które stały się powodem polemiki, prócz jednego Podfilipskiego, nie zachowały trwałego znaczenia. Przytaczam przeto poniżej nie tylko moje artykuły, ale i niektóre krytyki przeciwko mnie wówczas skierowane, zachowu-

jąc tekst tego com napisał bez zmiany, a zaznaczając dzisiejsze me poglądy na te same sprawy, o ile się różnią od dawnych, w przypiskach. Były to pierwsze moje występy w prasie codziennej i tygodniowej polskiej — po których zaniechałem takich okolicznościowych wynurzeń przez prawie dziesięć lat aż do 1908-go roku.

Współpracownictwo w „Kraju Petersburskim,“ z którego dążeniami politycznymi nigdy się nie zgadzałem, tłumaczy się tem jedynie, że z ówczesnych redakcji polskich jedynie redakcja „Kraju“ usilnie nalegała, bym dla niej pisał, pozostawiając mi zupełną swobodę co do wyboru tematu i co do stanowiska przezemnie zajmowanego. Sądziłem przeto, że dobrze uczynię, zyskując głos wolny i niezależny w piśmie, które choć często pod względem politycznym bałamucilo swych czytelników, było jednak najszerszej czytane szczególnie na kresach, i dosyć starannie redagowane. Dla tego też pisałem wówczas także w „Przeglądzie Polskim“ oraz w „Czasie Krakowskim“, który jednak rychło się na mnie poznał i wyrzekł się mego współpracownictwa.

I.

Fałszywa Filozofja.¹⁾

Z powodu dzieła: Józef Weysenhoff — „Żywoć i myśli Zygmunta Podfilipskiego“.

Dzieło to doznało w Warszawie niezwykłego powodzenia. W ciągu kilku tygodni rozechwytało pierwsze wydanie (półtora tysiąca egzemplarzy), a obecnie wychodzi drugie.

Autor przedstawia, w formie wspomnień osobistych Jacka Ligęzy, satyryczną biografię bohatera, człowieka, który „umiał sobie życie urządzić“ i uważał się za szerzyciela zachodniej cywilizacji w naszym barbarzyńskim kraju,

Pomysł tego utworu cokolwiek przypomina Taine'a „*Mémoires de Monsieur Graindorge*“ — choć naturalnie sam Graindorge do Ligęzy ani do Podfilipskiego wcale niepodobny.

¹⁾ drukowane w „Kraju” № 30 z 1898 r.

W obu dziełach chodzi o przedstawienie próżnego życia pewnej klasy światowców, przekonanych o własnej wartości, choć w społeczeństwie grają rolę trutniów. W obu dziełach autorzy przedstawiają swoich bohaterów bez oburzenia, z pewną nawet wyrozumiałością u Taine'a, a z bardzo łagodną ironją u Weyssenhoffa. Czytelnik Taine'a odnosi wrażenie, że ten świat pracowitych próżniaków ma pewne estetyczne znaczenie — zaś Weyssenhoff dość wyraźnie szydzi z takiej estetycznej doniosłości.

Podobieństwo formy obu utworów sięga dalej. Taine równie, jak Weyssenhoff, wybrali za najwłaściwszą dla tego przedmiotu formę luźnych notatek, z tym samym odcieniem biograficznej autentyczności, który cechuje dzieła Swifta i wielu innych satyryków. W obu dziełach mamy na zakończenie testament nieoczekiwany, w obu przeciwstawienie typu sługi-próżniaka typowi pana-próżniaka.

Ale na tem się podobieństwo kończy. Taine przedstawił zbiorowego bohatera — całe towarzystwo paryzkie — zaś Weyssenhoff, zgodnie z polskim indywidualizmem, dał nam typ jeden, bardzo wyraziście przedstawiony, tak, że jeślibyśmy nawet nigdy w życiu takiego Podfilipskiego nie spotkali, gotowibyśmy

uwierzyć autorowi, że istnieje. Przytem Podfilipski ma pewne cechy swojskie, odróżniające go od jego paryzkich kolegów.

Nasamprzód gardzi wszystkim, co polskie, uznając bezwarunkową wyższość zagranicy. Gdy bohaterzy Taine'a szczerze zachwycają się pięknymi paniami, Podfilipski, jako egoista konsekwentny, na kobiety patrzy z góry i widocznie je sobie lekceważy.

Biedną panią Darnowską przykuł do siebie, naraził ją na lekceważenie swoich przyjaciół—a gdy mu się sprzykrzyła, kazał jej zostać nauczycielką. Nie dość tego; chciał pokazać znajomym, że na każde jego skinienie opuszczona i lekceważona przezeń kobieta do poprzedniego trybu życia powróci.

Eksperyment się nie udał: Podfilipski wcale się nie zawahał, jak autor nam delikatnie daje do zrozumienia, obmówić dawną kochankę przed tymi, w których domu znalazła przytułek, aby straciła miejsce i została w ten sposób zmuszoną zdać się na łaskę lub niełaskę swego dawnego tyrana. Długo uciemiężana dusza zbuntowała się nareszcie, przy pomocy szlachetnej pani Aliny.

Ta pani Alina już w innych okazjach ośmieliła się stawić czoło Zygmuntowi Podfilipskiemu, który sądził, że pożyczając jej mężowi kilkadziesiąt tysięcy rubli, na zawsze

zaskarbił sobie wszelkie jej względy. Ale jawnej walki Zygmunt nie lubił i starannie unikał starć bezpośrednich. Wolał tajemniczo usuwać przeciwników, jak np. litwina Kołczanowicza, który mu się naraził przez swoje oburzenie na dekadentyzm Delickiego.

Materjalne powodzenie zawdzięczał pan Zygmunt nie pracy, ale znajomości słabości ludzkich. Więc np. umiał grać w karty, a nawet w ruletę tak, aby nigdy nie być narażonym na straty, przez co zwiększał prawdopodobieństwo wygranej. Umiał się przypodobać bogatszym, pochlebając ich próżności, a ze znajomości z nimi ciągnął grube zyski, jako tajny agent różnych przedsiębiorstw. Przywykł osobistą korzyść materjalną stawiać ponad wszystko, więc wyćwiczył swój umysł w wyszukiwaniu kombinacji niezawodnych: znał się na koniach, umiał operować na giełdzie; we wszystkich grach i zakładach częściej zyskiwał, niż tracił.

W ten sposób syn ubogiego dzierżawcy dorobił się bez pracy miljonowego majątku. Dochodami z tego majątku szafował szczerze dla własnej przyjemności.

Więc ubierał się, jadł, pił, podróżował zbytkwownie i wykwintnie. Dla służby swej był hojnym panem, a czasem nawet na ja-

kiś cel ogólny chętnie sypał złotem, jeśli był o to proszony przez osoby wpływowe.

„Lubił życie w jego najwybujałszych okazach, a czując się godnym wszelkich przywilejów losu, oburzał się, gdy te przywileje były mu odmawiane lub poprostu niedostępne“.

Obok tego głównego bohatera zarysowują się różne postacie drugorzędne, scharakteryzowane przez autora bardzo zręcznie. Tak np. lokaj Zygmunta, Hans Rożek, występuje kilkakrotnie, jako niezbędny towarzysz swego pana, i oplakuje nawet śmierć jego z naiwnem uznaniem wielkości nieboszczyka.

Charakter Zygmunta uwydatniony jest przez kontrast z bratem jego Tomaszem, mającym przeciwległe usposobienie, a zwłaszcza zdolność do silnego przywiązania i sympatji.

Widzimy też parę typów szlachty wiejskiej, jak pan Apolinary, szczytający się tem, że gazet nie czyta, pan Jan, broniący przeciw Zygmunтови wartości polskiej publicystyki, Wyżewski, żyjący nad stan i pozostawiający po śmierci rodzinę w nędzy.

Obok nich występują obywatele wiejscy, stale osiedli w Warszawie, jak Kostka i Granowski, współzawodniczący między sobą

przepychem swych przyjęć, Szreński pracując naukowo i społecznie.

Dopełniają obrazu: plotkarz Łatacki, literat-dekadent Delicki, malarz sportowy Dudar, poważny litwin Kołczanowicz, członek wiedeńskiej Rady państwa Zbarazki i lekko-myślny syn jego Alfred, nie licząc osób bezimiennych, jak literat obchodzący swój jubileusz, mówcy wygłaszający mowy na tym jubileuszu, dwie panny, o które się Zygmunt starał bezskutecznie, tancerz pijany na balu u Kostków, lichwiarz słynny z dobroczynności i t. d.

Kobiet występuje mniej, ale każdej autor poświęca więcej miejsca, niż typom mężczyzn: oprócz bratowej Zygmunta, Aliny, kochanki jego Darnowskiej, jej towarzyszkę Malwinę, mamy fabrykantkę opinji Odęcką, dzielną wdowę Wyżewską i rozwódkę, Elizę, która wyszła powtórnie za mąż za Kostkę.

Wszystkie te osoby widzimy w pewnym stosunku do głównego bohatera i są one widocznie wprowadzone jedynie, aby lepiej uwydatnić postać główną.

W tym samym celu autor opisuje rozmaite zebrania, jak wyścigi, kwestę w kościele, jubileusz zasłużonego pisarza, wielki bal u Kostków i kilka obiadów w różnych restauracjach.

Wszystko to się składa na obraz bardzo wyraźny pewnego sposobu życia, którego celem jest zabawa, a jednym z ważnych środków gastronomja.

Może kto powie, że typ Podfilipskiego jest karykaturą i że tak konsekwentnego egoisty nigdzie nie ma. Ale każdy szczegół tej postaci jest wzięty z życia, i trzeba przyznać autorowi rację, gdy twierdzi, że Podfilipski był typowo taki, „jacy my jesteśmy w Warszawie na pewnych wyżynach społecznych“.

Autor z wielką bezstronnością i artyzmem przedstawił w jednym idealnym typie tę chorobę, która oddawna trawi znaczną część przedstawicieli większej własności: chorobę pogoni za przyjemnością i rozrywką osobistą bez oglądania się na jakiegokolwiek ogólniejsze cele.

W kilku ustępach podaje też Weyssenhoff swoją receptę lekarstwa na zło, przezeń przedstawione. Szreński (str. 156) wskazuje, jako takie lekarstwo, zajęcie się na serjo poważnemi sprawami, a Kostka podaje, jako środek do przeprowadzenia spraw ważnych, „miłość ogólnego celu (str. 255), wzajemne zaufanie i mężką zgodę“.

Szkoda, że autor nie sięgnął trochę dalej i głębiej, możeby nam jeszcze jaśniej,

wskazał, z kąd się bierze choroba i jakie na nią lekarstwo jest pomocne. Prawdziwe źródło choroby tej tkwi w utracie zasadniczych przekonań moralnych, które mogą uchronić człowieka od krańcowego egoizmu, nawet jeśli jeszcze nie dojrzał do czystej i bezinteresownej miłości.

Miłość jest przywilejem dusz wyjątkowych, zaś dla większości potrzebna jest inna zachęta, żeby zwalczać wrodzone samolubstwo. Samolubstwo jednej duszy, skoncentrowane w krótkim przeciągu jednego życia ludzkiego, wydaje Podfilipskich. Gdy zdołamy nawet krańcowe samolubstwo rozcieńczyć, rozkładając je na żywot wieczny,¹⁾

¹⁾ Występuje tutaj myśl zasadnicza wpływu wiary i świadomości nieśmiertelności duszy na etykę i moralność—myśl którą już przedtem opracowałem w kilku rozprawach angielskich, mianowicie:

1. On the difference between knowledge and belief as to the immortality of the Soul. (the Journal of speculative philosophy, vol XXII p. 436, New York, Dec. 1893).
2. The Ethical consequences of the doctrine of immortality. (International Journal of ethics, April 1895).
3. In search of true Beings. (The Monist, p. 351, Chicago 1896).

obietując osobiste korzyści w przyszłości za doczesne ustępstwa i poświęcenia, samolubstwo najgorsze łagodnieje. Samolubów nie możemy zmienić odrazu na ludzi dobrych, ale możemy stępić ostrze ich samolubstwa, jeśli ich przekonamy, że zyskują na tem, by nie wyzywać zbyt mocno zemsty Bożej.

Więc Podfilipski jest tak bezwzględny egoistą głównie dla tego, że czyni swe obrachowanie tylko na kilkanaście lub kilkadziesiąt lat, drwiąc z ostrzeżeń tradycji religijnych. Wiary narzucić nie można, więc jeśli coraz to większe zastępy ludzi praktycznych się jej wyrzekają, to zachwianą równowagę przywrócić można jedynie, zastępując wiedzą to, co odpadło z utratą wiary.

Tego, że wiedza taka prawdziwa o życiu ludzkim i celach jego istnieje, autor zdaje się nie domyślać. I owszem, wyraźnie drwi z jej nazwy nawet, którą w licznych ustępach stosuje do sofizmów swego bohatera!

Weyssenhoff, podobny w tem do Sienkiewicza, ma widoczne uprzedzenie do filozofji. Tak, jak Sienkiewicz w „Quo vadis“ filozofem nazwał oszusta, pochlebcę, wydrwigrusza Chilona—tak Weyssenhoff wciąż nazywa filozofją poglądy Podfilipskiego (str. 15, 74, 79, 104, 122, 171, 173, 275, 300, 336, 343 etc). Nie można tego brać za ironję—

i owszem widać, że autor całkiem na serio pozostaje na stanowisku zupełnego sceptycyzmu co do filozofji, tak samo jak autor „Bez dogmatu“. Jednak ta doczesność życia, na którą Podfilipski (również jak i niektórzy bohaterzy Sienkiewicza) taki nacisk kładzie, nie jest bynajmniej ostatnim wyrazem nauki.

Prawdziwa filozofja już od czasów Platona bezustannie otwierała badawczym umysłom dalsze horyzonty, nie żądając ślepego zaufania do świadectw osobistych. Sam Weysenhoff przyznaje kilkakrotnie brak wszelkiej gruntowniejszej wiedzy u swego bohatera.

Skoro więc zpoza satyrycznej maski zdradza swe potępienie próżnego życia, wyrządza wielką krzywdę czytelnikom mniej obeznanym z nauką, powiększając istniejące już i bez tego powszechne uprzedzenie przeciw filozofji.

Wielu samozwańców i sofistów nadużywało tego wyrazu i szerzyło fałszywe doktryny pod mianem najwyższej nauki. Jednak filozofja przetrwała wszystkie te oszczerstwa, i dziś z taką samą pewnością i ścisłością dowodzi nieśmiertelności duszy i opatrnościowego kierunku spraw ludzkich, jak dwa tysiące lat temu.

Filozofja ta jest przystępną tym właśnie, których sam autorytet wiary nie zadawalnia, i posiada trwałą siłę skierowania zbłąkanych dusz na drogę obowiązku i prawdy.

Jeśli ktoś cierpienia i wady obecnego pokolenia tak jasno pojmuje i tak obiektywnie przedstawia, jak Weysenhoff lub Sienkiewicz, to nie powinien jednocześnie używać swego wpływu dla osłabienia zaufania ogółu do filozofji, wprowadzając na scenę z mianem filozofów takich ludzi, jak Chilon lub Podfilipski.

Pewną niedokładność terminologii widać i w tem, że wyraz „indywidualizm“ jest używany w znaczeniu „egoizm“, i to nawet w tym sensie, jak gdyby indywidualizm był w sprzeczności z miłością bliźniego.

Indywidualizm jest zaś w istocie poglądem teoretycznym, nietylko nie wykluczającym miłości bliźniego, ale nadającym jej dopiero prawdziwe znaczenie. Bo dla przeciwników indywidualizmu, czyli uniwersalistów, nasz bliźni wcale nie jest istotnie inną osobą, zatem miłość bliźniego jest rodzajem miłości własnej.

Zaś indywidualistą jest ten, który uznaje odrębność i niezależność jednostek, posiadających siłę miłości lub nienawiści. A więc indywidualizm, cechujący zresztą dążenia



polskiej myśli oddawna, nie powinien być obmawiany, jakby miał być równoznacznym z egoizmem. Podfilipski jest egoistą i nie zasługuje na miano indywidualisty, którem go autor zaszczyca, a jeszcze mniej na miano filozofa.¹⁾

¹⁾ Termin indywidualizm jest tu jeszcze użyty w znaczeniu bardzo szerokim, bo autor wtedy jeszcze nie miał jasnego i dojrzałego pojęcia o stosunku swej jaźni do Stwórcy. Artykuł ten pisany na dwa lata przed nawróceniem się autora na wiarę katolicką, które nastąpiło 12 Listopada 1900 r. w Krakowie, wywołał krytykę ks. Czczotta, również nieobeznanego z filozofją, jak Weysenhoff lub Sienkiewicz. Ks. Czczott twierdził, że tylko w kościele można znaleźć pewność co do nieśmiertelności duszy i celów życia. Na tę krytykę odpowiedziałem w artykule następującym.

II

O Prawdziwą Filozofję.¹⁾

Przypisek redakcji Kraju:

(Artykuł literacki p. Wincentego Lutosławskiego, umieszczony w № 30 „Kraju“ o powieści p. Weyssenhoffa: „Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego“, wywołał uwagi ks. Czeczotta, a te znów —replikę, przyslaną obecnie przez p. Lutosławskiego. Ponieważ kwestja z torów literatury wchodzi w dziedzinę zagadnień specjalnie naukowych, które nie mieszczą się w programie „Kraju“, przeto replikę zmuszeni jesteśmy podać w skróceniu i na niej zamykamy dyskusję).

Ks. Czeczott szukał filozofji „*w lesie systemów*“, które jakoby „*przebrzmiwały bez śladu*“. Nic dziwnego, że jej nie znalazł, tem bardziej że do filozofji, według dawnego warszawskiego obyczaju, zalicza wszelkie „*izmy*“,

¹⁾ Drukowane w № 47 „Kraju“ z 1-go Grudnia 1898 r. Z zachowanej uwagi redakcyjnej widać, jak trudno było wówczas o poważniejszą dyskusję filozoficzną nawet w piśmie, które mnie gorąco zapraszało do współpracownictwa, lecz bało się zarazem niepokoić swoich klerykalnych i ugodowych czytelników.

jakie mu się pod pióro nawinęły: pozytywizm, deizm, ateizm, sceptycyzm, cynizm, a nawet egoizm, który Nietzsche'go do pomieszania zmysłów doprowadził.

Pojęcie filozofa określił Platon w Rzeczypospolitej ¹⁾ i pozostaje ono dotąd niezmiennie prawdziwym. Filozofem jest ten, co poznawszy główne działy wiedzy ludzkiej i wywyciwszy na nich swój umysł, zwróci się do badania istoty Bytu wogóle, a zadania życia naszego w szczególności, uwzględniając poszukiwania swoich poprzedników na tem polu.

Taki człowiek nie dba o rozkosze zmysłów, ani o bogactwo, ani o zaszczyty, ani o sławę—tylko całą siłą swego ducha szuka prawdy, wielbi piękno i dąży do ideału dobra. Wyniki swych badań wyraża w dziełach dostępnych dla dusz do niego podobnych, lub w rozmowach z uczniami, którzy się doń dobrowolnie zgłaszają.

¹⁾ Ob. moje dzieło: „*The Origin and Growth of Plato's Logic*“, London 1897, w którym na licznych szczegółach jest wykazana zgodność Platona z nowszą filozofją, a także uzasadniony pogląd na Platona, jako na twórcę logiki i filozofji wogóle.

Takim filozofem był Platon, a po nim wielu innych, jak np. Arystoteles, Plotyn, Augustyn, Tomasz, Kartezjusz, Leibnitz, Kant, Hegel, Fichte, Herbart, Krause, Lotze etc.

Do tych wielkich myślicieli wcale nie byli podobni ambitni sofiści, jak np. Protagoras, F. Bacon, Voltaire, Comte, Hartmann, Nietzsche i t. p., którzy ani wiedzy powszechnej nie ogarnęli, ani dawniejszych filozofów gruntownie wcale nie poznali, tylko rościli przesadne pretensje do wielkiej własnej zasługi, jak gdyby się od nich wiedza poczynała. Filozof każdy prawdziwy szukał związku i łączności z poprzednimi myślicielami i budował na podstawach przez pracę poprzedników stworzonych, z wdzięcznością uznając ich zasługi.

Tylko oszczercy filozofji puścili plotkę, jakoby filozofowie wzajemnie sobie przeczyli we wszystkim: różnaitość tak zwanych systemów na pozór potwierdza to mniemanie, ale kto dobrze pozna dzieła wielkich myślicieli, ten zawsze się przekona, że wszyscy godzą się w wielu kwestjach zasadniczych, a sprzeczności pozorne wynikają głównie z usiłowań skierowanych ku udoskonaleniu terminologii, wskutek czego ten sam wyraz u różnych autorów miewa różne znaczenie. W podobny sposób jedno i to samo zadanie

matematyczne można rozwiązać, posługując się różnymi symbolami, a ta różnaitość symbolów lub nawet metod, nie osłabia zaufania naszego do trafności wyników.

Ktoś z matematyką nieobeznany, mógłby dojść do powierzchownego sądu, że matematycy sobie wzajemnie przeczą, skoro dla rozwiązania tego samego zadania używają różnych symbolów i metod. Matematyk z takim krytykiem wcaleby nie dyskutował, tytkoby mu poradził, by lepiej poznał owe różne rozwiązania.

Można i w filozofji przytoczyć wiele przykładów, zdobytych za pomocą metod na pozór przeciwnych. Np. materialista Demokryt, idealista Platon, panteista Spinoza, krytycysta Kant, panenteista Krause, realista Herbart — wszyscy zgadzają się na takie ważne i zasadnicze twierdzenie, jak to, że lepiej jest krzywdę ścierpieć, niż ją komu wyrządzić. A prawdy tej filozoficznej nie pojmuje Chilon ani Podfilipski.

Prawdziwych filozofów i dziś nie brak na ziemi, a nawet jest ich więcej, niż kiedykolwiek. Kto chce się o nich dowiedzieć, ma i w naszej literaturze bardzo dobre źródła, jak np. „Dumania“ Gołuchowskiego, lub świeżo wydany „Wstęp do filozofji“ Struvego.

Na wezwanie, bym wskazał, jaką jest prawdziwa filozofja, mogę tylko zaznaczyć, że dotąd wszystkie siły i cały mój czas poświęcałem temu zadaniu, służąc z wielką chęcią tym, co mej pomocy w zdobywaniu wiedzy filozoficznej żądali.¹⁾

Ale nie poczuwam się do obowiązku werbowania sobie uczni sztuczną propagandą, bo w filozofji, jak w każdej nauce, ci, co prawdy szukają, sami sobie znajdują kierowników. Prawdy filozoficzne nie są tak nowe, ani tak rażące, iżby mogły wzbudzać ciekawość tłumów, jak promienie Röntgena, lub Kocha terapia suchot.

O istnieniu prawdziwej filozofji świadczy rosnąca ciągle literatura filozoficzna,²⁾ zwiększająca się w ciągu ostatnich dziesięcioleci.

¹⁾ Ob. także artykuły: „O obecnym stanie filozofji” i „O metafizyce współczesnej” w „Bibliotece Warszawskiej” za sierpień 1888, marzec i maj 1889 roku; „O znaczeniu i zadaniach historii filozofji” w „Ateneum” za czerwiec 1892 r. i „Czas”, „Descartes”, „Determinizm” w „Wielkiej Encyklopedji Powszechnej Ilustrowanej”, Warszawa 1895—6 roku.

²⁾ Ob. ostatnie wydanie (ósme) Ueberwega: *Grundriss der Geschichte der Philosophie*, Berlin, 1897, gdzie także pomieszczono przegląd filozofji polskiej—i nowy kwartalnik wychodzący w Warszawie: „Przegląd Filozoficzny”.

Liczba katedr filozofji w naszych i obcych uniwersytetach, powstawanie coraz to nowych pism periodycznych, poświęconych wyłącznie filozofji, zakładanie licznych stowarzyszeń filozoficznych we wszystkich cywilizowanych krajach, ciągle wznawiane badania nad dziełami każdego wielkiego myśliciela, ogłaszane w różnych językach i cieszące się wielkiem literackiem powodzeniem.

Tego ruchu żadne wysiłki obskurantyzmu nie powstrzymają, skoro dziś pragnienie wiedzy dla wielu stało się najsilniejszą potrzebą. Dotąd jeszcze środki i warunki zadowolenia tej potrzeby pozostawiają wprawdzie wiele do życzenia: na całej ziemi niema ani jednej biblioteki, któraby w zupełności odpowiadała słusznym wymaganiom badaczy, — ani jednego uniwersytetu, gromadzącego wszystko to, co do wyczerpujących studjów filozoficznych jest potrzebne.

Ale pomimo tych braków, badania na wszystkich polach wiedzy ludzkiej postępują, a postęp wiedzy oddziałują na udoskonalenie warunków społecznych. Każdy krok na tej drodze wytwarza ułatwienia dla studjów i badań.

Dotychczas wojny niszczyły wiele owoców pracy fizycznej i umysłowej. Dziś po-

trzeba wiecznego pokoju,¹⁾ dotąd okrzyczana, jako bezpłodne marzenie filozofów, została już uznana przez wszystkie rządy Europy; więc wzrasta nadzieja, że i inne zasady filozoficzne zostaną powoli wprowadzone do życia i nadejdzie może czas, kiedy ten, co się ośmieli jeszcze przeczyć istnieniu prawdziwej filozofji, narazi się na taką śmieszność, lub na takie politowanie ludzi wykształconych, jak ten co dziś wątpiłby o istnieniu matematyki, twierdząc, że nauka ta jest zbyteczną przy budowie mostów, ponieważ różni inżynierowie posługują się rozmaitemi systemami budowy, a nasi praojcowie robili mosty bez pomocy formuł matematycznych i przejeżdżali przez nie bezpiecznie.

1) To wyznanie pacyfizmu świadczy o tem, że wówczas myśl autora jeszcze się obracała w sferze ogólnej, bez uwzględnienia tych konkretnych okoliczności, które dziś czynią dla nas wojnę pożądaną i nieuchronną, jak to uzasadnia obszernie autor w dziele „Ludzkość Odrodzona“, wydanem w Warszawie dwanaście lat później.

III

Polski indywidualizm i typ obywatela.¹⁾

Niedawno poruszył w „Kraju“ St. Szczepanowski bardzo doniosłą kwestję, mianowicie wyraził zapatrywanie, że polski typ obywatela różni się od ideałów, które przyświecają innym narodom.

Trafne to spostrzeżenie zasługuje na uzasadnienie i na wykazanie bliższego związku między naszym typem obywatela, a tym kierunkiem myśli, który za najbardziej odpowiadający naszym narodowym skłonnościom uważać można, mianowicie polskim indywidualizmem.

Indywidualizm polski wprawdzie jest dosyć powszechnie uznany, ale warto bliżej

¹⁾ Drukowane w N^o 50 „Kraju“ z 1898 r.

określić, czem się ten indywidualizm różni od innych poglądów na świat i dlatego indywidualizm zasługuje na miano polskiej filozofji.

Rozmaite kierunki filozoficzne można podzielić na dwa główne prądy: uniwersalizm i indywidualizm, przyczem do koła uniwersalistów należy ogromna większość filozofów wszystkich czasów, a indywidualistą wśród wielkich filozofów był tylko Platon w pewnej krótkiej epoce swego rozwoju. Podział ten polega na różnicy zapatrywań na jedność wszechświata.

Uniwersaliści twierdzą, że wszystko co jest, ma wspólny początek i wspólne ogólne prawa—zaś indywidualiści upatrują zasadnicze różnice między istotami i powątpiewają o ich wspólnem pochodzeniu, uważając za najważniejszy pewnik własne swoje duchowe istnienie i istnienie podobnych innych dusz, których współdziałanie, bez jednolitego z góry kierunku, prowadzi do urzeczywistnienia celów, każdej duszy właściwych, nie zaś do wykonania powszechnego planu, raz na zawsze dla całości świata wyznaczonego.

Innemi słowy, jeśli użyjemy terminologii filozoficznej, powiemy: że uniwersaliści dowodzą jedności bytu, a indywidualiści uzna-

ją natomiast mnogość substancji. Dlatego też często uniwersalizm bywa nazywany monizmem, indywidualizm pluralizmem.

To są metafizyczne zasady, o które mało kto się troszczy, ale z których wynikają doniosłe praktyczne konsekwencje, cechujące w najwyższym stopniu nasze życie narodowe i zasługujące zatem na naszą uwagę.

Przedewszystkiem każdy indywidualista uważa siebie za substancję, czyli za istotę niezależną, posiadającą własne prawa swoje i nie ulegającą żadnym zewnątrz narzuconym prawom ogólnym.

Zatem gdy kilku indywidualistów się zbierze, by coś wspólnie przeprowadzić, to działają oni w imię własnej woli indywidualnej, nie zaś ogólnie wiążących ich idei lub praw. Więc w obradach swoich żądają słusznie jednomyślności, bo wszelka większość głosów byłaby zgwałceniem swobody mniejszości.

Zatem nasze poniewierane, wzgardzone i przeklinane *liberum veto* jest pro prostu wynikiem tego poglądu na świat, który stanowi najdonioślejszy przyczynek naszego narodu do ogólnego pochodzenia myśli ludzkiej.

Nie wynika ztąd, abyśmy mieli zalecać *liberum veto* innym narodom. Ono było tylko objawem, być może fałszywym zastososo-

waniem zasady, zkaładną słusznej i doniosłej, ale możliwej do urzeczywistnienia tylko w społeczeństwie o wiele dojrzałszem i lepszem, niż nasze.

Trzeba bowiem pamiętać, że jeśli pomimo *liberum veto* postanowienia przeprowadzane były na naszych sejmach, to działo się to w imię innej zasady, właściwej indywidualistom, mianowicie miłości braterskiej obradujących.

Niech nikogo nie dziwi, że miłość poczytuję za zasadę, indywidualizmowi właściwą, choć była ona głoszoną przez wielu uniwersalistów. Miłować można w najwyższym stopniu dopiero to, co jest po za nami, a dla łączności i zlania dusz trzeba przedewszystkiem, iżby to co się łączy i zlewa, było pierwotnie różnem.

Więc im więcej odrębne są jednostki, im więcej samodzielne i samoistne, tem silniejszą bywa ich miłość, czyli, że najwyższy stopień miłości bywa właściwy najwięcej krańcowym indywidualistom, którzy czują własną niezależność i samodzielność w najwyższym stopniu, a dobrowolnie całą swą osobę ofiarują na usługi innej osoby.

Przy uniwersalizmie miłość traci swoje znaczenie, bo jeśli ja jestem w gruncie rzeczy objawem tego samego bytu, co mój bliź-

ni, to cóż mu na mojej miłości zależeć może? Toż w takim razie miłość zamienia się na samolubstwo, a altruizm staje się — jak to sofiści niektórzy twierdzą — egoizmem.

Więc miłość bliźniego z natury rzeczy u indywidualisty ma większą siłę, niż u uniwersalisty. Uniwersalista wierzy w pierwotną jedność bytu i sądzi, że jedność ta pozostaje nienaruszoną pomimo tysiąca nienawiści. Indywidualista utrzymuje, że pierwotnej jedności niema, lecz że miłością można dopiero w odległej przyszłości istniejące różnice złągodzić i ku ideałowi jedności prowadzić świat wolnych duchów.

Daliśmy też w historii naszej niezwykle dowody miłości. Gdy Sobieski ratował Wiedeń, nie nawzajem nie żądając od możnych sąsiadów, gdy lenne Prusy rosły bez przeszkód i zawiści z naszej strony, gdy po wielu zwycięstwach pozwalaliśmy wrogom spokojnie swe siły zbierać, aby nas później mogli opanować — tośmy zawsze działali jako szczerzy indywidualiści, szanujący cudzy indywidualizm.

A najwiękzym dowodem naszej miłości była tolerancja względem żydów, prześladowanych we wszystkich innych krajach, i wielokrotne postanowienia naszych rządów co do ich równouprawnienia. To też antysemi-

tyzm, jak wszelka forma ucisku—jest w najwyższym stopniu przeciwnym naszym tradycjom objawem, jak słusznie twierdzi Stanisław Szczepanowski.

Dalszą konsekwencją indywidualizmu jest nieograniczona niczem swoboda organizacji jednostek, niezależnie od władzy państwowej, czego przykładem bywały nasze konfederacje.

Indywidualista stara się ograniczyć władzę uniwersalistyczną ogółu do minimum, aby mieć sobie zapewnioną największą swobodę dążenia do celów osobistych. Cele ogólne uznaje on tylko o tyle, o ile wynikają one z niewymuszonej zgodności celów wszystkich jednostek, stanowiących ogół.

Więc ilekroć jakakolwiek jednostka lub grupa jednostek czuje potrzebę dążenia w kierunku przeciwnym większości do celów własnych, zawsze przyznaje sobie prawo łączenia się dla tych celów. Jeśli mowa tu o celach własnych, to nie znaczy bynajmniej, by te cele były egoistyczne. Tworzono często konfederacje dla dobra ogółu, gdy konfederacji pojmowali dobro ogółu inaczej, niż większość.

Nawet jedna jednostka może czuć się uprawnioną w wyjątkowych wypadkach do narzucenia swej woli większości, co prowa-

dzi do dyktatury, formy władzy, odpowiadającej tendencjom indywidualistycznym równie dobrze, jak przeciwległy dyktaturze rząd słaby, na jednomyślności oparty.

Jeśli powyższe główne konsekwencje praktyczne indywidualizmu teoretycznego zastosować do idealnego typu indywidualisty, otrzymamy typ nasz obywatela.

Obywatel jest u nas ideałem takiego człowieka, co, posiadając w najwyższym stopniu osobistą inicjatywę i samodzielne cele, działa na ogół, wzbudzając miłość i szacunek bez nadużycia władzy, a nawet bez żadnej formalnej władzy. Obywatel nasz kocha bliźnich więcej niż siebie samego i jest skłonny do wszelkich ofiar dla dobra publicznego, nawet do najcięższej ofiary wyrzeczenia się przyrodzonego prawa do utrzymania własnych przekonań, gdy większość odeń tego w imieniu braterskiej miłości wymaga, aby dojść do jednomyślnego postanowienia.

Uniwersalista uważa swoje przekonanie za wynik powszechnego rozumu, którego się wyrzekać nie godzi—lecz dla indywidualisty jego przekonania są tylko osobistą jego własnością, którą wolno mu poświęcić na ołtarzu miłości współobywateli.

Dlatego dla obywatela rozum nie jest bynajmniej najwyższą instancją. Uczucie wska-

zuje mu cele, do których wola dąży za pomocą środków, obmyślanych przez posłuszny rozum. Rozum jest pokornym sługą woli i uczucia, nie zaś wszechwładnym panem świata, jak u uniwersalistów.

Wyraża to jasno Mickiewicz w swej Improwizacji, gdy twierdzi, że uczucie zawsze zwyciężyć może rozum i ma rozum pod sobą. Wśród naszych filozofów zasadę miłości szczególnie jasno przeprowadził Gołuchowski, który zawsze w jednym rzędzie stawiał Boga i bliźniego, jako przedmioty miłości, przez co, zdaje się, uznawał niezależność jednostek, właściwą indywidualistom.

Także Libelta „Dekalog filozofji słowiańskiej“ zawiera wskazówki indywidualistycznego charakteru naszej filozofji, jaką Libelt niesłusznie przypisuje słowianom wogóle, od których większości różnimy się naszym wybitnym indywidualizmem. W historii filozofji naszej istnieje wiele innych wskazówek, że metafizyczny indywidualizm cechował myśl naszą, i że pod jego wpływem wyrobił się ten typ idealny obywatela, z którego możemy być dumni, choćbyśmy nawet niewiele mieli jednostek, odpowiadających mu w zupełności.

Najmniej u nas uznanym i znanym przedstawicielem narodowego indywidualizmu, a szerzycielem ideału obywatela był człowiek, którego najniestuszej i najfałszywiej u nas przedstawiano, jako szalbierza i fanatyka: Andrzej Towiański.

Dziś, gdy oryginalne pisma tego męża stały się przystępne osobom do koła jego ściślejszych towarzyszków i uczni nie należącym—godzi się przypomnieć, że był on jednym z największych po Skardze naszych kaznodziejów, a jedynym w swoim rodzaju działaczem na dusze ludzkie, wznoszącym je ku nadludzkim ideałom.¹⁾

Rzecz dziwna, że tylekrotnie powtarzano bezmyślnie fałsz, jakoby Towiański zabił w Mickiewiczu genjusz poetycki, gdy tymczasem Mickiewicz poznał Towiańskiego dopiero w siedm lat po napisaniu ostatniego swego większego dzieła.

1) Dziś już takiego znaczenia Towiańskiemu nie przypisuję, i sędzę że cała jego Sprawa jest w znacznej części wynikiem twórczości Mickiewicza, jak wynika z nieznaney mi wówczas korespondencji i aktów, wydanych przez Władysława Mickiewicza p. t. Współdział w Sprawie. O wpływie Mickiewicza na Towiańskiego napisał H. Boguski bardzo cenne dzieło dotąd nie wydane.

Należało właściwie ze stosunku tych dwóch wielkich ludzi wyciągnąć całkiem inny wniosek: skoro powszechnie wiemy, że Mickiewicz był jednym z największych duchów naszego narodu, to uznanie jego dla Towiańskiego dowodzi, że Towiański był mu równym, lub wyższym.

W każdym razie obydwaj na różnych polach pracowali nad wyrobieniem tego naszego ideału obywatela, który stoi o wiele wyżej, niż ideał włoskiego dworzanina, lub angielskiego gentlemana. Więc należy im się wdzięczność za tę pracę, którą wzbogacili nasz dobytek umysłowy i moralny. ¹⁾

¹⁾ Od czasu napisania powyższego artykułu autor postąpił w świadomości i znajomości związku dusz wszystkich między sobą i z Bogiem, tak że dziś już by tak krańcowego indywidualizmu jaki wówczas uważał za narodową polską filozofję nie bronił, choć zawsze sądzi, iż w polskiej myśli odrębność jednostek silniejszy niż gdziekolwiek znajduje wyraz.

IV.

Eleuteryzm i jego krytycy. ¹⁾

Dzieło, na wiosnę w Lipsku wydane, p. t. „*Seelenmacht*“ (Potęga duszy), choć było głównie dla Niemców przeznaczonem, dotąd w Niemczech nie doczekało się żadnej recenzji—natomiast dało kilku polskim krytykom temat do artykułów obszernych, zawierających ślady dziwnych nieporozumień, wobec których autor poczuwa się do obowiązku dać w interesie prawdy niezbędne wyjaśnienia.

Dla Niemców pisałem to dzieło — bo nie sądziłem, aby ono cokolwiek zawierało dla Polaków nowego. Z pism naszych wieszczów, z tradycji historycznych, z obyczajów, których świadkiem byłem od najmłodszego

¹⁾ Drukowane w Nr 33 „Kraju“ z 25 Sierpnia 1899 r.

wieku, nawet z bieżącej naszej literatury — wysnułem wątek narodowego poglądu na świat, odróżniającego polaków od Niemców i innych sąsiadów.

Będąc przekonany, że mój pogląd na świat jest wspólnym mi z większością ziomków, namysławiających się nad znaczeniem życia ludzkiego—uważałem za moje zadanie nadać mu postać dosyć obiektywną, by mógł być zrozumianym przez cudzoziemców — i w tym celu wyraziłem go najprzód po angielsku, a gdy żaden angielski wydawca nie chciał się podjąć wydania tak egzotycznego dzieła—w nieco łagodniejszej formie, po niemiecku.

Podczas druku „Potęgi duszy“ w Lipsku, zdarzył się wiec hakatystów, a przypadkowe moje wystąpienie na tem zebraniu, zatrwodziło mego wydawcę W. Engelmann'a tak dalece, że groził mi zerwaniem kontraktu i zaniechaniem dalszego druku, jeśli nie usunę pewnych ustępów o walce ras i o przesładowaniu Francuzów, Duńczyków i Polaków w obrębie państwa niemieckiego. ¹⁾

Nie mając żadnej nadziei znalezienia in-

¹⁾ Poglądy te pominięte w *Seelenmacht*, weszły w skład *Ludzkości Odrodzonej*.

nego wydawcy, pod naciskiem życzliwej rady osób, które znały dzieło w rękopisie, uległem tej dziwnej prywatnej cenzurze i raz jeszcze okroiłem według żądań „Potęgę duszy,” w przekonaniu, że lepiej choć część prawdy odstąpić światu, niż przystać na całkowite jej przygłuszenie.

Liczyłem na to, że szerzenie polskiego eleuteryzmu wśród Niemców byłoby najskuteczniejszym środkiem przeciwko hakatyzmowi. Nie uważałem eleuteryzmu za mój wynalazek, jeno za własność społeczną, za źródło naszej siły — więc nie czułem się osobiście dotkniętym prześladowaniem.

Uważałem siebie za wyraziciela tego, co według mego przekonania, tysiące Polaków w różnych czasach i miejscach wyznawało. Przez wyjątkowe w Polsce wykształcenie filozoficzne, przez szkołę niemiecką i długie wędrówki wśród innych narodów, uważałem siebie za szczególnie przygotowanego do ujęcia w formę jasną i przystępną ogółowi czytelników obcych, tego poglądu na świat, który kierował naszymi bohaterami, był nam źródłem siły, a może także i warunkiem czasowego upadku.

Chodziło mi o sąd bezstronny tych obcych o najgłębszej treści naszej myśli narodowej. Sądu tego nie doczekałem się do-

tańd, ¹⁾ natomiast przekonałem się, że we własnej ojczyźnie przez wielu zostałem najfałszywiej zrozumiany, co naturalnie nastąpiło pewno z mojej winy, albo wskutek niedostatecznej przystępności wykładu, albo wskutek tego, że obecne pokolenie w wielu kierunkach odbiegło już od tradycji, z których powstał eleuteryzm.

Poczuwając się do winy, nie widzę innego sposobu zaradzenia złemu, jak możliwie obiektywne i treściwe wskazanie fałszywych przypuszczeń, robionych przez moich krytyków o eleuteryzmie i o jego autorze.

Rozpoczął kampanję Henryk Struve, artykułami: „Anarchizm ducha u obcych i u nas“ („Biblioteka Warszawska,“ kwiecień i maj 1899). Czcigodny autor „Wstępu do filozofji“ wywołał przed wyobraźnię czytelnika przerażający obraz całego korowodu, na końcu którego dał mi zaszczytne miejsce w niezbyt miłym towarzystwie. Więc: Strauss, Feuerbach, Bauer, Stirner, Renan, Carlyle, Vogt, Büchner, Moleschott, Hartmann, Comte,

¹⁾ Liczne recenzje angielskie, jakkolwiek dla autora i jego sposobu pisania bardzo pochlebne („Times,“ „Saturday Review,“ „Atheneum,“ „Manchester Guardian“ etc.), nie wyrażają sądu o wszechludzkiej doniosłości eleuteryzmu.

Gautier, Baudelaire, Huysmans, Barres, Villiers, Barbey, Peladan, Richepin, Banville, Verlaine, Veron, Rosetti, Ruskin, Oscar Wilde, Walt Whitman, John Henry Mackay, Ibsen, Brandes, Tołstoj, Nietzsche, Heine, Wagner—mają być moimi duchowymi przodkami!

Gdyby nie znana dobra wiara Struvego, możnaby takie zestawienie poczytywać za żart, bo nie tylko eleuteryzm nie ma nic wspólnego z wymienionymi autorami, ale i oni nie są wcale wzajemnie do siebie podobni.

Łączą ich conajwyżej cechy powierzchowne—i zestawienie takich ludzi o całkiem przeciwnych poglądach na świat, robi takie wrażenie, jak żartobliwe klasyfikacje w „Sofiście“ Platona, gdzie gatunek ludzki jest określony jako „bezpierzasta dwunoga nierogaczna.“

Struve buduje wiatraki, by z nimi walczyć. Indywidualizm w formie polskiego eleuteryzmu przeraża filozofa wykształconego na niemieckich wzorach, więc fabrykuje mu krewnych i przodków, których musieliśmy po części się wstydić.

Wobec tego wystarczy oświadczenie, że z dekadentami, materjalistami, symbolistami i t. d., których Struve wylicza, nic wspól-

nego nie mam—ani też z takimi pseudofilozofami jak: Comte, Nietzsche lub Renan. Moimi głównymi nauczycielami w zakresie metody badań filozoficznych, byli: Platon, Arystoteles, Kartezjusz, Leibnitz, Kant, Herbart, Lotze i Teichmüller — ale niezależnie od nich, główną treść mego poglądu na świat zawdzięczam Mickiewiczowi. W jego „Improwizacji,“ tysiącrotnie czytanej od dzieciństwa, znalazłem gotowy program całego eleuteryzmu—podczas gdy wyżej wymienieni obcy filozofowie są wszyscy uniwersalistami.

Struve zapytuje: dlaczego świat ma postępować, jeśli wszystkie jednostki nie stanowią jednej, niepodzielnej substancji? Dla tego samego powodu, co gdyby wszystkie stanowiły jedność. Mianowicie wówczas przyczyną postępu byłaby wola owej jedności—dziś zgodna wola potężniejszych jednostek.

Dla czego zgodna? Bo tylko zgodna może przeważać — a że właśnie przeważający kierunek świata jest ku dobremu, to jest dla Struvego, również jak dla mnie, faktem ostatecznym, empirycznym, stanowiącym przyczynę pierwszą całego moralnego rozwoju.

Jeśli istnieje wielość działających na siebie jednostek, to ta grupa, która przeważa,

odegrywa zupełnie taką samą rolę, iak wszechmocny Bóg uniwersalistów.

Dlaczego Bóg jest dobrym? Bo inaczej nie byłby Bogiem. Dlaczego dobro w świecie przeważa? Bo dobro nie jest dla nas niczem innym, jak zgodnością z przeważającym ruchem wszechświata duchowego.

To właśnie stanowi najwyższą prawdę w zakresie moralnego istnienia: jednostka może być szczęśliwą tylko gdy dba o szczęście innych, gdy umie zgodzić się z ich potrzebami. A psychologiczna obserwacja wykazuje, że każda jednostka *może* to uczynić—tylko że niektóre muszą wiele wycierpieć, nim tę wolność moralną w sobie rozwinią.

Zarzuca Struve eleuteryzmowi, że jest oparty „na ziarnkach ludzkiego sobkowstwa, pozbawionych wewnętrznej spójności“ i obawia się, że gdy każdy będzie hołdować swemu własnemu przekonaniu, zabraknie wspólności dążeń ku ideałom.

Taki zarzut polega na nie zrozumieniu zasad eleuteryzmu, który przedewszystkiem głosi istnienie braterskiej miłości między duszami,—a tylko dusze podobne do siebie razem działać mogą.

Nie złączy przeciwników żaden rozkaz, żadne prawo—lecz przyjaciół zawsze łączy

miłość, prowadząca do zgodności. Gdybyśmy nie mieli działać według *własnych* przekonań, to kogóż mielibyśmy uznać za przewodnika?

Dlaczegoż opór Struvego przeciw eleuteryzmowi ma być przywołaniem do porządku i prawa, ma zabezpieczać spokój społeczny i rozwój moralny, — zaś opór eleuteryzmu przeciwko Struwegowi jest koniecznie buntem i grozi anarchją?

Każdy z nas ma swoje przekonania; gdy są zgodne, możemy się cieszyć — gdy są przeciwległe, musimy uznać ich przeciwieństwo jako fakt i nie przypisywać naszym poglądom nadludzkiej jakiejś sankcji, której dowieść przeciwnikom nie możemy. Takie ogólne potępienia przystoją raczej kapłanom, przemawiającym w imię Objawienia, niż filozofom, posługującym się w każdej dyskusji rozumem—naturalnie *swoim*, a nie cudzym.

Lepiej zrozumiał zasadniczy kierunek eleuteryzmu Piotr Chmielowski (Kurjer Codz. Nr. 170 z dnia 22 czerwca), uwydatniając obok wolności miłość, jako główną cechę tego poglądu na świat, i przyznając, że w „Potędzie duszy“ wszędzie znać, że pisze polak, który choć w obcej mowie przemawia, ma ciągle na myśli ziemię i historję rodzin-

na“ i że autor „występuje raczej z obroną praw jednostki, niż z propagandą jej samowoli.“

Ale niesłusznie oskarża Chmielowski autora o to, jakoby sobie lekceważył zdobycze psychologii doświadczalnej.

Jakie mianowicie zdobycze? Autorowi nie jest ten dział nauki całkiem obcy; zwiedzał on wielkie laboratorja Münsterberga w Ameryce i Wundta w Lipsku, a przez cały czas drukowania „Potęgi duszy“ mieszkał razem z jednym z najgorliwszych i najwięcej filozoficznie wykształconych uczniów Wundta, codziennie dyskutując o kwestjach psychologicznych i odwiedzając nawet niektórych sławnych psychjatrów, jak Ziehen'a i Binswanger'a w Jenie, by usłyszeć choć jeden zarzut trafny przeciwko temu pogładowi na stosunek mózgu i duszy, który jest wyrażony w „*Seelenmacht*,“ a którego najznakomitszym przedstawicielem w Niemczech był Herman Lotze.

Ale skoro tak zwana psychologia doświadczalna, a raczej fizjologia mózgu i nerwów, nic wspólnego z metafizyką mieć nie chce, niechże wolno będzie i metafizykom nawzajem nie polegać na autorytecie psychjatrów i fizjologów. To są dziedziny tak odległe od siebie, jak — że użyję własnych

słów Chmielowskiego w innym zastosowaniu—„szalona burza samolubnych popędów“ i „cicha sielanka dusz kochających—w Eleuterji.“

Trzeci krytyk eleuteryzmu wystąpił bezimiennie w „Kraju“ (Nr 25 z 30 czerwca 1899 r.) i zaliczył mnie jaknajniesłuszniej do mistyków ¹⁾ na zasadzie dosyć błędnej zresztą klasyfikacji kierunków filozoficznych.

Uważa za główne kierunki obecnie współzawodniczące: mistycyzm i panteizm—przy czem pomija idealizm, spirytualizm, krytycyzm, a używa nazwy mistycyzmu w zbyt ogólnem znaczeniu, Właściwie mistycyzm jest tylko jednym z odcieni spirytualizmu—i polega raczej na pewnych praktykach, niż na odrębności teorii.

To co mistyków odróżnia od innych filozofów—nie jest tylko poglądem metafizycznym, lecz ich osobistym stosunkiem do Boga.

¹⁾ Dziś bym się już mistycyzmu nie wypierał, bom pozyskał wiele duchowych doświadczeń, które wówczas były mi jeszcze obce. Widać jednak z dalszych ustępów, że choć wówczas doświadczeń mistycznych nie miałem, trafnie już pojmowałem istotę mistycyzmu na podstawie znajomości pism niektórych mistyków.

Mistycy twierdzą, że w szczególnym akcie ekstazy łączą się z Bogiem, od którego zawsze zresztą zależą. Nic podobnego nie ma w eleuteryzmie, więc nie godzi się eleuterystów zaliczać do mistyków.

Przez fałszywe uogólnienie pisarze, niedostatecznie obeznani z literaturą prawdziwych mistyków, zaliczają do ich grona wszystkich tych, co uprawiają najnowsze gałęzie psychologii — jak np. badanie snu magnetycznego, sugestji, telepatji i t. p. Ale jest to również powierzchowne zestawienie przedmiotów zasadniczo różnych, jak u Struvego mieszanie dekadentów, symbolistów, pesymistów, pozytywistów, materjaliistów, nietzscheanistów w jedną kupę, by z nich utworzyć „anarchistów ducha.“

Pan W. F. idzie pod tym względem ręką w rękę ze Struvellem i zestawia mnie z Przybyszewskim, z którym oczywiście moje przekonania nie wspólnego nie mają, jak zaznaczyłem w niedawno wydanej w Krakowie broszurze p t. „Bańki mydlane.“

Szukając genezy eleuteryzmu, sięga p. W. F. aż—do Hiszpanji! Wprawdzie w Hiszpanji pisałem „Potęgę duszy“—ale było to w wiosce rybackiej nad Koruńską zatoką, gdzie raczej miałem wrażenia realistyczne, niż jakieś znajomości mistyczne.

Widać p. W. F., podobnie jak Struve, nie spostrzeża czysto narodowego charakteru eleuteryzmu i szuka w nim obcych pierwiastków, zamiast uznać z Chmielowskim, że jest to pogląd na świat polaka.

W streszczeniu, zresztą dosyć wiernem, eleuteryzmu przez p. W. F., trafiają się pewne ważne niedokładności, ale i on nie wskazuje, pod jakim względem ten lub ów dział fizjologii mógłby osłabić wiarogodność pewnych przekonań metafizycznych.

I znowu równolegle z żądaniem, bym więcej uwzględniał fizjologję, która w żadnym związku z metafizyką nie stoi, wyraża krytyk pretensję do mnie za to, że zbyt uwzględniam psychologję halucynacji, telepatji i t. p.

Przeciwko gołosłownemu twierdzeniu p. W. F., jakoby ukazywanie się duchów, czyli halucynacje mające za przedmiot nieboszczyków, nie były dowiedzione, wystarczy zaznaczyć, że istnieją ogromne materiały dowodowe, zebrane całkiem niezależnie od spirytystów przez Towarzystwo Badań Psychicznych londyńskie. Więc zdemaskowanie medjów spirytystycznych, przytoczone przez pana W. F., niczego nie dowodzi przeciwko wiarogodności takich zjawisk, jak wspomniane halucynacje.

Zkądinąd znowu podejrzenie pana W. F., jakoby materjalizacje duchów mogły służyć za dowód substancjalności duszy, polega na bardzo nieuważnem czytaniu „*Seelenmacht*“—bo wielokrotnie w tem dziele powtarzam, że żadne zjawiska zewnętrzne o istotności i nieśmiertelności duszy nikogo przekonać nie mogą. Naturę duszy można poznać tylko przez rozumowanie nad treścią własnej świadomości—nigdy zaś przez żaden szereg zmysłowych wrażeń.

Co do mniemanych sprzeczności, jakie pan W. F. odkrywa w eleuteryzmie, to zbyt niejasno je wyraża, aby można było na takie zarzuty odpowiadać. Pan W. F. widocznie metafizyki wcale nie poczytuje za niezbędne ogniwo wiedzy ludzkiej i radby ją zastąpić... muzyką! Ale cóż w takim razie robiliby ludzie niemuzycalni? Rozumowanie jest na szczęście powszechniej dostępnem, niż rozkosz, jaką wybranym sprawia pewien porządek tonów.

V.

Ofiary Giełdy.¹⁾

Z powodu powieści Autora Gruszeckiego pod tytułem: „*Szachraje*,”—Warszawa, r. 1899.

Tendencyjna powieść społeczna zajmuje coraz to więcej miejsca we współczesnej produkcji literackiej. Dawniej koło czytelników powieści było mniejsze i wybredniejsze, więc żądało przedewszystkiem od pisarzy artystycznej doskonałości; o tendencję tacy czytelnicy nie dbali—i nawet potępiali ją—gdyż mając stale wyrobione przekonanie, czuli wstręt do powierzchownych rozumowań, czy

¹⁾ Drukowane zdaje się w „Czasie“ w 1899 r. Artykuł ten zdradza wpływ anglosaskiej kultury na autora i jest protestem filozoficznym przeciwko powierzchownie literackiemu traktowaniu kwestji ekonomicznych, które u nas widać w wielu powieściach, jak „Bawełna“ Kosiakiewicza i t. p.

to popierających, czy zwalczających te przekonania. Gdy chcieli pouczyć się lub rozstrzygnąć jakieś zadanie społeczne, woleli uciec się do gruntownych rozpraw naukowych, lub zasięgnąć zdania kompetentnych znajomych, niż szukać takich informacji w powieściach.

Talent powieściopisarza bardzo rzadko idzie w parze ze ścisłością i obiektywnością rozumowania. Powieściopisarz każdy, nawet najgorszy, stara się posługiwać wyobraźnią i działać na wyobraźnię czytelników. Więc ilekroć ma za cel przeprowadzenie jakiejś tendencji, z konieczności staje się jednostronnym, a nadto utrudnia sobie zadosyćuczynienie artystycznym wymaganiom.

Dlatego u wybredniejszych czytelników tendencyjna powieść oddawna jest w niełasce, i trzeba tak wielkiego talentu, jak Cerwantesa, by dla tendencyjnego romanisu pozyskać wszechświatowe powodzenie. Lecz poza wysoce wykształconemi kołami czytelników Cerwantesa, Szekspira, Dantego, Shelleya, Browninga—rośnie tłum ludzi, umiających już czytać, a niepojmujących jeszcze zadowoleń czysto estetycznych i szukających w powieści przedewszystkiem rozszerzenia praktycznego swego doświadczenia, a nawet rozwiązywania pewnych zagadnień życiowych.

Tacy czytelnicy z politowaniem patrzą na wykwintnie estetyczne powieści, w których się nic nie dzieje i w których autor nie broni żadnej tezy. Oni pragną powieści, pobudzającej ich ocięzwały umysł, poruszającej zagadnienia społeczne lub moralne — bo tylko powieści czytają, a jeszcze nie nauczyli się czytać tablic statystycznych, kodeksów, rozpraw ekonomicznych lub filozoficznych. Dla takich czytelników służą powieści tendencyjne, wzgardzone przez czystych estetów.

To też nasi najpopularniejsi pisarze, jak Prus i Orzeszkowa, po większej części piszą swe powieści z jasno sformułowaną tendencją i dają w nich swoje rozwiązania pewnych bieżących zagadnień. Nawet powieści historyczne Sienkiewicza, choć zawierają wiele artystycznych elementów — nie są czystymi dziełami sztuki, bo mają wyraźną tendencję; rozbudzenia i utrzymania patriotyzmu tłumów, niedostatecznie obeznanych z historją ojczyzną, aby mieć mogły sąd własny o przeszłości i o widokach przyszłości.

Dotychczas główne tematy, obrabiane u nas w formie powieściowej, obracały się w sferze kwestji politycznych, poruszając sprawy ekonomiczne tylko tak dalece, jak tego wymagała tendencja polityczna. Więc np. przed-

stawiano walkę o własność ziemi, ale z punktu widzenia politycznej doniosłości, jaką ta własność posiada. Nawet gdy wprowadzano na scenę świat bankierski—to główną uwagę zwracano na stronę polityczną walki rasowej między semitami a aryjczykami. Nawet w powieściach, mających za tło rozwijający się przemysł, główną uwagę czytelnika przykuwała narodowość wielkich przemysłowców, zwykle obcokrajowców.

Dopiero w ostatnich dziesięcioleciach strona ekonomiczna życia zaczęła więcej zwracać naszą uwagę. Najmniejszą rolę w stosunku do innych objawów ekonomicznych grała u nas giełda. Skromna giełda warszawska nie mogła powieściopisarzom dostarczać takich materiałów, jak wiekie giełdy w Paryżu i Londynie. Szersze koła ludności nigdy nie były wciągane u nas do gry na giełdzie, a mało kto po za Warszawą ma jakiś osobisty rachunek u bankiera. Pożyczamy pieniądze, kupujemy przekazy zagraniczne, ale mało używamy czeków, mało dajemy zleceń kupna lub sprzedaży rozmaitych walorów. Kto ma listy zastawne, ten je trzyma lub powoli traci, ale rzadko kiedy marzy o łatwym wzbogaceniu się na giełdzie. Dopiero niedawno poznaliśmy w pewnej mierze gorączkę giełdową z okazji nagłych

i niezwykłych zmian w kursie pewnych akcji.

Temat ten nadawał się w wysokim stopniu do obrobienia powieściowego i został też zaraz opracowanym przez p. Artura Gruszeckiego, który niedawno wydał w dwóch tomach powieść p. t. *Szachraje*. Tytuł niezbyt szczęśliwy, bo właściwie tylko jednego „szachraja“ większej miary przedstawia nam autor, a głównymi bohaterami powieści są tu ofiary tego bankiera i jego sztucznej spekulacji.

Gottlieb Strauchfeld na początku powieści występuje jako bardzo skromny giełdziejacz, marzący o wzbogaceniu się. Przypadkiem dostaje w swoje ręce kilkadziesiąt akcji fabryki *Randal et Comp.* za bezcen i wpada na myśl, żeby skupić najwięcej takich akcji, a potem sztucznie podnieść ich cenę. Znosi się z dyrektorem tej fabryki, przekupstwem zdobywa informacje o przyczynach jej upadku—i urządza zwykłą komedię giełdową, dokonywując fikcyjnych tranzakcji, wskutek których akcje idą w górę; gdy już znaczna część ich potajemnie została zakupiona przez Strauchfelda, wdaje się w tę grę współpracownik, który nagle obniża gwałtownie kurs akcji za pomocą zwykłych sztuczek bankierskich—i chce Strauchfelda zrujnować. Ale Strauchfeld przekupuje dyrektora jakiejś kolei, dając

mu pięćdziesiąt akcji tysiącorublowych i zyskuje obstalunek na wagony dla fabryki Randała na milion czterykroć stotysięcy rubli. Gdy wiadomość o tym obstalunku doszła do wiadomości powszechnej, akcje poszły w górę i Strauchfeld został milionerem, robiąc wiele innych podobnych interesów. Ożenił wreszcie swego syna z ubogą szlachcianką dla zatarcia we wnukach cudzoziemskiego pochodzenia.

Cała fabuła jest przeprowadzona dosyć niedbale i grzeszy mnóstwem szczegółów nieprawdopodobnych. Strauchfeld porywa się na ogromną spekulację, pożyczając z wielkim trudem na kilkanaście procent sześć tysięcy rubli od rodziny — a jednocześnie daje łapówki tej wysokości co kapitał, z którym zaczął pracować. Jest tak biednym i skąpym, że przeraża go zapłacanie rachunku za kolację z dziennikarzem, a jednak kształci syna za granicą, ubiera się z widoczną elegancją (str. 6) i nosi piękne brylantowe pierścienie. Bez litości okrada swoich klientów, skłaniając ich do sprzedania po najgorszym kursie akcji u niego deponowanych — a jednak nagle unosi się wspaniałomyślnością i wyrzekając się wielkiego posagu, jaki mógłby zdobyć dla syna, żeni go z ubogą panną Danborską. Ta panna, co się sprzedaje, pod

warunkiem, że sprzedaż będzie fikcyjną, również i młody Strauchfeld, potępiający ojca, a jednak gotów na jego skinienie popełnić najgorszą nikczemność — to są typy nieprawdopodobne lub przynajmniej niedostatecznie umotywowane.

Takie przedsięwzięcia, jak opanowanie fabryki Randala przez Strauchfelda, nawet przy największej przewrotności i przebiegłości wymagają większego kapitału, niż jakieś kilka tysięcy, pożyczone na kilkanaście procent. A nawet przy większym kapitale wymaga się mniej naiwności, niż zdradza Strauchfeld w różnych okazjach. Naprzykład gdy chce mieć poparcie prasy, nie idzie wprost do redaktora jakiegoś pisma, lecz korzysta ze znajomości swego dependenta, który mu przedstawia reportera najlichszego rodzaju, wyzyskującego tę gratkę w bezczelny sposób.

Drugorzędne figury, jak naprzykład bankierówna Emcia, naganiacz giełdowy Meyer, kantorowicze Strauchfelda, są daleko udatniej scharakteryzowane, niż główni bohaterowie.

Ale cała powieść, choćby nawet z większym staraniem została opracowana, traci jako powieść tendencyjna głównie przez to, że tendencja autora jest fałszywa. Gra na giełdzie jest tu przedstawiona nie jako na-

miętność grających, lecz jako pułapka nastawiona na niewinnych przez szachrai.

Autor nie zdaje widocznie sobie sprawy z tego, że winni są w równej mierze ci, co grają, jak bankier do gry zachęcający.

Bankier ten wygląda tutaj jako pajak, rozciągający swe sieci i naiwny czytelnik mógłby wyciągnąć wniosek, że giełdy są dziełem szatana, zasługującym na zagładę.

Tymczasem w istocie giełdy i banki są niezbędnymi instytucjami, w których nadużycia są znacznie rzadsze, niż w wielu innych instytucjach ludzkich. W Londynie codziennie walory wartości ogólnej trzech do pięciu miliardów franków zmieniają właścicieli za pośrednictwem giełdy, a bardzo drobną część tych obrotów stanowią takie oszukańcze operacje jak te, które nam p. Gruszecki przedstawia w „Szachrajach.“

Skoro „Szachraje“ mają stanowić popularny wykład operacji giełdowych, nawet z wyjaśnieniem terminów używanych przez uczestników gry—to nie odpowiadają swemu zadaniu, gdy o giełdzie dają pojęcie bardzo jednostronnie spaczone, a nawet wprost fałszywe. Giełda nie jest norą szachrai tylko rynkiem transakcji pieniężnych. Być może, w Warszawie na giełdzie bywa więcej sza-

chrai, niż w Paryżu lub Londynie, lecz ilość oszustw jest na giełdzie pieniężnej w proporcji do wysokości obrotów niewątpliwie daleko mniejszą, niż na jarmarku koni w jakimkolwiek małym miasteczku.

Fałszywem jest rozpowszechnione mniemanie, jakoby wielkie majątki musiały pochodzić z wielkich szachrajstw. Właśnie takie fałszywe mniemanie odciąga ludzi od poważnej produkcyjnej pracy — gdyż mówią sobie, że wszystko jedno, jak kto pracuje, skoro uczciwy człowiek zawsze musi głód cierpieć.

Więc nie ufają własnym siłom, tylko szukają szczęścia na krętych drogach. Powieść pana Gruszeckiego nie tylko nie odstrasza od gry na giełdzie, lecz do niej zachęca, bo przedstawia, jakoby tam głupie owce tylko traciły głowy — zaś wilki zawsze do syta najeść się mogły!

Rzadko kiedy ktoś własną głupotę umie poznać, więc przeciętny czytelnik sobie powie: jeśli Strauchfeld z niczego za pomocą takich łatwych sztuczek na giełdzie zrobił miliony, to i ja potrafię.

Nasuwa się porównanie szachrai z *L'argent* Zoli. Francuski pisarz, pomimo swego czarnego pesymizmu społecznego, pomimo wstrętnego przedrzeźniania rzeczywistości, ukazywania jej w najgorszym świetle we

wszystkich swych powieściach—jednak, gdy miał dać obraz gorączki giełdowej, ogarniającej tłumy, choć wprowadza na scenę nie-sumiennego szachraja, nie daje mu tryumfować, tylko rujnuje go razem z ofiarami jego oszustw. Takie rozwiązanie jest daleko prawdopodobniejsze, niż to, jakie przedstawia p. Gruszecki.

U Zoli, obok awanturnika i oszusta, łaknącego rychłego wzbogacenia się na giełdzie, występuje ostrożny i rzetelny bankier, zawdzięczający swe trwałe powodzenie nieustającej pracy i wielkiej skrupulatności w interesach. U p. Gruszeckiego wszyscy bankierzy są oszustami i spekulantami. U Zoli gorączka giełdowa jest przedstawiona, jako choroba naturalna, nie wymagająca sztucznej podniety—u p. Gruszeckiego jest ona pracowicie szczepiona w osobach, które przedtem nic o giełdzie nie wiedziały.

We wszystkich tych szczegółach Zola jest znacznie bliższym prawdy, niż autor „Szachrai“. Co najważniejsza, Zola pod koniec swej powieści tłumaczy jasno czytelnikowi, że nawet najszaleńsze spekulacje giełdowe, gdy zrujnują tysiące rodzin, nie mijają bez korzyści i prowadzą do pewnych trwałych zdobyczy cywilizacyjnych. Polski

autor niema tych szerszych horyzontów i ośmiesza niepowodzeniem jedyną osobę występującą w obronie giełdy jako instytucji społecznej (p. Morzyński).

Widocznie p. Gruszecki patrzy na obroty ekonomiczne z punktu widzenia tych, co padli ofiarą własnej chciwości i lekkomyślności; poczem szukają kozła ofiarnego, któremu by mogli swe nieszczęście przypisać — i znajdują żyda.

W istocie bezstronna obserwacja życia wykazuje całkiem co innego. Ruina ekonomiczna prawie zawsze zależy od tych co się rujnują. Nędza w ogromnej większości wypadków bywa skutkiem głupoty, nieuczciwości, lekkomyślności tych, co są na nią narażeni.

Każdy człowiek uczciwy, rozumny, pracowity, trzeźwy — zawsze w końcu zwycięży los przeciwny i dojdzie do niezależności ekonomicznej, choćby składał ciągle ofiary na rzecz bliźnich. Najpewniejszą drogą do bogactwa jest praca uczciwa, sumienna, kierowana rozumem.

To są prawdy, które warto szerzyć u nas, bo na nich oparł swe powodzenie najbogatszy naród na ziemi, Anglicy. Do-

syć jest tych uprzedzeń i bajek — jakoby rozum i uczciwość być musiały na wiecznej pokucie, zaś tylko łotrzy opływać mieli w dostatki.

Wyczerpujące badania nad nędzą wielkich miast udowodniły, że nędzarze albo stanowią potomstwo pijaków i zbrodniarzy, albo sami nie chcą, czy nie umieją pracować.

Istnieje nieograniczony popyt na rzetelnych i sumiennych pracowników, a cena ich pracy stale wzrasta. Zaś ci, co dążą do łatwego wzbogacenia się grą — czy to na giełdzie, czy w Monaco — prawie zawsze w końcu wszystko tracą, prawie nigdy nie doznają tego powodzenia, co bohater „Szachrai.“

Jeśli nawet wyjątkowo taki wypadek się zdarzy, to nie zasługuje on na opis w powieści tendencyjnej, bo takie opisy szerzą fałszywe poglądy na istotne przyczyny bogactwa.

Dosyć jest u nas amatorów kart i wina — kto chce pisać dla nich, niech ich nie łudzi, przedstawiając im jakąś grę, jakoby rozumną, zapewniającą powodzenie. Niech im lepiej przedstawi owoce wytrwałej i spokoj-

nej pracy, osiągającej zapomocą prawdziwego rozumu wszystkie cele. A jeśli chodzi o odsłonięcie szachrajstw, popełnianych na giełdzie, to słuszność i prawda nakazują wykazać, że szachrajstwa te, choć oszukanym szkodzą, szachrajom nigdy w zupełności na dobre nie wychodzą.

VII. EMIGRACJA ZDOLNOŚCI.

A. ¹⁾

Niekroć ktoś, posiadający niezwykle zdolności, obiera sobie siedzibę w obcych krajach, słyszymy żale, że jest stracony dla nas, że goni za powodzeniem materjalnem, lub że sprzeniewierza się obowiązkom względem własnego narodu. To też w Warszawie pełno jest ludzi zdolnych, zajmujących skromne biurowe posady na kolei, przepisujących papiery, lub załatwiających najpowszedniejsze rachunki, zamiast przyjmować udział w postępie ludzkości i działać na szerszem polu dla własnej ojczyzny.

Wobec tego warto się zastanowić, czy kraj nasz traci istotnie tak wiele na emigracji najzdolniejszych swoich mieszkańców, nie znajdujących odpowiedniego pola pracy

¹⁾ Drukowane w № 12 Kraju z 1899 r.

u nas, a szukających szerszej areny dla swej działalności. Niedawno w angielskiej literaturze odznaczył się nasz rodak, Konrad Korzeniowski, emigrant z roku 1863, znany pod pseudonimem Joseph Conrad. Powieści jego cechuje polska szlachecka fantazja, wybujała podczas długoletnich wędrówek wśród wysp oceanu Spokojnego. Gdym go odwiedzałem na wsi pod Londynem, postawiłem mu zwykłe pytanie: „Dlaczego pan nie pisze po polsku?“— „Panie! zbyt cenię naszą piękną polską literaturę, abym do niej miał wprowadzać moją nieudolną fuszerkę. Ale dla Anglików wystarczają moje zdolności i zapewniają mi chleb.“

Taka odpowiedź może się wydać paradoksem, a jednak zawiera głęboką prawdę, mało u nas rozumianą. Literatura nasza, przeważnie szlachecka, w bardzo znacznej części jest skutkiem całkiem innych potrzeb, niż materialne. Jesteśmy artystami prawdziwymi i śpiewamy samym sobie. To też w sztuce zajmujemy dziś jedno z pierwszych miejsc na świecie, choć rzadko mamy odwagę sobie przyznać, że autor „Improwizacji“ był rzeczywiście większym poetą, niż Goethe lub Wiktor Hugo.

Ale literacka działalność ma prawo bytu i w innych objawach, niż istotne dzieła sztuki.

ki. Jej celem jest rozpowszechnienie myśli i uczuć, poruszenie tłumów. A pod tym względem pozostajemy w tyle za takim małym narodem, jak duńczycy, którzy drukują dzieła niektórych swych pisarzy w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy, bodaj nawet stoimy po za finnami, u których wydanie powieści w kilku tysiącach egzemplarzy jest codziennem zjawiskiem.

Wskutek tego ci, którzy poczuwają się do obowiązku zostania koniecznie w kraju, jeśli są zmuszeni do pracy literackiej na własne utrzymanie, zarazem obniżają jej poziom o tyle, że nie tylko zdolności swoich nie rozwijają, ale nawet dochodzą do zupełnego ich zaniku. Ci sami autorzy, jeśliby, idąc za przykładem Konrada Korzeniowskiego, opanowali wszechświatowym językiem angielskim i po angielsku, a nie po polsku pisali to, co piszą dla zarobku, zyskaliby dosyć wolnego czasu, aby najlepsze swoje myśli przekazać rodakom w najdoskonalszej formie we własnym języku.

To samo, co w literaturze, zachodzi i na innych polach działalności. Gdy u nas pojawia się człowiek istotnych zdolności, nie znajduje pola dla ich zastosowania, musi się wiecznie kurczyć, aż zwiędnie. Najwięksi nasi poeci dopiero na obczyźnie rozwinęli

swój genjusz. Nasi śpiewacy i muzycy śpiewają i grają amerykańkom, bo nie jesteśmy w stanie opłacić ich muzyki i śpiewu. W zakresie przemysłu i handlu warunki nasze również nie pozwalają rozwinąć istotnie pierwszorzędných zdolności, i taki genjusz, który w Ameryce zebrałby miliony, u nas zaledwie zdoła spłacić długi przodków i pozostawić dostatek potomkom.

Może kto powie, że zalecam pogoń za groszem. Ależ ten grosz jest niezbędnym środkiem dla urzeczywistnienia najwięcej idealnych celów, a korzystniej jest zbierać go u zamożniejszych sąsiadów, niż wydierać go sobie wzajemnie. Weźmy np. uczonego, który przez fałszywy patryjotyzm koniecznie chciałby kształcić naszą młodzież w Warszawie, Krakowie lub Lwowie. Wzamiemian za tysiąc upokorzeń pozyskałby utrzymanie, zaledwie wystarczające na zabezpieczenie rodziny od głodu—ale niedostateczne, by odbywać podróże naukowe, zakupywać liczne książki do badań potrzebne i t. d. Zresztą ten uczone, jeśliby zechciał przyjąć udział w międzynarodowej pracy naukowej, musiałby w każdym razie ogłaszać swe prace w obcych językach.

Przypuśćmy teraz, że uwolni się od cia-

snego przesądu i przyjmie katedrę w jednym z wielkich amerykańskich uniwersytetów, gdzie za wykłady i ogłaszane dzieła z łatwością może zarobić kilkanaście tysięcy rubli rocznie. Wtedy pozyska środki dla daleko wszechstronniejszych badań i będzie mógł nawet corocznie sprowadzać, jako gości, do siebie kilku zdolnych studentów rodaków, którzy pod jego kierunkiem wykonają dzielne prace i powrócą do kraju zażarci amerykańską energią i produktywnością, szerząc u nas te zalety, których nam brak tak bardzo.

A czy prace tych wszystkich polaków, wykonane wśród obcych, są może stracone dla narodu? Bynajmniej! Praca jest polską, choć ogłoszona w obcym języku, bo jest płodem polskiego ducha, który się różni od ducha innych narodów. Im więcej takich prac będzie, tem większem poważaniem polacy będą się cieszyć u obcych, tem prędzej zatrze się zła opinia, wytworzona przez naszych emigrantów politycznych — ludzi, których z kraju wypędziły okoliczności, zatem nieprzygotowanych do współzawodnictwa z obcymi.

Nie ma gorszego błędu, jak utożsamianie emigracji politycznej z emigracją ekonomiczną i przeprowadzanie na tej podstawie naj-

falszywszych analogji. Emigranci polityczni się wynarodowili, bo byli słabi i nieliczni. Emigranci ekonomiczni wcale nie potrzebują się wynaradawiać, bo są to jednostki najdzielniejsze i idą wielkim szeregiem. To też nasza emigracja w Ameryce wcale się nie wynaradawia, a spotykałem tam nawet Żydów dopiero w Ameryce spolszczonych. Licniejsza emigracja chłopska do Ameryki jest zbyt świeżem zjawiskiem, aby można przesądzać o jej losie. Ale to można powiedzieć na pewno, że jeśli będzie ona ochroniona i poparta przez szeregi inteligencji, świadomie szukającej zastosowania swoich sił w Nowym Świecie, to zyska bardzo silne prawdopodobieństwo wytrwania w narodowych uczuciach, a nawet oddziała korzystnie na pozostałych w kraju, wzmagając ich siły materialne i moralne. Taką jest nauka, wpływająca z emigracji irlandzkiej. Irlandczycy byli biednym narodem, dopóki uparcie trzymali się gleby. Odkąd zyskali skrzydła i zaczęli się organizować w Ameryce, zyskali bardzo na sile w kraju.

Wstręt do emigracji jest pozostałością dawnych czasów, kiedy pojęcie narodowości bardzo ściśle wiązało się z pojęciem państwa, a każda narodowość prawie tylko w jednym państwie istniała. Dziś prawie

wszystkie narodowości współzawodniczą w opanowaniu kuli ziemskiej i wszędzie spotykamy anglików, włochów, Niemców. Czyż mamy im pozostawić wszystkie bogactwa, wszystkie korzyści, jakie zebrać mogą ci, co nie boją się odległości i podążają na krańce najodleglejsze tej małej kuli ziemskiej, w pogoni za tem, czego dla swych celów potrzebują? Chłopi nasi rozstrzygnęli tę kwestję. Ci, co osiedli w Stanach Zjednoczonych, wcale nie tęsknią do powrotu, natomiast przysyłają do ojczyzny dużo pieniędzy, a czasem z majątkiem, zebranych za morzem, wracają do kraju, by w nim złożyć kości. Tacy powracający do tąd są rzadcy jedynie dlatego, że tłumniejsza emigracja niedawno się zaczęła. Ale i u nas istnieją, a są daleko liczniejsi w krajach, z których oddawna odpływa potężna fala emigracji, po części do kraju wracającej, jak np. w szwajcarskim kantonie Graubünden. Tam każdy podróżnik napotyka piękne domki, zamieszkałe przez ludzi, którzy w obcych krajach zdobyli sobie materialną niezależność i do ojczyzny z dobytkiem, u obcych zebranych, wrócili.

Jeśli nasi najzdolniejsi ludzie odpłyną za morze, to wzmocnią oni tam narodowy byt rodaków, a my nic nie stracimy, bo u nas

potrzebni nie najzdolniejsi, ale najcierpliwszi, najwytrzymalsi. Najzdolniejsi u nas narażają się na wiele przykrości, bo zbyt prędko chcą iść naprzód po drodze, po której można się posuwać tylko na czworakach, a na której często wielkie zdolności bywają marnowane. Więc nie godzi się oskarżać o brak przywiązania do kraju tych, co w dusznej atmosferze wytrzymać nie mogą i śmiało wyruszają w świat, aby przyjąć udział w międzynarodowej walce o skarby materialne i moralne, których znaczna część wróci do ich ojczyzny. A co do wynarodowienia, to pamiętać należy, że ci, co się wynaradawiają, niewiele dla nas są warci, choćby na zewnątrz należeli do naszego narodu. Istnienie narodu i jego potęga zależy nie od ilości ciał, lecz od wartości dusz. Jedna wielka dusza więcej może zrobić nawet na dożywotniem wygnaniu, niż milion tchórzów małodusznych, garnących się do chat rodzinnych i bojących się Oceanu. Więc nie oskarżajmy tych, co szukają ujścia dla sił swych, nie oglądając się na granice swego kraju. Jeśli są silni i wielcy, to trwali będą i wierni w swej miłości, nie zdradzą i nie zapomną o matce, która ich wykarmiła, tylko zdobędą dla niej obfite plony, zebrane na odległych polach pracy i sławy.

B. 1)

Nie określiwszy dokładnie gatunku zdolności, których emigrację pragnąłem usprawiedliwić, naraziłem się ze strony p. Żuk-Skarszewskiego na podejrzenie, jakobyem zalecał emigrację wszystkim najzdolniejszym jednostkom. Tymczasem chodziło mi nie o cel praktyczny, tylko o sąd etyczny. Nie miałem najmniejszego zamiaru nikogo zachęcać do emigracji, bo kto zachęty by potrzebował, ten nie byłby wcale odpowiednią jednostką dla emigracji. Chodziło mi jedynie o wskazanie całej niesprawiedliwości sądów, potępiających wszelką emigrację, o zwrócenie uwagi na to, że przy obecnych warunkach, panujących wewnątrz kraju, oraz uzupełniających je stosunkach na szerokim świecie, emigracja zdolności jest jedną z pożytecznych i godnych uznania funkcji życia narodowego. Naturalnie miałem na myśli nie wszelkie zdolności, tylko szczególnie te, które w kraju nie mogą znaleźć zastosowania, zdolności rzeczywiste, nie zaś urojone. Zdolnym nazywam tego, kto jakąś specjalną pracę lepiej i łatwiej wykonać potrafi, niż inni. Jeśli człowiek, mający specjalną zdolność, nie znajduje dla niej zastosowania,

1) Drukowane w № 14 Kraju 1899 roku.

to bywa zmuszony wykonywać inne prace, do których nie ma zdolności, przez co jego szczególna zdolność bywa zmarnowana. Najwyraźniej widać to na zdolności do wynalazków technicznych, do twórczości naukowej lub artystycznej. Ludzie, dążący do rozwoju takich zdolności w najodpowiedniejszych dla siebie warunkach, bywają często powstrzymywani przez powszechne mniemanie, że jest obowiązkiem każdego zacnego obywatela pozostać w kraju. Gdyby Chopin lub Mickiewicz pozostali w kraju, to nie mogliby stworzyć wielu dzieł swoich i mielibyśmy o tyle mniej bogactw idealnych, składających się na tę ogólną ideę, w imię której pewni gorący jej miłośnicy każą nam trzymać się koniecznie ziemi rodzinnej. Wszelkie rozumowania o tem naturalnie wpływu praktycznego mieć nie mogą, nikogo nie skłonią, ani też nie powstrzymają od emigracji. Emigrują ci, co chcą i mogą, jak trafnie zauważył p. Skarszewski, i kierują się przytem pobudkami osobistemi. Ale i ci, co pozostają także czynią to z pobudek osobistych, oprócz takich rzadkich wypadków, jak np. stały pobyt w Grodnie autorki „Meira Ezołowicza.“ Więc oczywiście artykuły za lub przeciw emigracji mają tylko znaczenie moralne, mogą wpłynąć na sąd etyczny o fak-

cie emigracji, nie na decyzje jakiegokolwiek wychodźcy. Twierdząc, że jedna wielka dusza (na wygnaniu lub w kraju) może więcej zdziałać (dla celu idealnego), niż milion tchórzów małodusznych (garnących się do chat rodzinnych, lub emigrujących w pogoni za celami materialnymi), wcale nie miałem na myśli zarzucać braku odwagi tym, co pozostają w kraju, i nie sędzę, abym dał wystarczający powód do przypisywania mi tak lekkomyślnego i oczywiście niesłusznego zdania, któreby równało się obeldze, rzuconej całemu społeczeństwu. Dla istnienia narodu równie potrzebna jest masa jednostek, pozostających w miejscu urodzenia, jak i ta mniejszość, która szuka pola pracy gdzieindziej—i dlatego słuszność wymaga uznania dążeń mniejszości, nie wykluczając wszelkiego poważania dla większości. Tymczasem dziś owa większość przypisuje sobie wyjątkową zasługę i niesłusznie potępia mniejszość, zapominając o tem, że głębsze uczucia nie zależą od miejsca pobytu, a nawet czyny w wyższym stopniu zależą od charakteru, niż od zewnętrznych warunków. Najwięcej samodzielne jednostki wszędzie i przy najmniej korzystnych warunkach mogą rozwinać działalność, zgodną z ich celem głównym, będąc narażone conajwyżej na zmar-

nowanie pewnych szczególnych zdolności, nie zaś całej swej siły osobistej.

C. 1)

Kiedy dwaj ludzie w sposób bardzo zajmujący prowadzą rozmowę o przedmiocie niezmiernie zajmującym, trzeci, zwłaszcza którego ten przedmiot gorąco obchodzi, doświadcza ochoty powiedzieć: „Za pozwoleniem!“ i wmieszać się do rozmowy. Proszę o pozwolenie wmieszania się do rozmowy panów Lutosławskiego i Żuk-Skarszewskiego o emigracji zdolności ludzkich z kraju naszego do rozmaitych krajów świata! Wprawdzie rozmowa ta zdaje się być skończoną; że jednak zamiana ostatnich zdań pozostawiła w powietrzu coś jakby dźwięki

1) Jest to replika Orzeszkowej na moje dwa artykuły o Emigracji zdolności, i na polemikę z p. Żukiem Skarszewskim, w Nr 12 i 14 „Kraju“ z 1899 r. Artykuł ten wkluczam do Iskierok, gdyż jest on charakterystycznym znakiem nieporozumienia i rozdźwięku, jakie zwykle zachodzą między polskim myślicielem, a otaczającym go polskiem społeczeństwem. Tkwi w tem pewna tragedia, gdyż dzięki tej przepaści, która wolnego ducha polskiego, spadkobiercę wieszczów polskich dzieli od polskiego społeczeństwa, wiele jest takich duchów polskich, pozbawionych pola pracy we własnym społeczeństwie.

niedobrzmiałe, czy wahające się, czy w znak zapytania wygięte, proszę o pozwolenie nawiązania do nich jeszcze zdań kilku.

Przedewszystkiem szanownego profesora Lutosławskiego pozdrawiam uprzejmie i pamięci jego nasuwam wspomnienie dla mnie bardzo miłe pewnego dnia lipcowego, gdyśmy w głębi puszczy Białowiezkiej, na olbrzymiej kłodzie mchem obrosłej, jak na kanapie pluszem obitej siedząc, o wydalaniu się inteligentnej młodzieży naszej ze stron rodzinnych rozmawiali. Nie czarne czcionki drukarskie migotały nam wówczas przed oczyma, lecz prastare dęby i świerki wstrząsały niebotycznymi głowami, szumiąc zcicha i bezprzestannie. Zdawało mi się, że te olbrzymy wielkiego lasu, z pod nieba, którego czoła ich są bliskie, do tłumu, niewiele jeszcze nad ziemię wyrosłego, przemawiały: „Wzrastajcie tu, kędy zasiała was natura, rzucajcie dokoła siebie cień świeży i zdrowy, opadającymi liśćmi użyźniajcie glebę wspólną, rozrastającymi się gałęzmi nie dawajcie rozlegać się pustce, wiać mroźnym chłodom, piec skwarnym upałem. Bo gdybyście tego nie sprawiały, gdybyście zniknęły, cóżby się stało? Coby się stało? Oto zmarniałby i zniknął las!“ Taką ja mowę słyszałam w szumie białowiezkich dębów

i świerków, gdy na obalonym olbrzymie z szan. profesorem siedząc, sprzeczałam się z nim o to, o co później pan Żuk-Skarszewski miał się z nim na szpaltach „Kraju“ posprzeczać. Bardzo wdzięcznie czując przyjemność i zaszczyt, które znakomity gość odwiedzinami swemi wyrządzić mi raczył, sprzeczałam się jednak...

Teraz także występuję do sprzeczki, lecz uprzedzić śpieszę, że czynię to z przyłbicą pochyloną w głębokim ukłonie szacunku dla wiedzy wielkiej, dla zasług naukowych, dla niewątpliwej i dowiedzionej czystości i odwagi intencji i uczuć adwersarza mego. Ale — *errare humanum est*. Najznakomitsi umysłem i sercem mylić się mogą. Z najmiłszymi też niekiedy walczyć wypada, bo, jak słusznie powiada p. Żuk-Skarszewski: przyjacielem nam jest słynny komentator Platona, lecz większym jeszcze poczucie obowiązku!

* * *

Wszystkim znaną jest przyczyna, która sprowadziła u nas emigrację zdolności; była nią trudność otrzymywania na miejscu pracy zawodowej i zarobkowej w wielu jej działach. Kto wie jednak, czy ta przyczyna spro-

wadziłaby następstwa tak rozległe i trwałe, gdyby nie pewne właściwości momentu, w którym powstała sama. W momencie tym zjawilo się i zapanowało hasło pracy organicznej, samo znowu wywołane przez rozprężenie i zubożenie, którym wskutek katastrofy historycznej społeczeństwo uległo. Hasło to brzmiało: „pracować i wzbogacać się!“ Rada była dobrą; istotnie społeczeństwo potrzebowało odbudowywać się od samych fizycznych podstaw. Zkądinąd, od strony prądów naukowych i filozoficznych, zabrzmiały słowa: „wiedza, to potęga!“ Znowu słusznie. Istotnie wiedza jest dla społeczeństwa narzędziem potężnym do zdobywania wyższych szczebli życia. Hasła tedy były dobre i bieda w tem tylko, że sam nawet śnieg, mieszając się z ziemią, staje się szarym. W duchach przodujących poczęte i na sztandarach najwyższych wypisane słowa: „pracować i wzbogacać się!“ „wiedza to potęga!“, na miernym poziomie i małych chorągiewkach mas odbiły się w postaci, na pozór trochę tylko zmienionej: „pracować, aby wzbogacać się!“ „wiedza, to jedyna potęga!“ Na pozór zmiany drobne: dodanie tu i tam jednego tylko słówka, a sens rzeczy wyciągnął się po linii zupełnie krzywej.

W gruncie rzeczy ani praca, ani wiedza

same w sobie nie mogą być celem. O pracy ktoś dowcipnie powiedział, że to nóż i widelec, tyle warte, ile do krojenia żywności posilnej i zdrowej służą. Niezbyt zachwycałibyśmy się pracą człowieka, któryby w pocie czoła i bez żadnej potrzeby, kamienie z miejsca na miejsce przenosił; znaczna też mniejszość ludzkości zachwyca się pracą, dokonaną nad utworzeniem armaty Kruppa, albo może jakiej już nowszej i od tej jeszcze doskonalszej, bo nie jestem *au courant* faktów, w tej dziedzinie zachodzących. Co do wiedzy, to jest ona lampą niezmiernie drogocenną, gdy oświetla świątynię serc dobrych i czystych charakterów, lecz proszącą rozpaść choćby najjaśniej wśród egoizmu i złych namiętności, a zobaczymy, jakie to będą wspaniałe i święte widoki! Praca tyle jest warta, ile wart cel, do którego ona zmierza; wiedza o tyle oddaje ludzkości posługi dobre, o ile działa spójnie z potęgami moralnymi, których nawet sługą poniekąd być powinna. Że przy terażniejszym ustroju świata zarobek musi być jednym z celów pracy, to rzecz oczywista, lecz że nie powinien być jej celem nietylko jedynym, ale nawet głównym, to także prawda, i niezmiernie ważna. Że wiedza jest potęgą, nawet wielką, temu nikt nie przeczy, ale że

oprócz niej są w ludzkości czynniki jeszcze potężniejsze, bez których współdziałania ona nic dobrego zdziałać nie może, to również wątpliwości nie ulega. O tem, po przekreśleniu i obniżeniu hasła pracy organicznej i myśli naukowej pamiętało bardzo niewiele, większość zaś uderzyła czołem przed dwoma bożyszczami, któremi były: zarobek i nauka, z których jeszcze drugie zostało podporządkowane pierwszemu. Nauka dla zarobku, przez naukę do zarobku! Z innej strony, mnożące się potrzeby, wydelikatnienie smaku, wzrastająca konkurencja sprawiała, że pojęcie zarobku rosło w objętość, nabierało cyfry coraz znaczniejszej, a kiedy do tego wszystkiego przyłączył się właściwy nam brak przedsiębiorczości i właściwy wszystkim ludziom apetyt na gołąbki, któreby rychło pieczone wpadały do gąbek, powstało uczucie i kształcenie dzieci dla tego tylko celu, aby mogły zarabiać, jak najwięcej zarabiać, jak najrychlej zarabiać i potem używać. „Ucz się synku, królem będziesz!“ — mówi przystowie chłopskie. Mnóstwo ojców i matek, których poziom duchowy równy był społecznemu poziomowi chłopów, mawiało do synów: „Ucz się, synku, inżynierem będziesz!“ A dlaczego mianowicie inżynierem? Odpowiedź znowu w przypowieści

chłopskiej: „Co czyniłbyś, synku, gdyby cię królem zrobili? — Oj, matulu! Sadło łyżką bym jadł!“ Gdzie jeść? jaką łyżką? Czy z przyniesieniem komu straty lub korzyści? Czy z krzywdą czegoś wyższego nad jedzenie? O tem rzadko ktore ściany domowe słyszały, a szkolne nigdy, jak wiadomo, o rzeczach takich nie słyszą...

Że pokolenie, w takiej hygienie moralnej wychowane, nie zostało do dna zgangrenowanem, że wydało z siebie pewien procent istnień szanownych i sumień czystych, to przypisać należy krzyżowaniu się przyczyn, instynktom odziedziczonym, różnym czynnikiem, utajonym w wielkiej duszy narodu. Znakomita jednak liczba argonautów rozjechała się po lądach i wodach z jedyną, lub conajmniej przeważającą wszystkie inne myślą o „sadle jedzonym łyżką“ i nie słyszeliśmy, aby wiele tego przysmaku szło z tamtąd na smarowanie kół naszego wozu społecznego. Szło go trochę i idzie od wyjątków, ale to ani w przybliżeniu nie wynagradza ponoszonych strat.

Straty są bardzo ważne. Gdy jakaś praca, wiedząca do celu wielkiego jest do spełnienia, gdy jakieś zadanie jest do wykonania, ubytek każdej siły sprówdza stratę, a ubytek wielu sił niebezpieczeństwo, że pra-

ca spełnioną i zadanie wykonaniem nie zostanie. Gdzież jest na świecie takie prawo fizyczne lub moralne, że im trudniejszą i większą jest praca, tem więcej trzeba rozpraszać siły? A tu jeszcze przybywa taka rada: niech najślabi i najmniej zdolni pozostają przy robocie, a najsilniejsi i najzdolniejsi niech ją opuszczają! Niech ją opuszczają dlatego, aby w przyszłości, kiedyś tam, przywieść na grunt wspólny miliony, gdzieś tam zdobyte. Proszę o przebaczenie szanownego profesora, ale te miliony, to zabłąkane w szlachetnym umyśle jego echo przekreślonego i obniżonego hasła pracy organicznej: „pracować, aby wzbogacać się!“ Oprócz tego, są one, te miliony, niezmiernie problematyczne. Z bardzo rzadkimi wyjątkami, nietylko milionów, lecz kroci i bodaj lichych dziesiątków tysięcy nie przywiozły nam z łądów i mórz dalekich statki argonautów naszych, z których jednak powstaćby mogła flota ogromna. I pytanie: gdyby nawet te miliony były nie fikcją lecz istotną rzeczywistością, to czy zdołałyby zasypać próżnie, które zostawiają po sobie robotnicy, oddalający się od wznoszenia i naprawiania budowy społecznej? Wątpię; bo materialne bogactwo wtedy tylko społeczeństwu na pożytek idzie, gdy jest ono moralnie zdrowem,

a takim być nie może, skoro opuszczają je i pracować nad niem przestaną jednostki jego najzdolniejsze, najsilniejsze. Bodaj, że w razie takim, dopóki by miliony przybyły, rozumu i cnoty ubyłyby tyle, że już i miliony nie zdałyby się na nic, chyba... na przegrywanie ich w Monte-Carlo u szczytów, a jedzenie „sadła łyżką“ na poziomach niższych.

Teorja absolwowania jednostek zdolnych z powinności przyjmowania udziału w pracach i cierpieniach, całemu społeczeństwu wspólnych, wydaje mi się przedewszystkiem niesprawiedliwą. Bo czyliż sprawiedliwym jest, aby ten, kto od natury otrzymał najwięcej, dawał za to ludziom najmniej? aby dlatego, że wyższe zdolności dają mu większą możność usunięcia się od „okoliczności nieprzyjemnych“ — usuwał się, braci mniej zdolnych, słabszych, na pastwę im pozostawiając? „Dawajcie sobie radę jak umiecie, ja zaś, który lepiej od was radziłbym umiał, lecę sobie tam, gdzie dobrze, a wzamian przyślę wam kiedyś trochę pieniędzy i sławy, z których naturalnie sam przedewszystkiem skorzystam!“ Bracia krzywią się trochę z żalu, że lecieć nie mogą. Gdyby mogli, poleciliby także, bo przecież skoro najzdolniejsi taki przykład im dają, to widać

jest to rzecz ładna. Przytem tamci dokonywać będą na szerokim świecie dzieła niezmiernie pojętnego, bo niezmiernie dużego, mianowicie: służyć będą całej ludzkości! To wcale co innego, jak wiecznie w swojej tylko parafji na mszę dzwonić i ziarna piasku na kupę znosić...

Przysługi oddawane całej ludzkości — rzecz to arcypiękna i czołem przed nią, ilekroć się zdarzy! Ale zdarza się bardzo rzadko i właśnie najrzadziej pełnią ją uciekinierzy od tej cząstki ludzkości, której są krwią krwi i kością kości, choćby dlatego, że posiadać muszą najmniej tego szpiku, tego *nervous rerum* wszelkich dzieł wielkich, którym jest zdolność kochania i wytrwania. W ogromnej większości wypadków, *qui embrasse trop n'étreint rien* i kto wysiła się na objęcie ramionami kuli ziemskiej, jej nie obejmie i najcieńszego drzewka przed złamaniem się od wichru nie ośłoni. To słuzenie całej ludzkości przypomina mi zawsze bohaterkę jednej z powieści Dickensa, która znojem i atramentem oblana, zagrzebywała się w korespondencji, mającej na celu poprawę losu małych murzynków afrykańskich, a tymczasem jej własne dzieci gryzły z głodu surowe rzepy i tłukły sobie nosy, zlatując ze wszystkich schodów. Szerokie zamy-

sły tytanów naszych o służeńiu ludzkości prędzej czy później kurczą się w niezmiernie treściwe *Ego sum*, jeżeli nawet odrazu dwóm tym malutkim słówkom za imponującą maskę nie służyły. W najlepszym razie, mogą oni na szerokim świecie zbudować most prześliczny, podnieść kulturę leśną, napisać dobrą książkę, odkryć w powietrzu jeden pierwiastek więcej, ale czy przez to w zupełności już spłacą dług należny światu za większy od innych posąg, wzięty od natury? Czy okupi to winę nie przyniesienia żadnej cegły do tego mostu, który drży pod stopami ich najbliższych, nie podniesienia skali żadnej z dusz najbliższych, nie przysporzenia pierwiastków leczniczych i krzepiących atmosferze rodzinnej, której mają to do zawdzięczenia, że sami nie porodzili się dzikusami i niedołączkami? Wątpię.

Bo nie należy sobie wyobrażać, aby jedyną rację bytu na ziemi jednostek zdolnych stanowiło budowanie mostów, ulepszanie kultury lasów, pisanie książek, wymyślanie nowych maszyn i t. p. Wszystko to jest potrzebne, nawet bardzo, lecz przedstawia tylko część zadania jednostki zdolnej, część jej pożyteczności i wartości społecznej. Pozostaje duża reszta, mieszcząca się w sferze duchowej, w tej sferze, której zmierzyć, zwa-

żyć, zliczyć niepodobna, która przecież jest i na sferę miar, wag, cyfr, znakomite wpływy wywiera. Określić to można słowami: dobry ulepsza, światły oświeca, mężny skrzepia, skrzydlaty unosi w górę. Ani wymienić, ani przeliczyć niepodobna wzajemnych na siebie oddziaływań jednostek, a zwłaszcza oddziaływań jednostek zdolnych i „najzdolniejszych,” na mniej zdolne. Są one widzialne i niewidzialne, umyślne i nieumyślne. Widzialne i umyślne leżą na wierzchu. Trzeba tylko wiać katechizm i przeczytać siedem uczynków miłosiernych co do ciała i siedem uczynków miłosiernych co do duszy, aby dowiedzieć się, co, oprócz budowania mostów, podnoszenia kultury, leczenia chorych, bronięcia spraw sądowych i wszelkiej słowem pracy fachowej, zdolni i najzdolniejsi w społeczeństwie swem czynić mogą. Ale są w tej dziedzinie rzeczy jeszcze głębsze i subtelniejsze: jest ta pomimowolna emanacja, którą rozlewają dokoła siebie duchy silne i dobre, jest ta atmosfera moralna, która powstaje nad krajem z cnót i zdolności jego mieszkańców, są instynktowe rzuty i odruchy, które przebiegają od jednostki do jednostki, zakreślają koła coraz szersze i ogarniają ogół. Fizjologowie utrzymują, że pewne stany nerwowe są zaraźliwymi, takie-

miż są pewne stany duchowe, — co zresztą, może na jedno wychodzi. Nikt nie wie, ile dobrego lub złego wyrządził nieświadomie, przez poruszenie, spojrzenie, gest, których sam nie spostrzegł, przez wykrzyk, uśmiech, których nie zauważył, przez uścisk dłoni, wyraz twarzy, obraz całości swego życia. Nikt w zupełności określić nie potrafi, czegooby temu miejscu zabrakło, gdyby go na niem nie stało. Nikt nie dowie się, ile moralny ustrój jego zawdzięcza tym atomom, które nieświadomie wciągnął w siebie w atmosferę duchową, która go otacza, a którą tworzą ludzie znani i nieznani. Czyn, myśl, zdają się być tylko mojemi, tymczasem, nie! jestem tylko retortą, w której wyklarowały się i całokształt przybrały drobiny rzucające w powszechną chęć, w powszechny rozum, przez niewiadomo kogo, niewiadomo jak i niewiadomo kiedy. Zdarza się, że człowiek, choćby nic osobliwego nie czynił i żył sobie w sposób dość pospolity, już przez to jedno na atmosferę powszechną dobroczynny wpływ wywiera, że jest tam, gdzie jest. Otóż, argonauta odpływając, uwożą ze sobą wszystkie te umyślne i nieumyślne pożytki, któreby sprawić mogli, gdyby nie odpływali. Ani żadnych uczynków miłosiernych nie dokonają, ani do wytworzenia takiej atmosfery,

w którejby zdolności i siły pomyślnie wzrastały, swemi wyższemi zdolnościami i „bohaterskimi“ siłami się nie przyczynią. Wzajemian - przywiozą kiedyś miljony i na drugim końcu świata napiszą dobrą książkę.

A kiedy mowa o książkach, to powiedzieć muszę, że ten pan, który po angielsku pisuje powieści poczytne i opłacające się wybornie, o mało mię ataku nerwowego nie nabawił. Czułam, czytając o nim, taką jakąś rzecz ślizką i niesmaczną, podłazącą mi pod gardło! Jakto! Więc i zdolności twórcze przyłączyć się mają do „exodu“? Dotąd bywała tylko mowa o inżynierach, prokuratorach i śpiewakach operowych! Ale teraz zanoszą się już na udzielenie absolucji pisarzom! Jeżeli idzie o dzieła chemiczne, a nawet filozoficzne, to mało znam się na tem, i nawet niektóre przyczyny wydawania ich niekiedy w językach cudzoziemskich dostrzegam, lecz ponieważ zaczepione jest powieściopisarstwo, czyli kawałeczek twórczości, to należę do cechu, obowiązki jego *forts comme la mort* znam i z całej siły — protestuję. Zdolność twórcza, to sama korona rośliny, sam szczyt wieży, samo serce serca narodu. I ten kwiat, ten szczyt, to serce odbierać narodowi swemu i oddawać anglo-saksonom, którym ptasiego mleka nawet nie brakuje,

dlatego, że drożej za nie zapłacą! Ależ o tem pomyśleć nawet niepodobna—bez wstydu!— I trzebaż jeszcze, aby ten pan tak się nazywał, aby nosił imię może swego bardzo blizkiego przodka, tego Józefa Korzeniowskiego, nad którego powieściami, podlotkiem będąc, wylewałam pierwsze łzy współczucia i uczuwałam pierwsze ognie szlachetnych zapałów i postanowień. Nad powieściami pana Konrada Korzeniowskiego żaden podlotek polski nie uroni łzy altruistycznej, ani szlachetnego postanowienia nie poweźmie, lecz po namyśle, sprawia mi to boleść bardzo umiarkowaną, bo wierząc w wyższość pierwiastków, z których składa się wszelka siła twórcza, nie przypuszczam, aby nasza chciała kiedykolwiek oddać się powołaniu wiwandjery lub przekupki. Zresztą, nie umieramy tak dalece z głodu i na miejscu siedząc, abyśmy potrzebowali żywić się okruciami ze stołu wielkich panów. Pod tym względem jesteśmy sami dość dużymi panami..

Zwracam się teraz ku miłej sercom naszym obietnicy, że argonaucci powrócą. Kto wie, czy się spełni i—jak się spełni? Słuszną jest w tej mierze wątpliwość p. Żuk-Skarszewskiego i bardzo trafnie podpatrzonemi przyczyny, czyniące najczęściej powrót

niemożliwym. Ale oprócz tego, jeżeli nawet pewien procent ich powróci, to z czym? Co z sobą przywiezie? O milionach już wyraziłam swoje wszechstronnie sceptyczne zdanie, co zaś do zdobyczy innych, to przed wyobraźnią stają mi: głowy pozbawione włosów, usta kaleczące mowę ojczystą, serca od pieprzu życia zgorzkniałe, członki od trudów życia osłabłe, cały słowem aparat człowieka, przez zęby czasu mocno pogryziony. Takie resztki zdolnych i najzdolniejszych nie wynagrodzą pracom i interesom miejscowym ich gdzieindziej spędzonej, zdrowej i bujnej młodości, mniemam też, że atomy, przez te resztki do atmosfery rodzinnej wniesione, niewiele przyczynią się do rozszerzenia klasek piersiowych i ulepszenia zawartości czaszek ludzkich. Uparcie stoi mi przed oczyma obraz następujący: takie jakieś wielkie, rozległe śmietnisko, z którego niedołęgi „na czworakach chodzące“ krukami stare łachmany dobywają, gdy ludzie silni i rośli odchodzą odeń daleko, a potem wracają i w dowód miłości rzucają na nie łysiny, reumatyzmy, serca pokurczone, ręce pomdłałe, języki tak mową obcą przesiąknięte, że własnej zmieścić się może na nich jedna tylko kropla—i to mętna.

Przytem, każdy przywilej jest niebezpiecznym, a szczególnie udzielany zdolność

ciom; bo jak słusznie zapytuje p. Żuk-Skarzewski: gdzie tu sąd? jakie kryterjum miary? Ale dla społeczeństwa naszego przedstawia to niebezpieczeństwo omyłek, zwiększone przez panującą w niem manję wielkości. O przyczynach powstania tej manji nie tu miejsce opowiadać, lecz wszystkim wiadomo, że wśród nas kandydatów na dowódców zawsze pełno, szeregowcem zaś być nikt nie chce, a kto już koniecznie być nim musi, przypisuje to niesprawiedliwości ludzi lub losu, lecz niedostatku zdolności w sobie samym nie podejrzewa nigdy. Wszyscy jesteśmy bardzo zdolni i do wysokich stanowisk stworzeni, a jeżeli ich nie dosiegamy, to tylko dlatego, że świat jest źle stworzony, albo specjalne nieszczęście nas przesładuje. Takich genjuszów bez teki, jak Płoszowski, pełno u nas, a Słowacki w „Beniowskim“ poświęcił parę rymów pokojówkom, cierpiącym na arystokratyczną melancholję. Rzemieślnikiem, drobnym rolnikiem lub handlarzem może sobie być kto chce, tylko nie syn nasz, który jest zdolny, bardzo zdolny, i jeżeli już nie pisarzem, albo muzykiem sławnym, to kimś takim, co dochody znaczne i wysokie w świecie położenie ma, zostać musi i powinien. Syn, podrószszy nieco, tak samo myśli o sobie, jak

niemożliwym. Ale oprócz tego, jeżeli nawet pewien procent ich powróci, to z czym? Co z sobą przywiezie? O milionach już wyraziłam swoje wszechstronnie sceptyczne zdanie, co zaś do zdobyczy innych, to przed wyobraźnią stają mi: głowy pozbawione włosów, usta kaleczące mowę ojczyzną, serca od pieprzu życia zgorzkniałe, członki od trudów życia osłabłe, cały słowem aparat człowieka, przez zęby czasu mocno pogryziony. Takie resztki zdolnych i najzdolniejszych nie wynagrodzą pracom i interesom miejscowym ich gdzieindziej spędzonej, zdrowej i bujnej młodości, mniemam też, że atomy, przez te resztki do atmosfery rodzinnej wniesione, niewiele przyczynią się do rozszerzenia klasek piersiowych i ulepszenia zawartości czaszek ludzkich. Uparcie stoi mi przed oczyma obraz następujący: takie jakieś wielkie, rozległe śmietnisko, z którego niedołągi „na czworakach chodzące“ krukami stare łachmany dobywają, gdy ludzie silni i rośli odchodzą odeń daleko, a potem wracają i w dowód miłości rzucają na nie łysiny, reumatyzmy, serca pokurczone, ręce pomdłałe, języki tak mową obcą przesiąknięte, że własnej zmieścić się może na nich jedna tylko kropla—i to mętna.

Przytem, każdy przywilej jest niebezpiecznym, a szczególnie udzielany zdolność

ciom; bo jak słusznie zapytuje p. Żuk-Skarzewski: gdzie tu sąd? jakie kryterjum miary? Ale dla społeczeństwa naszego przedstawia to niebezpieczeństwo omyłek, zwiększone przez panującą w niem manję wielkości. O przyczynach powstania tej manji nie tu miejsce opowiadać, lecz wszystkim wiadomo, że wśród nas kandydatów na dowódców zawsze pełno, szeregowcem zaś być nikt nie chce, a kto już koniecznie być nim musi, przypisuje to niesprawiedliwości ludzi lub losu, lecz niedostatku zdolności w sobie samym nie podejrzewa nigdy. Wszyscy jesteśmy bardzo zdolni i do wysokich stanowisk stworzeni, a jeżeli ich nie dosiegamy, to tylko dlatego, że świat jest źle stworzony, albo specjalne nieszczęście nas przesładuje. Takich genjuszów bez teki, jak Płoszowski, pełno u nas, a Słowacki w „Beniowskim“ poświęcił parę rymów pokojówkom, cierpiącym na arystokratyczną melancholję. Rzemieślnikiem, drobnym rolnikiem lub handlarzem może sobie być kto chce, tylko nie syn nasz, który jest zdolny, bardzo zdolny, i jeżeli już nie pisarzem, albo muzykiem sławnym, to kimś takim, co dochody znaczne i wysokie w świecie położenie ma, zostać musi i powinien. Syn, podrószszy nieco, tak samo myśli o sobie, jak

myśleli o nim jego rodzice i z całej, często malutkiej siły, drze się na szczyty. Jeżeli ukażecie mu te szczyty w Patagonji, mówiąc, że najzdolniejszym wdzierać się na nie wolno, pojedzie do Patagonji, z sumieniem spokojnem, bo z wiarą, że do najzdolniejszych należy, więc mu wolno. Tymczasem, w ogromnej większości wypadków, patagońskie szczyty okazują się niedostępnymi, gdy tu, na poziomach różnych, sterczą mury gęsto podziurawione i których reperować niema komu. Zdaniem mojem, na wszystkich szczeblach zdolności ludzkich, od najniższego do najwyższego, reguła moralna powinna być jedna. Co uczciwe, to uczciwe, a co nie, to nie. Zarówno dla najmędrszego, jak dla najmniej mądrego; owszem, najmędrszy zdaje się być najwięcej odpowiedzialnym za to, co czyni, bo może najwięcej dać i najwięcej odebrać, a także, najlepiej rozumie znaczenie i wagę swoich czynów. *Noblesse oblige!* Święte przysłowie, jeżeli zastosujemy je do wszelkiego rodzaju szlachectwa.

Prawda,—i w tem z szan. profesorem zgadzam się najzupełniej, że im zdolniejsze, bujniejsze umysłem i charakterem jest indywiduum, tem dotkliwiej i różnorodniej wśród

„okoliczności nieprzyjemnych“ i „atmosfery dusznej“ cierpieć musi. Tak to już jest na tym świecie, że za wszystko płacić trzeba. Wyższe zdolności, to zarazem większe potrzeby wewnętrzne i większa tkliwość na dotknięcia zewnętrzne, zatem szersza przestrzeń i cieńsza skóra, podatna cierpieniu. Ale—cóż ztąd? Może na jakim planecie panuje taki raj, że można wiele myśleć, głęboko czuć i—nie cierpieć; lecz na ziemi jest inaczej. Czy przeto nie trzeba myśleć i czuć? „Myślenie sprawia ból głowy, a szczególnie serca“—mówił Renan, jednak sam przez całe życie nie czynił nic innego, tylko myślał i—dobrze czynił. „Do sławy idzie się pałacami, do majątku rynkiem, do cnoty pustynią“ — powiada przysłowie jakiegoś narodu wschodniego, a dodać trzeba, że na pustyni tej rosną kolczaste i czasem aż krwawe kaktusy. Jednak są tacy awanturnicy, którzy puszczają się na tę pustynię, i wieczna tylko szkoda, że jest ich za mało. Ktoś jeszcze rzekł. „Samotny orzeł, z górskiego gniazda spoglądając ku ziemi, дума niekiedy o szczęściu wróbli, które szczebiocą gromadnie i wesoło.“ Smutno orłowi, bo samotny; niemniej, któżby namawiał orły, aby usiłowały przemieniać się we wróble? Wiadomą też jest rzeczą, że perły leżą na dnie gorzkiego mo-

rza; nie mająż przeto nurkowie spuszczać się na dna morskie po perły? Oszukiwałby ludzi ten, ktoby chciał utrzymywać, że myślą i sercem wspinać się wysoko, znaczy to poić się słodyczą; wcale nie, znaczy to właśnie gorycze na słodycz dla innych przerabiać. Nietylko w dziedzinie sztuki człowiek może stwarzać arcydzieła piękna, lecz też często, aby skutecznie służyć temu, co kocha, z samego siebie stworzyć musi arcydzieła cierpliwości. W kwestji cierpienia innego wyjścia niema, jak tylko hasło zasadnicze: kiedy trzeba, to trzeba! Naturalnie, że zastanowić się należy: czy trzeba? lecz jeżeli po narażeniu z sumieniem wypadnie: cierpieć! to i cierpieć. Za starożytnych czasów rzymskich, stoik Musonjusz, zagrożony wyjazdem do dzikiej Ilirji, jeżeli zasad swych dobrowolnie głosić nie przestanie, owinął się w dziurawą togę, rzekł: *principiis obsta!* i pojechał do Ilirji. Otóż to: *principiis obsta!* Przy zasadach stójmy! Najzdolniejsi i najniezdolniejsi, w uciechach i w cierpieniu, w okolicznościach przyjemnych, czy nieprzyjemnych, przy zasadach stójmy, bo inaczej wszyscy, ilu nas jest, na podstawie swoich zdolności niepospolitych lub cierpień nadzwyczajnych, u sumienia paszporty sobie wyrobimy i marsz! ku pogańskim szczytom,

na które w dodatku jeden z nas na sto tysięcy wydrzeć się zdoła.

To mówienie o cierpieniu usuwa potrzebę mówienia o tchórzostwie tych, którzy „w dusznej atmosferze“ tkwią, i o bohaterstwie tych, którzy w niej tylko swoich najbliższych bliźnich pozostawiają. Z tą klasyfikacją bardzo dziwną nie po raz pierwszy się spotykam, bo już w recenzjach jednej z powieści swoich wyczytałam, że Australczyk mój, który wyrzekł się w bardzo odległym mieście urzędu prokuratorskiego, a osiadł w małym miasteczku rodzinnym jako obrońca sądowy, złożył przez to dowód tchórzostwa i małoduszności. Najzarliwszy nawet zwolennik urzędów sądowych nie wpadłby pewnie na myśl, że prokurator i bohater, to jednoznaczniki; ani też najzaciętszy wróg chrześcijaństwa nie posunąłby się aż do twierdzenia, że „nieumiejętnych nauczać, smutnych pocieszać, wąpiącym dobrze radzić i t. p.“, a w dodatku, dla możliwości czynienia tego w „dusznej atmosferze“ i wśród „okoliczności nieprzyjemnych“ osiadać, znaczy to samo, co być małodusznym tchórzem. Ale bywają rzeczy drukowane, które czytając, własnym oczom wierzyć się nie chce. Szanowny profesor Lutosławski cofnął swój zarzut tchórzostwa przeciw tym, którzy nie

mogą zdobyć się na bohaterstwo jechania na koniec świata po urzędy prokuratorskie i inne. Rzecz to rozumiała; bo w umyśle tak wysoce oświeconym i wogóle w duchu tak szlachetnym, jak szan. profesora, zdanie to na żaden sposób nie mogło być czem innym, jak niedostrzeżeniem narazie *lapsus calami*. Zaś panów recenzentów warszawskich ucieszyć mogę wieścią bardzo prawdopodobną, że miara przez nich do bohaterstwa i tchórzostwa przykładana, w pewnym przynajmniej stopniu zmniejszyła liczbę tchórzów, a powiększyła liczbę bohaterów...

*

*

*

Nie wiem, czy to prawda, ale słyszałam, że miecz, grożący głowie Damoklesa, zawieszony był na sznureczku, złożonym tylko z kilku nitek. Na kilku nitkach czasem wiszą losy narodów i jedną właśnie z nitek takich wydaje mi się oddawna emigracja naszych zdolności. Zawsze też najgłębsze zdumienie obudzało we mnie to, że nikt dotąd szczególnej uwagi na nią nie zwraca, że nikt o ustanawianiu względem niej jakichś zasad, jakiejś teorii nie myśli.

Że tu panują przyczyny ekonomiczne, to nie racja, bo przyczyny ekonomiczne nie są

Panem Bogiem, ale rzeczą ludzką, która w ręku ludzkim rozmaitym zmianom, modyfikacjom, zastosowaniom i przystosowaniom się podlegać może. W każdym razie jakieś próby i usiłowania czynićby należało, aby sprawę wyświecić, garby jej wygładzić, wybujałościom tamy stawić. Przyznać trzeba, że istotnie poszukiwania i badania na tej drodze, zwłaszcza wytwarzanie środków zaradczych, są bardzo trudne. Zagadnień, wątpliwości, węzłów i haków różnej natury panuje tu tłok wielki. Przoduje wszystkim innym pierwiastkowa, lecz nieubłagana kwestja chleba; kiedy się komuś powiada: nie bierz go ztąd! trzeba też powiedzieć: zkąd ma brać, bo gdy będzie głodny, nie posłucha. Następnie, skoro pewne dziedziny pracy są na miejscu niedostępne, to czy doradzać młodzieży zaniechanie studjów naukowych w tych kierunkach? A jeżeli doradzać, to jakim sposobem zapobiedz wyjałowieniu niektórych dziedzin wiedzy w umysłowości powszechnej? I jakie też mają być studja naukowe i prace zarobkowe, które w zastępstwie odradzanych doradzać wypada. Ponieważ i o ekonomicznym rozwoju i wzroście zapominać nie należy, czy nie byłoby rzeczą możliwą te problematyczne miljony, po które argonauci

jeżdżą za rzeki i morza, zastąpić choćby dziesiątkami tysięcy, ale pewnymi i dobywanymi z gruntu własnego? Może na tym gruncie znajdują się jakieś zagony nie uprawiane a urodzajne? A jeżeli się znajdują, to jakie? gdzie? Czego potrzeba, aby je uprawiać? Jakiego kapitału? Jakiej umiejętności? jakich przysposobień umysłu i przymiotów charakteru? Atmosfera jest duszną, a duchy ludzkie, aby się w dusznych atmosferach nie rozkładać, silne być muszą. Więc czy niepodobna znaleźć sposobów odświeżania atmosfery z jednej strony, a z drugiej — wzmacniania duchów ludzkich, które przebywać w niej mają? Jakimi są te sposoby? W czym znaleźć je podobna? Może w dziedzinach życia rodzinnego i towarzyskiego, sztuki, uczuć humanitarnych i obywatelskich, pedagogiki, higieny moralnej, wzajemnej przychylności i pomocy. I tam dalej, i tam dalej! Całe dochodzenia śledcze, całe studja. Gdzieś już pisałam i teraz powtarzam, że dokonać ich nie może jedna głowa, choćby najtęższa, lecz że potrzeba na to usilności zbiorowej i rozumu wszechstronnego. Robota trudna i kto wie, czy nie w tej trudności tkwi przyczyna zaniedbania, w którym pozostaje. Bo my, ludzie bardzo słabi, dopóki tylko może-

my, odwracamy głowę od robót bardzo trudnych, czasem uspakajając się malowaniem z fantazji pięknej strony medalu, a czasem upewnianiem samych siebie, że nic nie pomoże, bo tu są przyczyny ekonomiczne. W ten to sposób, razu pewnego, gdy kuro-patwa głowę w śniegu trzymała, ugodził w nią strzał myśliwca.

Eliza Orzeszkowa.

Przypisek redakcji Kraju: Zastrzegłszy dla prof. Lutosląwskiego ostatnie słowo w polemice o „Emigracji Zdolności“, nie drukowaliśmy po zamieszczeniu jego wyjaśnienia listów i uwag, które otrzymaliśmy w tej sprawie. Przekonani jesteśmy, że szanowny profesor za złe nam nie weźmie, iż wyjątek uczyniliśmy dla artykułu Elizy Orzeszkowej, pisanego z taką powagą, przedmiotowością i tak pełnego głębokich myśli, że za polemiczny uchodzić nie może. Poczujemy się przytem do obowiązku zwrócenia uwagi czytelników z naciskiem na list prof. Lutosląwskiego, drukowany w № 14 Kraju, w celu wydania bezstronnego sądu o tem, jakie myśli przypisywać mu wypada. Dr. Lutosląwski, którego artykuł wywołał tak żywy ruch umysłów, z zadowoleniem widzieć będzie, że skłonił znakomitą naszą autorkę do wypowiedzenia swego zdania.

VIII.

Odpowiedź Orzeszkowej

napisana 14 Lipca 1910 r. w Kosowie.

Jedenaście lat temu, jak widać z powyższego przypisku, redakcja „Kraju“ zamknęła dyskusję, i nie miałem gdzie odpowiedzieć Orzeszkowej, twórczyni Mejera Ezołowicza i Eli Makowera—tych typów Izraela na wygnaniu. A jednak głos jej tak doniośle brzmi w imieniu wielu, co podobnie czują, że nie mogę, dziś ogłaszając krytykę tej znakomitej Polki, nie odpowiedzieć jej, jako także Polak, tylko Polskę inaczej pojmujący i czujący.

Mylnie podaje moja przeciwniczka przyczynę emigracji zdolności. Wszak ta emigracja nie od naszego pokolenia się zaczęła. Emigrowali w XVIII wieku Kościuszko i Pułaski, w XIX Mickiewicz, Słowacki, Chopin i Krasiński. A nie motywy ekonomiczne

były tu decydujące, lecz niemożność życia bez kompromisu pod uciskiem.

Być prawdziwym Polakiem, duchem wolnym, można w Szwajcarji lub Ameryce, można nawet w Turcji—gdzie się nie odpowiada za ogólne położenie, lecz dziś nie podobna prawie być takim Polakiem w Warszawie, ani w Poznaniu, a nawet pod pewnymi względami nie można być jeszcze w najgłębszem znaczeniu tego słowa duchem polskim w Krakowie lub we Lwowie.

Są ludzie, dla których kompromisy bywają znośne. Tych nie gańmy — oni wytrwają w ziemi ucisku, nie bez pewnego wynarodowienia swego ducha.

Lecz trzeba także uznać istnienie i powołanie tych, co chcą w swej osobie i w swem życiu wcielić ideał polskości. Dla nich Polska nie jest krajem, ziemią, domem rodzinnym—dla nich były napisane księgi Pielgrzymstwa.

Oni muszą być pielgrzymami, tułaczami, gdyż w ziemi rodzinnej mogliby tylko umrzeć lub żyć w więzieniu. Ale oni przechowują w sobie najczystszy ogień polskości—im przecie zawdzięczamy największe arcydzieła naszego ducha.

Im więcej kto jest Polakiem, tem mniej na niego działają motywy ekonomiczne —

tem więcej jest rycerzem ducha, walczącym o ideał swój — gdziekolwiek go Bóg zaprowadzi — a nie przyrośniętym do ziemi jak grzyb.

Emigracja ekonomiczna u nas nie jest emigracją zdolności, tylko nędzy. Emigracja zdolności przeważnie ma inne motywy, niż ekonomiczne, prócz u takich nielicznych wirtuozów jak Paderewski lub Modrzejewska, których kusily znaczne zarobki amerykańskie.

Wiedza dla niektórych ludzi może być celem, o ile to stanowi ich powołanie, by wiedzę ludzką mnożyć — podobnie jak i piękno dla innych bywa celem, jeśli są z powołania twórcami piękna.

Nie mamy prawa wszystkich do jednego jarzma naginać — trzeba uszanować odrębność powołań. A szczególnie prawdy i piękna jako celów istnienia ludzkiego niezależnych nie lekceważmy, nie bierzmy ich za środki do innych celów społecznych.

Czasem wiedza bywa środkiem, ale ta wiedza praktyczna, która służy, by most zbudować lub chorobę wyleczyć — to nie jest bynajmniej owa najwyższa wiedza, która jednostce może stać się celem wystarczającym dla jednego żywota.

Także twórczość artystyczna bywa czasem środkiem, lecz sztuka tendencyjna ni-

gdy nie wznosi się na najwyższe szczyty Piękna, stanowiącego wystarczający cel życia dla niektórych jednostek.

Wiedza jako środek może służyć i dla złych celów — wiedza jako cel życia jest święta i niepokalana. Podobnie i piękno jako środek może prowadzić do zepsucia, lecz to piękno, które jest celem, zawsze godzi się z cnotą, jest jedną z największych cnót człowieka.

Tych różnic praktyczne umysły nie rozumieją — nie mogą one ocenić ani teoretyka prawdziwego, ani artysty.

Dopóki wiedza jest tylko środkiem, nie dojdzie ona nigdy do najwyższej doskonałości — podobnie i piękno, służące za przynętę, nie będzie nigdy najwyższem i najdoskońszem pięknem.

Natomiast zarobek wcale nie potrzebuje być jednym z celów pracy, jak mniema Orzeszkowa. Kto najbezinteresowniej pracuje, ten zawsze zaopatrzony będzie w swe potrzeby istotne, a wiedzy nie godzi się porównywać z zarobkiem, bo bez zarobku jednostek społeczeństwo mogłoby istnieć, a bez wiedzy skazane byłoby na zagładę.

Zarobek jest celem i środkiem przejściowym dla niektórych ludzi — zaś wiedza jest

istotną i wiekuiącą potrzebą wszystkich duchów.

Kto tego nie pojmuje i wiedzę obok zarobku stawia, jako jeden z celów czy środków pracy, ten o bezwzględnem szczęściu, jakie dać może doskonała wiedza, pojęcia niema. Zestawiając zarobek z nauką, bluźni Orzeszkowa strasznie przeciw Duchowi Prawdy, okazuje, że tę duszną atmosferę, w której z własnej woli żyć postanowiła, ma za czyste powietrze Ludzkości — a zarazem zdradza pewne kalectwo duchowe, na które ona i wielu innych żyjących w ucisku bywają narażeni, — mianowicie ślepotę ducha, nie uznającą blasku bezwzględnej, bezinteresownej, nieużytecznej, niepotrzebnej Prawdy — a co za tem idzie, wiedzy i nauki.

Tylko tacy kalecy mogą zestawiać naukę z zarobkiem, jako równorzędne czynniki życia, lub uprawiać naukę dla zarobku. To są niewolnicy, nie znający istotnej wartości Prawdy, Wiedzy, Nauki.

A to że tak wysoce uzdolniony umysł kobiety, tak subtelnie odczuwającej pewne ideały, może w ten sposób przedstawiać sobie stosunek nauki do zarobku, jest jednym z licznych dowodów, że niewola, ucisk i przymus osłabiają ducha, że istnieje zatem potrzeba wyzwolenia choć niektórych duchów

za wszelką cenę od tych warunków, w których inne trzymają się za wszelką cenę ziemi przodków.

Dla tego też największe duchy naszego narodu od wieku tworzą, myślą i czynią na obczyźnie. Ta robota, do której Orzeszkowa chciałaby zaprządz wszystkich, nawet najzdolniejszych, najwięcej potrzebujących wolności Polaków—na czemże polega?

Na biernem wytrwaniu, na przechowaniu tego, czego nikt już wyrzucić nie może. Do tego starczą ci, co jak Orzeszkowa, uczuli ku temu powołanie.

Podobnie jak niesłusznem byłoby ze strony Mickiewicza żądanie, by wszyscy Polacy pisali wiersze, niesłusznem jest żądanie Orzeszkowej, by wszyscy pełnili tę właśnie służbę, która jej zapewniła wdzięczną pamięć u obu wybranych narodów.

Co do milionów, jakie argonauci zdobyć mogą dla kraju, to naturalnie Orzeszkowa ma rację, że są niepewne, ale niesłusznie bierze na serjo to, co ja ironicznie z umyślną przesadą, zwracałem przeciwko czysto ekonomicznym argumentom, dotyczącym zaniechania emigracji zdolności.

O ile mi ktoś twierdzi, że naród ponosi ekonomiczne straty na emigracji zdolności, to mu odpowiadam, że te straty nie są ko-

nieczne, bo ludzie zdolni w obcych krajach więcej zarobić mogą niż u siebie, a jeśli ich zarobki nie wracają do kraju, to dla tego, że się wynarodowili.

Ale inne znów niebezpieczeństwo wynarodowienia gorszego, bo ukrytego, grozi im w kraju. Wybór niech każdy czyni według swego sumienia. Nie wyobrażajmy sobie mylnie, że można dać w takiej sprawie powszechną receptę postępowania dla wszystkich.

Zdolności ludzkie bywają rozmaite—niektóre jednostki, jak Orzeszkowa, użyją tych zdolności w kraju—inni, jak Kościuszko lub Mickiewicz, zdołają i po za krajem dla narodu żyć i pracować.

Nie o to chodzi, by zdolne jednostki uwalniać od udziału w pracach i cierpieniach całemu społeczeństwu wspólnych, lecz o to, by im znaleźć pole pracy, odpowiadające ich zdolnościom. Zdolności specjalne wcale nie bywają gwarancją, że ten co je posiada, lepiej sobie da radę w warunkach, w których właśnie tych zdolności ani rozwinąć ani zastosować nie jest w stanie. Człowiek nie jest rośliną, wyrastającą z ziemi, lecz duchem przeznaczonym do panowania nad ziemią.

Samą Orzeszkową przyznaje, że zdolność kochania i wytrwania bynajmniej powszechną nie jest, a w szczególności nie zawsze ją ma-

ją ci, co się odznaczają zdolnością naukową lub artystyczną.

Niech więc każdy służy bliźnim temi zdolnościami, jakie istotnie posiada, zamiast się wysilać, żeby swoje zdolności przytłumić, a cudze naśladować.

Nie trzeba używać wyrazów *zdolny i najzdolniejszy* tak jakby jedna tylko zdolność istniała w człowieku, — należy pamiętać o nieskończonej różnorodności uzdolnień, które stwarzają różne powołania.

Pozostanie w kraju tych, co mają zdolności natury etycznej, czyli charakter, jest niewątpliwie najwięcej pożądane — lecz jeśli tę samą zasadę zastosujemy do ludzi, których główna zdolność jest naukową lub artystyczną, to tylko w wielu wypadkach przytłumimy te ich zdolności, a spodziewanej korzyści nie osiągniemy, bo ludzie zdolni naukowo, lub artystycznie, bardzo rzadko miewają w dodatku zdolności nauczycieli, wodzów, spowiedników i kierowników sumienia swoich bliźnich.

Błąd Orzeszkowej wynika u niej z tego kalectwa, które w niewoli się tak rozpowszechniło, a które polega na pewnej ślepcie duchowej, nie uznającej Prawdy, jako niezależnego ideału i celu życia. W niewoli siły moralne tak są potrzebne, że przywyka-

my do pewnego utylitaryzmu i tracimy poczucie bezinteresownej miłości Prawdy i Piękna. A jednak taka miłość bezinteresowna tych ideałów jest dla pełni życia również niezbędna, jak i miłość Dobra.

Ma zupełną rację Orzeszkowa, że każdy z nas pewien wpływ wywiera tem, że jest tam, gdzie jest. Ale to nie może być jedynym zakresem wpływu i działania dla jednostek, mających zdolności twórcze.

Mickiewicz gdyby wytrwał w Wilnie przez całe życie, niewątpliwie wpłynąłby korzystnie na całe bezpośrednie swe otoczenie, ale nigdy by nie napisał Pana Tadeusza, ani trzeciej części Dziadów, i nie wygłosiłby Prelekcji paryzkich — a może w atmosferze dla niego nieznośnej, sam utraciłby swe siły duchowe, rozpraszając je na nieliczne jednostki, pozostające w bezpośredniej z nim styczności.

Oburza się Orzeszkowa na znakomitego dziś w literaturze angielskiej Conrada (Korzeniowskiego). Ależ on, gdyby ze swych wypraw po wszystkich częściach świata, wrócił do Polski, to by osiadł gdzieś u krewnych na wsi i nigdy by się nie dowiedział nawet, że ma talent pisarski, bo nie śmiałby pisać w języku Sienkiewicza i Mickiewicza.

On do pisania został pobudzony w Angli — dla zarobku — i dał Anglikom szereg powieści, z których polski duch tryska, polski wpływ idzie na rasę dziś w świecie panującą. Więc my nie tracimy na tem, że on, zamiast pozostać marynarzem, stał się powieściopisarzem angielskim. Jego powieści nie są tendencyjne, jak powieści Orzeszkowej, nie miałyby społecznego u nas wpływu, do którego autorka „Nad Niemnem“ zawsze nawet w twórczości artystycznej przywiązuje największe znaczenie.

Nadto, nawet gdyby Conrad napisał po polsku swe powieści egzotyczne, to w Polsce nie miałby tego powodzenia co w Angli — a twórczość pozbawiona zachęty, jaką daje powodzenie, prawdopodobnie by zanikła.

Więc nie zazdrościmy Anglikom drugorzędnego pisarza, który i tak by naszej literatury nie wzbogacił, skoro się przyznaje, że motywem jego twórczości był zarobek. Nas stać na to, by wszystkim narodom ziemi dać wielu takich pisarzy, a zachować dla siebie tylko najlepszych, którzy duszę swą polską po polsku wypiszą.

Co do powrotu Argonautów, to w ostatnim pokoleniu mieliśmy kilka wielkich przykładów. Wrócił Szczepanowski z An-

glji, Jerzmanowski z Ameryki, Miriam z Paryża, Sieroszewski z Japonji, Folkierski z Ameryki południowej i wielu innych ludzi, pracujących duchem, wracało, wraca i wracać będzie, a tylko emigracja ekonomiczna często nam przepada—emigracja nędzy ginie, podczas gdy emigracja zdolności często powraca.

A jednak nawet lud nasz emigrujący dla zarobku także często powraca, i w wielu wioskach naszego kraju teraz spotykamy doświadczonych Amerykanów, którzy przywieźli z sobą do kraju i zapasy materialne i odwagę cywilną w walce o prawa.

Australczyk Orzeszkowej dobrze uczynił, że został w domu — ale też przyjmowanie urzędów od państwa zaborczego, które nas gnębi, nie należy bynajmniej do emigracji zdolności. Z Grecji zdolności emigrowały przez tysiącolecia — i pomimo to starczyło jeszcze sił, by jej niepodległość odzyskać.

A na zakończenie przytoczę doświadczenie osobiste. Orzeszkowa zwyciężyła — jej głos przed kilkunastu laty wyrażał opinię tyłu rodaków, że uległem, i zaniechałem emigracji do Ameryki, która wówczas wydawała mi się wskazaną, wskutek krzywdy doznanej w Krakowie.

Krakowski uniwersytet oficjalnie powołał mnie na katedrę filozofji przed przeszło osiemnastu laty, a dziekan wydziału filozoficznego nawet wymagał, bym przygotował kurs etyki dla prawników. Potem, nie donosząc mi nawet o zmianie postanowień, wybrano zamiast mnie Stefana Pawlickiego, który już zajmował katedrę na wydziale teologicznym, ale wolał przejść do wydziału filozoficznego.

A jednak ja na skutek powołania do Krakowa postanowiłem już opuścić Kazań i poczyniłem ku temu kroki, których cofnąć nie mogłem. Szczęśliwie wówczas miałem środki i mogłem zająć się wyłącznie pracą badawczą, najprzód w Anglji, potem w Hiszpanji.

Gdybym poszedł za moim własnym impulsem i po wydaniu dwóch dzieł obszerniejszych¹⁾ emigrował do Ameryki, bezwątpienia pozyskałbym stanowisko wybitne naukowe i pole do dalszej pracy filozoficznej i wychowawczej. Napisałbym szereg dzieł czysto naukowych i prędzej czy później był-

¹⁾ Plato's Logic, London Longmans 1897—Seelenmacht: Abriss einer zeitgemässen Weltanschauung, Leipzig 1899.

bym powołany ponownie na jedną z katedr filozofji w Polsce.

Tymczasem uległem sentymentalnej sugestji otoczenia. Upokorzyłem się przed fakultetem filozoficznym Wszechnicy Jagiellońskiej, prosząc o habilitację jako docent prywatny, gdy za moje prace naukowe już wówczas należała mi się zwyczajna katedra. I czegoż doczekałem? W walce z ugodowcami różnych odcieni sam się wykoleiłem, rozchorowałem się, zaniechałem pracy filozoficznej, do której miałem powołanie, i pomimo licznych kompromisów, doczekałem się zawieszenia moich wykładów w Krakowie, w kilkanaście miesięcy po ich rozpoczęciu!

Wskutek tego ponowne powołanie mnie do Krakowa stało się utrudnione i katedrę już tak dawno mi przeznaczoną, zajmie przyrodnik, niemający ani uzdolnienia ani wykształcenia filozoficznego.

Ja zaś, wciągnięty w wir bezowocnej i bezpłodnej pracy społecznej, pomimo późniejszej emigracji do Szwajcarji i do Anglji, zawsze musiałem wracać do kraju i wykolejałem się coraz to więcej, dla tego, że w kraju nie miałem pola dla moich zdolności. A te-

raz w 48 roku życia, jestem bez stanowiska, bez domu, bez przytułku—i znów zmuszony do spóźnionej emigracji. Ale dziś mi trudno pozyskać to stanowisko, które kilkanaście lat temu łatwo bym zdobył, świeżo po wydanych wówczas książkach, które więcej tegoż rodzaju zapowiadały i budziły oczekiwania, niespełnione wskutek szamotania się z trudnościami życia w kraju i tłumienia zdolności moich głównych (filozoficznych) a działania na polu społecznym, bez zdolności odpowiednich.

Naród na tem nie zyskał, a ja zmarnowałem dużo bardzo sił, zdrowia, i czasu — ulegając sugestji otoczenia, które razem z Orzeszkową wymagało koniecznie odemnie działania w kraju, bo nie uznawało moich dążeń czysto naukowych, bezinteresownej pogoni za prawdą filozoficzną.

Osiadając w kraju bez odpowiedniego i odpowiedzialnego stanowiska, bez właściwego moim zdolnościom pola działania, zmuszony byłem do działalności społecznej a po części politycznej, przez długi czas nie spostrzegając wcale, jak dalece mi brak w tym kierunku zdolności. Dopiero po kilkunastu latach próżnych wysiłków, powracam do drogi własnej, z której mnie sprowadziły głosy obce, podobne do głosu Orzeszkowej — i po

raz czwarty emigruję—ale już nie jako zdobywca, jakim mogłem być kilkanaście lat temu, tylko jako nędzarz, szukający zarobku, na równi z obieżysasami. Ale zarazem protestuję przeciwko tym wszystkim, co mnie wówczas sprowadzili z mojej własnej drogi, i nadal nie łatwo już głosom obcym ulegać będę. ¹⁾

¹⁾ Ostatnia próba osiedlenia się na stałe w Warszawie skończyła się rozczarowaniem, dla tego, że tam pola dla zdolności własnych nie miałem, a musiałem się próbować w zakresach mi obcych, łatwo pokonany przez takich praktycznych ludzi, jak W. M. K., lub do niego podobni, którzy odsadzili mnie nawet od prawa do wykładania na tych biednych kursach naukowych, jakie podczas mego pobytu w Warszawie jeszcze wegetowały!

IX.

Okrojone ideały.¹⁾

Z powodu powieści p. Rodziewiczówny p. t. *Kądział*,
Warszawa, 1899.

Znana jest powszechnie szlachetna tendencja autorki *Dewajtysa*. Pod energiczną jej ręką brzmi głośny dzwon, nawołujący nas do pracy wytrwałej nad uprawą ziemi, leczeniem chorych, oczyszczaniem hipotek—co ma stanowić najskuteczniejsze środki, prowadzące do dobra powszechnego. W zapale swym autorka dochodzi czasem do dziwnego lekceważenia innych ważniejszych sił i dążeń prawdziwie postępujących ludzkich społeczeństw.

Sztuka wydaje się w powieściach jej

¹⁾ Drukowane w „Czasie“ Nr 103, z 5-go Maja 1899-go r.

zbytkiem lub zabawką; nauka marzeniem lub w najlepszym razie tylko narzędziem do celów materialnych; życie towarzyskie—karygodnym próżniactwem; wszelkie dążenie idealne, oderwane od ziemi i własności ziemskiej, staje się niebezpieczną mrzonką, złudzeniem, chorobą.

Taka tendencja dochodzi do fanatyzmu—i nie stanowi bynajmniej objawu odosobnionego—bo nie brak innych autorów, a szczególnie autorek, w ten sposób budzących nasze społeczeństwo ze snu, w którym jakoby jest ono pogrążone.

Ostatnia powieść p. Rodziewiczówny, *Kądział*, jest nowym wysiłkiem w tym kierunku. Bez wątplenia głos ten nie jednego pobudzi do poważnej myśli lub nawet czynu. Ale warto się zastanowić nad tem, czy autorka nie mogłaby celu swego osiągnąć bez pewnego mimowolnego oszczerstwa innych ideałów, choć co najmniej równie doniosłych dla żyjącego narodu, a nawet stanowiących ważniejsze źródło rzeczywistej pełni życia, niż sianie pszenicy lub nawet bezpłatne leczenie chorych—jeśli siły duchowe są ważniejsze, niż siły materialne, o czem chyba sama autorka *Kądziali* nie wątpi.

Celem Taidy Skarszewskiej jest powiększenie majątku, aby jeden z synów mógł

się przy ziemi utrzymać, spłacając brata gotówką. Również materialny cel ma jej siostra Dysia, której ideałem jest szpitalik i apteczka, aby ulżyć włościanom w ich chorobach.

Natomiast teoretyczna wiedza jest wszędzie wyszydzaną. Irena uczyła się w mieście wielu rzeczy bardzo sumiennie i wytrwale, aby wreszcie pod opieką Taidy przekonać się, że niczego nie umie, dlatego, że z książkami miała do czynienia, zamiast praktycznie zająć się pracą. Sama Taida książek nie czytała, prócz *Ottarzyka polskiego i Listów św. Pawła* — a z pism jedynie *Gazetę Warszawską*. Gdy córka jej przyjaciółki Ożewskiej, Stasia, zapragnęła studjów medycyny, Taida narzeka na emancypację, nawet na istnienie druku i nazywa biedną studentkę awanturnicą—Dysia zaś postanawia codzienny pacierz na intencję zbłąkanej. Gdy ta sama Stasia otrzymała dyplom lekarski i pragnie poświęcić się badaniom naukowym, do których ma nadzwyczajne uzdolnienie—Taida kieruje uwagę młodej lekarki na potrzeby ludu i pośrednio skłania ją, aby osiadła w małym miasteczku prowincjonalnym i leczyła biednych bezpłatnie.

Aby ułatwić sobie przeprowadzenie tej tendencji pierwszeństwa celów materialnych

(zdrowia włóścian), nad celem idealnym (postępu nauki) — autorka przedstawia jedyną rzeczniczkę idealnego celu jako szczególnego potwora, pozbawionego wszelkich uczuć. Dopiero pod koniec powieści Stasia nagle i cudownie zostaje wyleczoną ze swej nienaturalnej obojętności, przez równie nienaturalną miłość stałego jej wielbiciela i towarzysza lat dziecięcych, Kazia Skarszewskiego, syna Taidy.

Kazio zna Stasię od dzieciństwa, kiedyś razem z nią chciał uciec do Ameryki, za co został obity przez matkę. Potem taka sama kara spotkała go za to, że ze Stasią wybrał się na kaczki, przyczem jej sukienka nieco się poplamiała. Rzecz dziwna, ten mazgaj dający się bić bez słusznego powodu, podczas kiedy towarzysza jego psot śmiało stawia czoło wszelkim prześladowaniom i kar w ten sposób unika — wyrasta na bohatera, dokonywa cudów w zakresie administracji majątkiem—ale w miłości znowu się okazuje jako dziecinny mazgaj — i nie umie użyć innego środka dla zdobycia ukochanej, jak bierne i przeciwne wszelkiemu prawdopodobieństwu wyczekiwanie przez lata całe.

Dzielniejszym na tem polu jest brat jego Włodzio, wielki urwis i dowcipniś, amator płci pięknej, obojętny na cierpienia ludu, ale za

to w konkurach energiczny i stanowczy. Pokochał biedną Irenę, która słusznie jest nań oburzona za to, że podstępem i fałszem oddalił od niej narzeczonego, by zająć jego miejsce. Jednak Włodzio niczem się nie zraża i tak wytrwale stara się o pannę, że w ciągu kilku miesięcy skłania ją do ślubu, pomimo przeszkód na pozór nieprzewyciężonych.

Już bo jedynym niematerjalnym ideałem autorki jest miłość—wielka miłość, powstająca bez widocznej przyczyny, trwająca wiecznie, przemieniająca zupełnie wszystkie władze duszy. Taką jest miłość Kazia do Stasi, a nawet Włodzia do Ireny. Kilkakrotnie autorka zaleca miłość, jako siłę zbawczą: jedna tylko miłość zyskuje u niej przywilej wolności od tych pętów, któremi krępuje wszystkie inne dążenia ludzkie. Surowa Taida, kierująca się we wszystkim daleko widzącym rozsądkiem i zasadami nieubłaganimi, przyjmuje za synowe dwie emancypantki, choć przeklina emancypację; pomimo swego zakonnego prawie życia, odczuwa tak głęboko prawa miłości, że mogąc skłonić Stasię do przyjęcia Kazia, nie śmie tego uczynić, tylko ją prosi, by mu pozwoliła czasem ją widywać, pod warunkiem, że on już nigdy o swej miłości nie wspomni.

Sceny śmierci Taidy i oświadczyn Stasi, pokonanej bierną stałością Kazia, są wysoce dramatyczne i piękne, ale pełne nieprawdopodobieństw. Panna oświadcza się kochającemu ją oddawna towarzyszowi lat dziecięcych — z własnego natchnienia całuje go w oczy—ale „usuwa się,“ gdy on, zachęcony tym przykładem, chce ją „do serca przygarnąć“—i siada tak, by ich stół dzielił. — W chwili tak wysokiego napięcia uczuć, czyta z pamiętnika dawno pogrzebanej Taidy długi ustęp, skierowany przeciw emancypacji kobiet, po czym wyciąga „przez stół“ do Kazia obie dłonie. A kandydat na pantofla, zamiast kochankę uścisnąć, uroczyście mówi „Amen“ i gotów jest czekać jeszcze pół roku na ślub.

Wielką będzie zasługa autorki, jeśli Płoszowskich i Podfilipskich, grasujących obecnie, zamieni na Taidy, dążące do utrzymania majątku dla synów, chociaż za pomocą dyscypliny chowanych,—Dysie, których ideałem jest szpitalik wiejski i apteczka,—a nawet Kaziów, mazgajów w sferach uczucia, lecz dobrych gospodarzy.

Ale piękne te typy mogą się mnożyć, bez osłabiania swych sił niepotrzebną i bezpłodną walką z emancypacją, nauką, sztuką a nawet życiem towarzyskiem. Jest miejs-

ce u nas na tysiące takich niestrudzonych pracowników na niwie materjalnej, bez uszczuplenia liczby nielicznych szermierzy na innych polach.

Jeśliby Stasia (z *Kądzieli*) została, jak zamierzała i mogła, jedną z nielicznych badaczek na polu teoretycznej medycyny, to życie jej dla ogółu miałoby większą doniosłość, niż nawet zdrowie tych wszystkich biedaków, których ona wyleczyła bezpłatnie w małym miasteczku.

Autorka nie zdaje sobie wcale sprawy z tego, że badacz samodzielny jest daleko rzadszym gatunkiem człowieka, niż dobry lekarz praktyczny; gdyby zaś życie praktycznego lekarza miało być lepszem pod względem moralnym, to liczba wielkich badaczy musiałaby się bardzo zmniejszyć, ponieważ wśród nich nie brak ludzi, ceniących dobro nadewszystko.

Na szczęście, prawdziwe powołanie do samodzielnych badań bywa zbyt silne, by mogło być zachwiane przez najlepsze nawet powieści tendencyjne—więc też Rodziewiczówna nie wpłynie wprost na osłabienie ruchu naukowego.

Lecz tendencyjność jej, szerząc fałszywe poglądy wśród szerokich kół czytelników, którzy nie są badaczami, ani też na bada-

niach naukowych się nie znają, naraża badaczy na lekceważenie pospolitego otoczenia, przez co wyrządza krzywdę nie tylko im, ale i społeczeństwu, osłabiając wpływ ich na ogół praktyków. Mogą oni niedbać o szacunek tłumów, ale tłumy wiele stracą na tem, jeśli będą miały uprzedzenie do najświatlejszych swych przewodników.

Kto ma powołanie istotne do badań oderwanych, nie da się namówić na działalność praktyczną. Lecz ci, co działają praktycznie, powinni pamiętać o tem, że wiedza żadna nie stanowi zamkniętej całości i że trzeba wciąż nowych pracowników, by same narzędzia i środki praktycznych zastosowań doskonalić. Jeśli ci, co je doskonalią, będą uznani za pasorzytów, za próżniaków, awanturników, egoistów, to z konieczności owi idealni, praktyczni obywatele będą musieli wyrzec się wszelkiego postępu i zasklepić w tradycyjalnej rutynie.

Zwiększenie dobrobytu nie może być jedynym celem życia narodowego, ani też nie jest wcale obojętnem, w czyich rękach spoczywają zapasy materjalne. To też Stasia nie tylko źle zrobiła, wyrzekając się samodzielnej pracy nad postępowaniem nauki, dla praktycznej działalności, skoro do badania miała wyjątkowe zdolności — ale okazuje dziwne

niezrozumienie warunków ekonomicznych, odmawiając przyjęcia zapłaty za swą pracę dlatego, że jej „nie potrzebuje.“ Pieniądże w jej rękę niewątpliwie mogłyby znaleźć lepsze zastosowanie społeczne, niż w rękę dewotki i plotkarki, Klary Wawelskiej, lub wogóle w rękę bogatszych niekiedy od niej filistrów. Widocznie ceni ona tylko wzrost materialnego dobrobytu powszechnego, nie przywiązując żadnej wagi do tego, w jaki sposób zdobyte środki zostaną użyte. Gdyby Stasia przyjmowała należne jej honoraria lekarskie od tych, którzy pieniądze wyrzucają na zbytki, mogłaby przy ogromnej swej praktyce i braku potrzeb osobistych zebrać spory fundusz na szkołę lub szpital, na Macierz lub na powiększenie perjodycznych nagród za oryginalne dzieła naukowe. Ale widocznie wszystkie te cele są jej obojętne, skoro uważa za obowiązek leczenie bezpłatne bogatych, o których wie dobrze, że oni dobrowolnie się nie przyłożą do celów ogólnych.

A jednak, nawet gdyby wszyscy ziemianie odpowiadali ideałowi Rodziewiczówny, gdyby wszyscy chłopci byli zdrowi i pracowici, gdyby własność ziemi była wyrwana z rąk niepewnych, lekkomyślnych lub wrogich, to cel odległy, do którego wszystkie

te środki mają dopiero służyć, ten cel byłby jeszcze dalekim od urzeczywistnienia, gdyby ci wszyscy pracownicy nie wydawali zpośród siebie szermierzy, tworzących niematerialne skarby nauki i sztuki.

Warto z całym natężeniem umysłu zastanowić się nad historją nowożytnej Grecji. Grecy nie są bohaterami, odznaczają się lenistwem, niesumiennością, kłamliwością i t. d. A jeśli pomimo tego cel swój osiągnęli, zawdzięczają to jedynie olbrzymiemu zapasowi sił idealnych, wytworzonych przez ich wielkich wieszczów, myślicieli, artystów.

Zapas ten przetrwał tysiącolecia i gdy zaczęła się materialna walka, werbował Grekom pomocników z pośród najwyższych moralnie i umysłowo obywateli innych narodów. Gdy Ypsilanti powstał, nie wskórałby swą walecznością, jeśliby za nim i nad nim nie stały nieśmiertelne cienie Platona, Homera, Eurypidesa, Sofoklesa, Eschylosa, które ściągnęły na stronę Greków Byrona i wielu doń podobnych entuzjastów, nawet ze sfer polityki praktycznej.

Więc należy zrozumieć, że jeden Mickiewicz więcej dla naszych odległych celów cywilizacyjnych zrobił, niż tysiące najzaniejszych rolników i lekarzy. Więc cziemy zdolności artystyczne i naukowe, poma-

gajmy im, nie odwracajmy ich od wysokiego posłannictwa, zbierajmy te nieśmiertelne zapasy sił idealnych, nieskończenie donioślejsze od wszelkich bogactw materialnych.

Szukajmy wiedzy i doświadczenia po szerokim świecie i rozpowszechniajmy te myśli, które stanowią istotę naszego bytu. W żadnym narodzie niema nadmiaru dusz, rwących się do najwyższych ideałów — praca takich dusz jest najwięcej produkcyjną nawet wtedy, kiedy nie przynosi skutków oczywistych, bo zwiększa zawsze pośrednio lub bezpośrednio zapasy sił duchowych, od których zależy zawartość i znaczenie zapasów materialnych.

Nie obcinajmy skrzydeł ptakom, rwącym się do lotu, nie krępujmy ich formułkami—niech lecą swobodnie według własnego natchnienia, które od Boga pochodzi. Mały z nich pożytek, gdy się ich zamknie w klatkach okrojonych ideałów.

Do pracy takiej, jaką na siebie przyjęła Taida, warto werbować tych, co tylko o sobie myślą lub próżnują; będzie to dla nich wielki postęp. Ale niech Taidy wiedzą, że całe ich istnienie żadnego nie miałyby celu, gdyby nagromadzone przez nich materialne

środki nie służyły do celów idealnych. Niechaj uznają każdy rodzaj zdolności i niech zrozumieją, jak na pozór bezpłodne marzenia przygotowują przyszłość promienną i jasną, gdy podnoszą dusze ponad bezpośrednio cielesne potrzeby.

X.

Teorja i praktyka.*)

W wielu nowszych powieściach (np. w „Kądzieli“ Rodziewiczówny) napotykamy dziwne uprzedzenie względem teoretycznej działalności, nie mającej bezpośrednich praktycznych zastosowań. Np. lekarz, marzący o badaniach samodzielnych, bywa przedstawiany, jako egoista, w porównaniu z lekarzem, osiadającym na wsi, aby leczyć chłopów.

Przytem najczęściej poczytuje się za pewnik, że wybór teoretycznej lub praktycznej działalności jest jedynie kwestją osobistej ambicji. Ten, co chce pracować naukowo, marzy o sławie, znacznych dochodach i t. p. — bezinteresowny zaś praktyk kocha lud, nie dba o powodzenie własne. Podobne poglądy są tak rozpowszechnione, że

*) Drukowane w № 14 „Głosu“ z 1898 r. w Warszawie.

należy je poddać krytyce, choć krytyka ta świadomemu rzeczy musi wydać się powtarzaniem prawd elementarnych. Jednak ktokolwiek chce jasno sobie zdać sprawę z zawilego zagadnienia moralnego, musi zacząć od przesłanek oczywistych i na nich budować dalsze rozumowanie. W powszechnem zaś uprzedzeniu do czystej teorii tkwi istotnie zawile nieco zagadnienie moralne, nad którym warto się zastanowić.

Że wiedza teoretyczna potrzebna jest dla postępu na praktycznych polach, to jest dostatecznie uznane. Ale ogół praktyków lubi patrzeć na wiedzę teoretyczną, jako na system zamknięty i niewzruszony, rzadko kiedy uzupełniany lub ulepszany, i to tylko przez gienjalnych badaczy. Tymczasem, w istocie, gienjalne odkrycia byłyby niezmiernie utrudnione w zakresie wiedzy, gdyby, oprócz owych gienjalnych badaczy, mnóstwo sumiennych zwyczajnych pracowników nie dążyło do rozwiązania prostszych zagadnień.

Nie dość jest sprawdzić formułę ciężenia powszechnego na ruchu wielkich planet i ich satelitów. Do astronomji należy obliczenie torów każdej nowospostrzeżonej komety, choć mozolne te rachunki niewielkie nastęrczają prawdopodobieństwo ważnych udoskonaleń

teorii. Jeśli kiedykolwiek takie udoskonalenie zostanie wymyślone, to trzeba będzie oprzeć je na materjałach, cierpliwie uzbieranych przez wielu skromnych pracowników.

Więc nauka dla swego rozwoju i postępu potrzebuje nie tylko gienjalnych pomysłów, lecz także mrówczej pracy. Wielkie pomysły są dziełem natchnienia i najczęściej przychodzą przy pracy nad skromnymi zagadnieniami. Niema drogi pewnej, prowadzącej do wielkich odkryć, tak, jak w zakresie praktycznym niema niezawodnej metody działania, zapewniającej nadzwyczajne powodzenie.

Kto zatem czuje skłonność i uzdolnienie do badań teoretycznych, bynajmniej nie wchodzi przez to na drogę sławy i zadowolenia osobistej ambicji. I owszem, prawdziwy teoretyk innej ambicji wcale nie miewa, jak poznanie prawdy, a o sławę wcale nie dba. Może całe życie strawić nad niewdzięcznym zadaniem i nie osiągnąć pożądanego skutku.

A jednak te nawet bezowocne usiłowania są pożyteczne dla ogólnego postępu nauki, ostrzegają bowiem następców przed fałszywymi drogami. Całość zaś postępu nauko-

wego jest niezbędnym warunkiem wszelkiego postępu praktycznego.

Jeśli ktoś ma powołanie teoretyczne, to nie godzi się odwracać go od tej drogi, bo teoretycy są dla ogólnego postępu podwójnie potrzebni. Po pierwsze, torują drogę praktykom, zwiększając zapas wiedzy, rozporządzalny do pokonania praktycznych trudności. Powtóre, sama teoria, niezależnie od wszelkich jej możliwych zastosowań, ma swą własną doniosłość dla życia poszczególnych ludów.

Zrozumienie doniosłości teorii czystej jest mało dotąd rozpowszechnione, a jednak jest ono jaknajzupełniej przystępne nawet dla tych, co nie mają sami upodobań teoretycznych.

Najłatwiej to pojąć, jeśli sobie przedstawimy taki zupełnie możliwy stan społeczeństwa, przy którym nie byłoby niezadowolonych potrzeb materialnych. Przypuśćmy, że w jakimkolwiek kraju wszystkie siły przyrody, wodospady, nadmiar ciepła słonecznego, wiatry, deszcze są w zupełności wykorzystane i, przy bardzo skromnym udziale myślących mieszkańców, produkują wszystko, co do ich życia jest potrzebne, ubranie, jedzenie i t. d. Jeśli w tym społeczeństwie pewien poziom wykształcenia praktycznego

jest wspólny dla wszystkich, tak dalece, że każdy jest w stanie czasowo podjąć się kierunku każdej maszyny, produkującej przedmioty, do praktycznego użytku potrzebne, to zależnie od usposobienia i charakteru, jedni mieszkańcy będą poświęcali tylko tyle czasu na pracę produkcyjną, ile potrzeba dla ich własnego utrzymania, inni będą z własnej chęci tworzyli zapasy bogactw dla siebie, swoich rodzin lub przyjaciół. Bo znamy wielu takich, co w pracy produkcyjnej znajdują zadowolenie całkiem niezależne od zysku.

Otóż przy takim stanie społeczeństwa, gdy każdy, oprócz pracy przymusowej, miałby czas na pracę dobrowolną, trudno przypuścić, żeby wszyscy oddawali się jedynie próżniactwu, gdyż potrzeba umysłowa zbadania istniejących warunków rzeczywistości, jest równie naturalną potrzebą człowieka, jak głód fizyczny.

Jeśli jest zasługą karmić głodnych, leczyć chorych, to w równej conajmniej mierze musi być zasługą uczyć łaknących wiedzy, nawet jeśli ta wiedza nie ma praktycznych zastosowań. A jeśli pragnienie wiedzy przy lepszych warunkach ekonomicznych musi wzrastać, to i praca nad powiększeniem ludzkiej wiedzy powinna być przez

ogół w równej mierze ceniona, jak praca nad powiększeniem urodzajności gleby.

Tego zdaje się, wcale nie pojmują takie bohaterki pracy fizycznej, jak Taida Skarszewska w „Kądzieli“ p. Rodziewiczówny,

Pięknie przedstawił Prus w „Faraonie,“ jak lekceważenie wiedzy teoretycznej, mianowicie rachunku, umożliwiającego przepowiednię zaćmienia słońca, stało się przyczyną tragicznego upadku Ramzesa. Zupełnie taki sam błąd jak Ramzes, popełniają znaczne autorki, wychwalające pod niebiosa pracę nad polepszeniem materialnych warunków życia, a lekceważące sobie pracę nad udoskonaleniem ideałów, do których kiedyś syty lud będzie wzdychał.

Błąd ten jest tragiczny, jeśli przyjąć pod uwagę zasadniczą tendencję owych autorek. Bo wszakże jest oczywistem, że one same uważają zalecaną przez się pracę jedynie za środek, służący do celu idealnego, mianowicie do utrzymania odrębności plemiennej pewnego odłamu ludzkości.

Otóż ten cel może jedynie być osiągnięty przez wzgardzonych uczonych i artystów, nigdy zaś jedynie przez rolników i przemysłowców, choć istnienie rolników i przemysłowców jest niezbędnym material-

nym warunkiem dla istnienia uczonych i artystów.

To, co istotnie stanowi odrębność plemienną, nie polega na produktach materialnych, lecz na dziełach idealnych. Holenderskie krowy łatwo jest hodować u nas i w każdym kraju o podobnych warunkach klimatycznych — ale żaden holenderski poeta, choćby przez dziesięć lat karmił się kołodunami litewskimi, pił miód polski i kąpał się w ciechocińskim ługu — nie wymyśliłby nic podobnego do „Improwizacji“ Mickiewicza.

Takie utwory sztuki, filozoficzne światopoglądy i naukowe badania—nadają dopiero pewien charakter ludowi, wśród którego powstały. Jeśli kilka milionów ludzi mówi jednym narzeczem, to nawet przy zupełnej niezależności, przy największym dobrobycie ludzie ci nie stanowią jeszcze narodu, jeśli nie mają cech narodowych odmiennych, wyróżniających ich od sąsiadów.

Do cech narodowych nie można zaliczać gatunku przez ten naród wyrobionego chleba lub piwa, gdyż te najłatwiej mogą być naśladowane. Tutaj tylko cechy duchowe mają istotną doniosłość. Gwara lub dialekt stają się językiem wtedy, gdy posłużą do rozwoju oryginalnej literatury. Kilkaset ty-

sięcy Duńczyków oddawna stanowiło odrębną naród,—znacznie zaś większa liczba Prusaków wchodzi w skład narodu niemieckiego i w literaturze posługuje się ogólnym językiem literackim niemieckim, wyrobionym przez inne szczepy. Na wielu podobnych przykładach możnaby wykazać, jak ściśle życie narodowe jest związane raczej z produkcją umysłową, niż z władaniem ziemią. Gdybyśmy, oddając sto majątków hakatystom, mogli za tę cenę zdobyć jednego Mickiewicza lub Matejkę, to wartoby to uczynić, choć władanie ziemią jest najważniejszym z materialnych warunków bytu narodowego.

Wartość wszelkich warunków materialnych zależy od ich zastosowania. Moglibyśmy osiągnąć wielkie powodzenie ekonomiczne przy upadku sił narodowych i odwrotnie nadzwyczajny rozkwit życia umysłowego przy bardzo ciężkich ekonomicznych warunkach ogólnych, bo przedstawiciele życia umysłowego, nawet przy największym jego rozkwicie, bywają nieliczni i mogą mieć osobiście byt zapewniony, pomimo powszechnego ubóstwa.

Bogactwo jakiegokolwiek ludu bynajmniej nie zapewnia mu intensywnego życia umysłowego—jak to widać w wielu stanach

Ameryki Północnej, gdzie przy wielkim wzroście przemysłu, rolnictwa i handlu, brak zupełnie wielkich poetów, malarzy lub uczonych. Widzimy coś podobnego i u nas: obecnie nasze położenie ekonomiczne jest niewątpliwie lepsze, niż w pierwszej połowie bieżącego stulecia, a jednak nie mamy tak licznych przedstawicieli naszej odrębności duchowej, jak wtedy.

Trudno wskazać warunki, od których zależy przyjście na świat genjuszy — to jedno jest pewnem, że nie dosyć jest, na wzór pszczoł, obficie karmić jaką jednostkę, aby wyrosła nad otoczenie. Więc powinniśmy z czcią i uznaniem spoglądać na tych, co dążą ku celom idealnym, i nie zaprzęgać ich do zadań praktycznych—bo oni najskuteczniej pracują nad urzeczywistnieniem najistotniejszych naszych celów.

XI.

Środki i cele.

Oddawna niektóre nasze autorki w licznych powieściach przedstawiają z wielkim zapałem walkę o ziemię, jako najważniejszy cel życia znacznej części społeczeństwa.

Cel ten w ich oczach nabiera takiej doniosłości, że wydaje się celem jedynym, najwyższym, do którego wszystkie inne powinny się stosować. Nieraz bohater takiej powieści uważa za swój obowiązek ożenić się z posażną panną dlatego tylko, żeby oczyścić swój majątek od długów — i czyn taki bywa przedstawiany jako bolesna, lecz nieunikniona ofiara. Częściej surowe ziemianki odrywają swych bohaterów od celów naukowych i artystycznych, jedynie dla-

*) Drukowane w № 14-m Przeglądu Tygodniowego z 8-go kwietnia 1899 r.

tego, żeby ich zająć praktycznem gospodarstwem dla uratowania majątku rodzinnego.

Nauka i sztuka—to kosztowne zabawki, dobre dla bogatych ościennych narodów—nie dla nas. Taka tendencja redukująca cele życia do władania ziemią i zwiększania zasobów materialnych, często przebija się w utworach pań Orzeszkowej, Kowerskiej, Rodziewiczówny — i pomimo niewątpliwej dobrej woli autorek, prowadzi do potwornych konsekwencji.

Aby je uprzytomnić, wystarczy jasno sobie przedstawić; do czego byśmy doszli jeśliby wszyscy się tym ziemiańskim duchem przejęli. Literaturę wolnoby uprawiać tylko w chwilach swobodnych od praktycznych zajęć—a taka literatura chyba nie przekraczałaby granic powieści tendencyjnej.

Na naukowe badania tembardziej nie byłoby czasu — bo wiedzę, potrzebną w walce o ziemię, sprowadzilibyśmy sobie z Niemiec, gdzie nauka najtaniej bywa produkowana. Artysta, szukający wrażeń, natchnień, potrzebujący długoletnich podróży dla studjów — uchodziłby za darmozjada i zostałby rychło przez wymowną siostrę lub kochankę przekonany, że powinien się wziąć do pracy produkcyjnej.

Dzieła sztuki, jakie pozostają w kraju po dawniejszych pokoleniach marzycielskich, zostałyby powoli, przy wzrastającej obojętności a nawet pogardzie pracowitego ludu dla takich cacek, rozkupione przez ciekawych cudzoziemców i rozproszone po muzeach zagranicznych.

Nawet pomniki Mickiewicza i Kopernika sprzedalibyśmy za wysoką cenę, obracając otrzymane ztąd sumy na ulepszenie mieszkań dla robotników, na budowę szpitali, szkół, i t. d.

Podobny los spotkałby wszystkie biblioteki większe, gdyż nie brak amatorów na nasze stare książki w obcych krajach. Natomiast zbudowałibyśmy mnóstwo szpitali, fabryk, a nawet szkół elementarnych, zasadzilibyśmy miliony drzew, krzewów i ziół aptecznych, spłacilibyśmy wszystkie długi nasze, i każdy ziemianin posiadałby nawet spory kapitał zapasowy na nieoczekiwane wypadki.

Ale wypadków żadnych byśmy się nie doczekali, bo cóż może grozić tak przeczornym gospodarzom, jak najskrupulatniej przestrzegającym obowiązujące prawa, ciągle zajętych powiększeniem wydajności ziemi?...

Natomiast przy całym tym wielkim rozwoju pomyślności materialnej, coraz to mniej

różnilibyśmy się od naszych sąsiadów. Któżby wtedy myślał o takich dzieciństwach, jak zaprzestanie kupowania jakiegoś towaru u Niemca!

Towar każdy kupowalibyśmy, gdzie go najtaniej można dostać.

Środki ekonomicznego rozwoju są mniej więcej jednakowe dla rozmaitych narodów—więc kto rozwój ekonomiczny ceni wyżej, niż ideały nauki i sztuki, ten musi zatracać powoli odrębność szczepową.

Choćbyśmy wszystkie majątki, zdobyte przez Niemców w Poznańskim, napowrót odzyskali, kosztem zaniku dążeń artystycznych i naukowych, to byłibyśmy tem pewniej skazani na rychlejsze zniemczenie, bo cóż nas odróżnia od Niemców, jeżeli nie myśl nasza i wyobrażenia, tworzące dzieła sztuki lub badania naukowe.

Natomiast moglibyśmy całkiem zatracić całą własność ziemską przez nas posiadaną, bez wielkiej ujmę dla najdostojniejszych celów, jeśliby się nam za każdą utraconą włókę ziemi rodził jaki Sienkiewicz, Paderewski, Siemiradzki lub Chełmoński.

A ponieważ na obstalunek niestety dotąd nie można powoływać do życia samych genjuszy, więc jedyną drogą prowadzącą do zwiększania ich liczby jest uznanie powszechne do-

niosłości dążeń artystycznych lub naukowych, nawet gdy te są na pozór całkiem nieprodukcyjne. Jeśli ktoś ma wielką chęć do zdobywania wiedzy, a zupełny brak środków do tego, to wybór powołania będzie jedynie zależał od jego charakteru. Kto nie dba o wygody materialne, wybierze sobie żywot teoretyka, choćby nie miał najmniejszej gwarancji, że na tej drodze cośkolwiek zdziała. Jeśli pracując przez całe życie i zaniedbując materialne cele, taki człowiek nic nie wymyśli, nic nie odkryje, nic nie napisze — co jest nadzwyczaj mało prawdopodobnem — to jeszcze nie wolno twierdzić, że życie zmarnował w porównaniu z tym, co zbudował kilka fabryk i wyprodukował za kilka milionów towaru.

Nie wszystkie owoce pracy dadzą się obiektywnie ocenić. Ów na pozór nieprodukcyjny teoretyk mógł mieć wpływ stanowczy i zbawienny na innych ludzi, których dzieła i prace są znane. Jego działalność musiała w pewnej mierze podnieść poziom ideałów otoczenia i zarazem różniczkować istniejące ideały, co stanowi prawdziwe bogactwo tego narodu, do którego ów badacz należał.

Natomiast, zwiększenie wydajności gleby, nawet podniesienie poziomu zdrowia pu-

blicznego, wcale nie przyczyniłyby się do podobnego postępu — gdyż siły materialne są tylko środkami i mogą być użyte do przeciwnych celów.

Ogromna większość mieszkańców każdego kraju jest pozbawiona zdolności do pracy naukowej lub artystycznej; dla nich jest wielką zasługą praca nad zwiększeniem zasobów materialnych.

Ale tacy robotnicy niech zawsze pamiętają, że zbierają tylko środki; i pojmują, że środki te nie mogą znaleźć lepszego zastosowania, niż pomoc tym, którzy są materialnie wprawdzie nieprodukcyjni, lecz tworzą nowe idealne-cele.

Dlatego tendencja powieści, poniżających idealne dążenia a wychwalających zabiegi około polepszenia materialnych warunków, jest szkodliwą i zasługuje na bezwarunkowe potępienie, właśnie z tego samego punktu widzenia, który stanowi punkt wyjścia dla naszych autorek.

Kronika tygodniowa Prusa.*

Prawie jednocześnie w trzech pismach wystąpił p. Wincenty Lutosławski, prof. filozofji, z artykułami niecodziennej treści. W jednym usiłuje dowieść, że przesiedlenie się najzdolniejszych ludzi z kraju za granicę, nie przyniosłoby naszej narodowości żadnego uszczerbku (Kraj). W drugim zaleca, ażebyśmy „ze czcią i uznaniem spoglądali na tych, co dążą ku celom idealnym i nie zaprzęgali ich do zadań praktycznych“ („Głos“). Nareszcie w trzecim twierdzi, że „tendencja powieści, poniżających idealne dążenia, a wychwalających zabiegi około polepszenia materialnych warunków, jest szkodliwą i zasługuje na bezwarunkowe potępienie“ („Przegląd Tygodniowy“).

Zdania, które wyżej przytoczyłem, bynajmniej nie wyczerpują wygłoszonych przez autora poglądów. Jest ich znacznie więcej,

*) Kurjer Codzienny № 104 z 16 Kwiet. 1899 r.

są wyrażone w sposób bardziej stanowczy i dotyczą kwestji bez porównania ważniejszych. Poglądom tym chcę poświęcić trochę miejsca, naprzód dla tego, że oddawna w pewnych warstwach naszej inteligencji krążą one po cichu, a powtóre, że profesor Lutosański, wypowiadając je głośno, poniekaąd uświęcił je w imieniu nauki.

Od tej pory nie jeden pan, sprzedający w poznańskim majątek za dobre pieniądze, nie jeden zdolny człowiek wynoszący się z kraju na tłustszą cokolwiek posadę, nie jeden próżniak, który, zamiast szyć dobre buty, męczy sąsiadów lichą muzyką, zacznie od tej pory wysoko podnosić głowę, ponieważ jego postępowania broni taki uczony i, dodajmy, dzielny człowiek, jakim jest profesor Lutosański!...

Zdaje mi się, że środkiem ciężkości poglądów prof. Lutosańskiego są zdania następujące:

„...Cóż nas odróżnia od Niemców, jeżeli nie myśl nasza i wyobrażenia, tworzące dzieła sztuki lub badania naukowe? Natomiast moglibyśmy całkiem stracić całą własność ziemską, przez nas posiadaną, bez wielkiej ujmę dla najistotniejszych celów, jeśliby za każdą utraconą włókę ziemi, rodził się jaki Sienkiewicz, Paderewski, Siemiradzki

lub Chełmoński“ („Przegląd Tygodniowy“ nr. 14).

„...Gdybyśmy oddając sto majątków hakatystom, mogli za tę cenę zdobyć jednego Mickiewicza lub Matejkę, to wartoby to uczynić, choć władanie ziemią jest najważniejszym z warunków materialnych bytu narodowego“...

„...To, co istotnie stanowi odrębność plemienną, nie polega na produktach materialnych, lecz na dziełach idealnych“... (Głos nr. 14).

Jak dalece trzeba być ostrożnym w lekceważeniu dóbr doczesnych, na których opierają się nawet najbardziej idealne utwory ludzkiego ducha, okaże następujący rachunek.

Gdybyśmy, zgodnie z teorią prof. Lutostawskiego, mogli zamienić każdą włókę ziemi na wielkiego artystę — to, ponieważ Królestwo Polskie liczy 848,000 włók, moglibyśmy posiadać aż 848,000 wielkich artystów. Czyli—jeden artysta przypadałby na dwunastu polaków rozmaitego wieku i płci, *notabene...* pozbawionych jakichkolwiek środków utrzymania, gdyż ziemi już nie posiadalibyśmy.

Proszę teraz zapytać naszych muzyków, malarzy i t. d., czy bardzo byliby zachwy-

cenii tego rodzaju stosunkami i czy raczej każdy z nich nie wolałby jaśnieć samotny, jak słońce na niebie, wśród ludności posiadającej nietylko dużo włók ziemi, ale jeszcze i gotówkę?...

A może owych 848,000 artystów oddalibyśmy do użytku Europie?... Zapewne, przedewszystkiem oni sami tak by ze sobą zrobili. Lecz wówczas, naprzód — na 430 europejczyków, bez różnicy płci i wieku, przypadałby jeden artysta, co także nie zapewniłoby im nazbyt świetnej pozycji materialnej, a powtóre — owi „polscy“ artyści przestaliby wzbogacać naszą narodowość swojemi idealnemi produktami.

Ani dóbr materialnych, ani artystów, ani dóbr duchowych, więc... cóżby nam w rezultacie zostało?...

Oto do jakich potwornych rezultatów wiodą teorie nie oparte na faktach, lecz na upodobaniach. Prof. Lutosławski tak lubi sztukę, że dla niej poświęciłby wszystko, no—i wszystkoby stracił!...

Na nieszczęście nie sam tylko p. Lutosławski wyznaje tego rodzaju poglądy. Podziela je, lubo nie tak otwarcie, znaczna część naszej inteligencji, dzięki czemu widzimy następujące, a bynajmniej nie zdrowe zjawiska.

Nasi poeci, nasi artyści nawet dramatyczni, nie tylko doczekali się pomników, ale nawet bardzo wyczerpujących życiorysów. Jednocześnie... nie potrafiłbym wskazać ani jednego życiorysu jakiegoś doskonałego rolnika, przemysłowca, finansisty, który wynalazł sposoby dobywania milionów z naszego jałowego gruntu.

To też skutek ubóstwienia artyzmu, a pogardy dla „robotników zwiększających zasoby materialne“, jest ten, że co roku marnujemy włóki ziemi, zyskując w zamian — sztukę chorobliwą lub nie związaną z życiem i — całą armię kandydatów do artyzmu, którzy następnie stają się umęczeniem dla swych rodzin i ciężarem dla społeczeństwa.

Prawda, że najważniejszą stroną zarówno człowieka, jak i społeczeństwa jest — duch, duch który myśli, czuje, pragnie i kieruje materialnymi siłami. Człowiek bez ducha jest trupem, społeczeństwo bez ducha byłoby — kupą piasku.

Ale pamiętajmy, że ducha można porównać ze światłem i ciepłem, których źródłem jest — płomień, jak znowu źródłem płomienia jest — świeca albo lampa. Tak samo źródłem ducha, przynajmniej tu, na ziemi, jest życie, a źródłem życia — organizm, ze

wszelkimi jego potrzebami i środkami za-
spokojenia tych potrzeb.

Dla tego społeczeństwo, które oddawało-
by hakatystom po sto majątków za każdego
Mickiewicza i Matejkę, byłoby podobne do
człowieka, który, aby mieć światło, wyrzekł-
by się: nafty, łożu, świec i lamp...

Można jeszcze porównać społeczeństwo
do drzewa, na którym liśćmi są zwyczajni
pracownicy; a kwiatami — uczeni, artyści
i w ogóle inteligencja. Otóż, gdzie jest
ogrodnik, który gardziłby liśćmi dla kwia-
tów, albo dla pomnożenia kwiatów wyrzu-
cał ziemię z pod drzew?..

Krótko mówiąc — w najbardziej ucywi-
lizowanych społeczeństwach — inteligencja
stanowi zaledwie drobną cząstkę ogółu,
zaś artyści stanowią drobną cząstkę inte-
ligencji. Można przed nimi padać na twarz,
jeżeli kto ma do tego ochotę; ale nie mo-
żna poświęcać im ziemi, ani lekceważyć
zwykłych pracowników, gdyż ci właśnie
pracownicy — tworzą naród...

Sprawa ta ma jeszcze i drugą stronę.

Jeżeli naród zdrowo rozwijający się po-
równamy do drzewa, to drzewo to powinno
posiadać dziewięć konarów i gałęzi. Rząd,
religja, filozofja, praca, nauka, uczucia spo-

łeczne, użycie, sztuka, sport — oto konary i gałęzie narodowego życia.

Najtęższymi z nich są:

1-o *Użycie* — ponieważ wszyscy, nie wyłączając dzieci, starców i kalek muszą jeść, pić, spać, oddychać i t. d.

2-o *Praca* — ponieważ wszystkie jednostki silne i zdrowe muszą pracować.

3-cio *Uczucia społeczne*, czyli skłonność do życzliwości i wzajemnego pomagania sobie, ponieważ one stanowią o bezpieczeństwie społeczeństw.

Wszelkie inne instytucje, jak: filozofja, nauka, sztuka i t. d. wobec tamtych, potężnych konarów, są zaledwie drobnymi gałązkami...

Z tych powodów nie rozumiem, jakim sposobem można byt narodu robić zależnym od sztuki, która jest tylko jego ozdobą. To raczej sztuka zależy od narodu, od jego skromnych pracowników. Bo i co zrobiłby nawet wielki malarz, gdyby mu rzemieślnicy nie dostarczyli: płótna, farb, pędzli?... Czem stałyby się najwznioślejsze poematy, gdyby nie drukarstwo i handel księgarski?... Kto podziwiałby wirtuoza-fortepianistę, gdyby fabryka nie dostarczyła mu instrumentu muzycznego?...

Nie dość na tem. Co poczęliby wszechsławni poeci, malarze, fortepianiści, gdyby rolnik, młynarz i piekarz nie dostarczyli im chleba, szewc — butów, krawiec — modnego fraka, bankier — pieniędzy i t. d.

Postawmy więc kwestję na gruncie realnym i powiedzmy, że w społeczeństwie wszystko ma swoją wartość: zarówno rzemieślnik, jak rolnik, jak kupiec, jak wreszcie uczony i artysta. Ale nie rzucajmy ludziom w twarz obelgi choćby tej treści;

...„Ogromna większość mieszkańców każdego kraju jest pozbawiona zdolności do pracy naukowej lub artystycznej; dla nich więc jest wielką zasługą praca nad zwiększeniem zasobów materialnych. Ale tacy robotnicy niech zawsze pamiętają, że zbierają tylko środki i niech pojmują, że środki te nie mogą znaleźć lepszego zastosowania niż pomoc tym, którzy — wprowadzie materialnie są nie produkcyjni — lecz tworzą nowe idealne cele“.

Dla zaokrąglenia tych poglądów dodam, że — również nieprawdziwą jest opinia pana Lutosałwskiego, iż: „tylko myśl nasza i wyobraźnia tworząca dzieła sztuki lub badania naukowe odróżnia nas od Niemców“. Albowiem — ponieważ Żydzi nie posiadają ani nauki, ani sztuki, więc nie powinni się odróżniać

od europejczyków. Tymczasem żydzi tworzą najbardziej wyodrębnioną narodowość na świecie, nawet pomimo tego, że, wbrew zdaniu szanownego profesora, — „wyżej niż ideały nauki i sztuki, cenią swój rozwój ekonomiczny“.

Toż samo możnaby powiedzieć o naszych chłopach, którzy, aczkolwiek nie posiadają „myśli i wyobraźni tworzącej dzieł sztuki lub naukowych badań“, nie mniej jednak bardziej stanowczo różnią się od Niemców, aniżeli np. ci uczeni, którzy kończyli niemieckie uniwersytety, ażeby zapomocą rozwiniętej w nich myśli i wyobraźni wyodrębnić się od Niemców.

Toż samo wreszcie możnaby powiedzieć o Czechach i Amerykanach, którzy choć „wyżej cenią rozwój ekonomiczny, aniżeli nauki i sztuki“ nie tylko jednak nie zatracili odrębności szczepowej, ale owszem, z każdym dniem silniej ją w sobie potęgują.

Te bowiem cechy, które nazywamy „narodowością“, istnieją nierównie dawniej, aniżeli i nauka i sztuka. Owca różniła się od kozy, a sosna od świerku nierównie dawniej, aniżeli wykryli ten fakt i opisali go zoologowie, albo we wzruszających obrazach wyśpiewali poeci.

Już wspomniałem, że poglądy prof. Lutosławskiego nie są jego oryginalnym wynalazkiem, ale stanowią program i wyznaczenie wiary bardzo potężnych jeszcze u nas warstw inteligencji. Zobaczymy zaś skutki podobnych programów.

...„Nasza literatura — mówi Lutosławski — przeważnie szlachecka, w bardzo znacznej części jest skutkiem całkiem innych potrzeb niż materialne. Jesteśmy artystami prawdziwymi i śpiewamy samym sobie. To też w sztuce zajmujemy dziś jedno z pierwszych miejsc na świecie“..

Pomijam to nasze „wszechświatowe stawisko w sztuce“, które wydaje mi się nieco wątpliwem, lecz zwracam uwagę na poprzedzające zdania tego ustępu.

Nasza literatura jest „przeważnie szlachecką“, wcale nie zajmuje się materialnymi potrzebami i „śpiewa samym sobie“ to jest warstwie nie znającej i nie odczuwającej potrzeb materialnych... Czy można było prawdziwiej określić naszą literaturę i.., wypowiedzieć straszliwsze przeciw niej potępienie!..

Przypatrzmy się dla przykładu stosunkom galicyjskim. Tam literatura była w rzeczy samej „przeważnie szlachecką“ i nie zajmowała się „sprawami materialnymi“. Nie chłop,

nie rzemieślnik, nie kupiec, nie bank albo kasa oszczędności byli jej bohaterami, ale—artyści, poeci, sztuka.

Dzięki czemu, bardzo ubogi ten kraj zdobył się na odnowienie Sukiennic, postawił wcale okazałą serję pomników i, obecnie, myśli o odnowieniu Zamku... Ale nie zajmował się ani położeniem ekonomicznem ludu, ani operacjami bankowemi, ponieważ rzeczy te nie miały związku ze sztuką.

Dziś społeczeństwo galicyjskie zaczyna się zdumiewać...

„Zaznaczyliśmy już — mówi „Czas — że wychodźstwo naszego ludu w roku bieżącym przybiera niezwykle rozmiary“ (Podobno, nie wiem czy prawda, że w roku bieżącym już wyniosło się z Galicji ze 40 tysięcy ludzi!...).

„Niezdrowy ten objaw zasługuje na pilną uwagę władz i społeczeństwa, a zbadanie przyczyn wychodźstwa, roztoczenie opieki nad wychodźcami i uregulowanie wychodźstwa— należą do najważniejszych punktów programu reform społecznych“...

No — i proszę, jak to wcześniej wykryto w Galicji pewne „niezdrowe objawy!“... A jednak i wcześniej, znacznie wcześniej, można było dostrzedz, że „materjalne sto-

sunki“ tego kraju znajdują się na bardzo złej drodze.

Kilkanaście lat temu zaczęto w Galicji zbierać składkę na pomnik Mickiewicza, akurat w roku, kiedy — jeżeli się nie myłę — ludność wiejską zabijał tyfus głodowy. W roku zeszłym odsłonięto pomnik Mickiewicza w Krakowie, akurat w tym tygodniu, kiedy, niedaleko od Krakowa, w niektórych wsiach lud żywił się korą i lebiodą i chorował z głodu na szkorbut.

Nareszcie, w roku bieżącym, kiedy z Galicji ucieka 40.000 ludzi przed nędzą, a we Lwowie tłumy wyrobników dobijają się do ratusza, błagając o pracę, — w tym samym kraju, mieście i roku na zbudowanie nowego teatru przeznaczona się, 1,181,574 guldeny i 45 centów!...

Czy, wobec tych faktów, nie możnaby powtórzyć za prof. Lutosławskim, że: inteligencja galicyjska, jeżeli nie z urodzenia, to z przekonania jest szlachecką i nie zajmuje się materjalnymi potrzebami. Są to prawdziwi artyści, którzy „sobie śpiewają, nie komu“.

Dziś dopiero mówi się tam o zbadaniu „przyczyn wychodźstwa.“ A jednak „przyczyny“ leżą jak na dłoni i od niepamiętnych czasów mogły być zbadanymi, gdyby tam-

tejsza inteligencja dbała nietylko o sztukę, ale i o interesy materjalne, — gdyby śpiewała nie tylko „sobie samej“, ale i swoim uboższym braciom.

Ponieważ „Czas“ nie miał jeszcze sposobności poznać przyczyn wychodźstwa sądzę więc, że będzie mi wdzięczny za parę wyjaśnień, które zebrałem bądź w galicyjskiej, bądź w austryjackiej statystyce.

W Austrii 62 proc. ludności zajmuje się rolnictwem, a 21 proc. przemysłem; zaś w Galicji 84 proc. rolnictwem, a tylko 6 proc. przemysłem. A ponieważ pracownicy rolni zarabiają po 96 guld., a przemysłowcy po 241 guld. rocznie, więc, dzięki temu, każda setka pracowników galicyjskich, w porównaniu z austryjackimi, zarabia o 1,500 guld. mniej rocznie. Innemi słowy, z powodu marnie rozwiniętego przemysłu, robotnik galicyjski zarabia o 15 guld. rocznie mniej aniżeli austryjski. Są to jeszcze cyfry badzo korzystne; w rzeczywistości bowiem musi być znacznie gorzej.

To stanowi jedną z przyczyn wychodźstwa.

Dalej. Na rodzinę chłopską, złożoną prawie z 6 osób, przypada 5,2 hektarów (10 morgów) gruntu, z czego chłop dorosły, dobrze uprawiając ziemię, może rocznie wy-

dobyć 75 guld., czyli około 20 centów dziennie. Wobec tej cyfry, nie podobna dziwić się, że chłop galicyjski nawet u nas szuka zarobku...

I to jest druga przyczyna wychodźstwa. Jest tam jednakże i coś trzeciego.

Od kilkunastu lat w Galicji wszystko wzrasta. Wzrasta tedy ludność o 1 proc. rocznie, liczba lekarzy o 6 proc. rocznie, liczba stowarzyszeń o 22 proc. rocznie, kółek rolniczych o 17 proc., członków towarzystw zaliczkowych i kredytowych o 20 proc., liczba słuchaczy uniwersytetów o 4 proc. rocznie, liczba uczniów szkół ludowych o 5 proc. rocznie, liczba czytelników o 12 proc. rocznie...

Słowem postępy byłyby bardzo piękne, gdyby, obok nich, nie rozwijały się jeszcze inne zjawiska. Oto ilość długów obciążających ziemię wzrastała o 12 proc. rocznie a liczba sprzedawanych posiadłości ziemskich, wzrastała o 133 proc. rocznie!...

A ponieważ w Austrii liczba sprzedanych posiadłości także wzrasta, ale tylko o 2,2 proc. rocznie, więc — szybkość zmian własności ziemskiej w Galicji, dokonywa się *sześćdziesiąt razy prędzej* aniżeli w Austrii. Innymi słowy, jeżeli Austrja, do wyzucia

się z własności, idzie jak żółw, to Galicja, w tym samym kierunku, pędzi jak zając...

Taki, mniej więcej, jest obraz ekonomicznych galicyjskich stosunków: robotnik najemny zarabia mało, chłop na swoim kawałku ziemi ma 20 centów dziennie na utrzymanie, własność ziemską przepływa z rąk do rąk jak woda, i czy podobna dziwić się, że w tych warunkach, mniej wytrzymali chorują na szkorbut albo tyfus głodowy, a wytrzymalsi uciekają z kraju?...

Więc to chyba przeklęta ziemia?...

Bynajmniej.

Ale jestto kraj, w którym inteligencja „śpiewa tylko sobie samej“ i gdzie „rozwój ekonomiczny nie ceni się wyżej, aniżeli ideały nauki i sztuki“.

W Galicji nie brak poetów, ba! nawet modernistów i dekadentów; nie brak malarzy ani budowniczych. Brakuje tylko odpowiednio przygotowanych rolników, przemysłowców i finansistów, a nadewszystko przez szereg lat brakowało ludzi, którzy — wierzyliby w to, że pracować umysłem i sercem trzeba nietylko dla oświeconych, uszlachconych i zamożnych, ale także dla rozmaitego rodzaju ciemnych biedaków.

Wreszcie spojrzymy trochę szerzej na zadania czy rezultaty sztuki. Podziwiamy

tego malarza, który rozwija naszą wrażliwość na delikatne barwy, tego muzyka, który robi nas wrażliwymi na tony i melodie. A dlaczegoż nie mielibyśmy chociażby tolerować takich utworów, które budzą wrażliwość dla biedy chłopów i wyrobników, życzliwość dla pracy ręcznej, podziw dla przemysłowego geniuszu?...

Mówimy, że opisanie „Zdobycia Troi“ zasługuje na to, ażeby było czytane. A dlaczegoż naprzykład opis — budowania kolei, albo pracy rolniczej, górniczej czy rzemieślniczej, nie zasługiwałby na czytanie?

Czy sądzicie, że przy tych „poziomych“ czynnościach niema nadziei, walk, obaw, miłości i nienawiści?...

Czy ten, który łamie nogi, jest naprawdę wyższym od tego, który szyje buty, a ten kto miażdży bliźniemu głowę, musi być większym bohaterem od tego, który głową pracuje?...

A jeżeli tak nie jest, więc dlaczego „powieść, wychwalająca zabiegi około polepszenia materialnych warunków, ma być szkodliwą i zasługuje na bezwarunkowe potępienie,“ jak to głośno twierdzi p. Lutostawski, a przed nim cicho powtarzało tysiące inteligentnych czytelników?..

A jeszcze jeden przykład.

Mickiewicz stworzył Walenroda, pogromcę krzyżaków, a Matejko wymalował Grunwald, gdzie dokonano pogromu krzyżaków. Lecz który z tych wielkich artystów pomaga poznańczykom w walce, jaką dziś muszą toczyć z hakatystami?... Mickiewicz czy Matejko?...

Ani jeden, ani drugi. Gdyż właściwymi wodzami i sprzymierzeńcami poznańczyków są rozmaici Marcinkowscy, którzy zebrali fundusze na kształcenie młodzieży w naukach i rzemiosłach, Jackowscy, którzy organizowali kółka rolnicze i owi rozmaici nauczyciele, redaktorzy i księża, którzy szerzyli oświatę, zachęcali do rzemiosł, zawiązywali stowarzyszenia...

Niech więc nam nikt nie tłumaczy, że troska o ziemię, czy o powiększenie „materiałnych zasobów“ poniża sztukę. To raczej sztuka sama poniża się wtedy, gdy, zamiast krzepić i podnosić społeczeństwo — denerwuje go niedołącznemi obrazami, które mają wyrażać sztukę, a naprawdę są płodem moralnego i umysłowego upadku.

Bolesław Prus.

XIII

Prus obrońca ziemi.¹⁾

Bolesław Prus uznał kilka moich przygodnych artykułów²⁾ za tak szkodliwe i zarazem doniosłe, że poświęcił im całą kronikę tygodniową,³⁾ zbijając mnie kolejno humorem i statystyką, a ostrzegając czytelników „Kur-

1) Polemika z Prusem i Orzeszkową o ideały wywołała echa liczne w prasie. Można ich wiele zebrać, przeglądając pisma polskie za Maj 1899-go roku, przy czem okazuje się, że prasa postępowo—pozytywistyczna wówczas stanęła po mojej stronie, a konserwatywno—klerykalna po stronie Prusa i Orzeszkowej, choć oczywiście wówczas już byłem również dalekim od pozytywizmu, jak dziś. Zachowałem dwa wycinki z owych czasów—bezimienny z Głosu № 16—i artykuł Józefata Nowińskiego z Gazety Polskiej. z 23 Kw. 1899 r.

2) „Środki i cele“ w n-rze 14-m „Przeglądu Tygodniowego“—„Teorja i Praktyka“ w № 14 „Głosu“—i „Emigracja zdolności„ I—III w № № 12-m i 14 „Kraju“.

3) № 104 „Kurjera Codziennego“.

jera Codziennego“ przed jakoby potwornymi wynikami moich teorii.

Prusa czytają wszyscy, więc jeśli on ciśnie w kogo czterysta wierszy kroniki tygodniowej, to trudno się bronić, nie posiadając tak dalekonośnej broni, jak niezrównany styl autora Lalki.

Jednak nie wolno pominąć milczeniem odezwy tak czeigodnego krytyka, gdy on, pomimo najlepszej chęci oczywiście, źle pojął moje słowa, i broni przytem zasady, bynajmniej nie tak pewnej, jak miema.

Źle mnie zrozumiał, przypisując mi na końcu swej kroniki zdania, że „troska o ziemię czy o powiększenie materjalnych zasobów poniża sztukę“ lub „że powieść, wychwalająca zabiegi około polepszenia materjalnych warunków ma być szkodliwa i zasługuje na bezwarunkowe potępienie“. Zdań takich nigdzie nie wypowiedziałem.

Rzecz elementarna i bezsporna, że praca tych co powiększają zasoby materjalne, zasługuje na uznanie, a troska o ziemię nietylko nie poniża sztuki, ale nawet wytwarza sprzyjające warunki społeczne dla rozwoju twórczości artystycznej.

Chodziło mi jedynie o to, czy praca ekonomiczna ma być ceniona „wyżej“ niż prace tych, co mnożą zasoby idealne. Bo powieści na-

szych popularnych autorek w niektórych wypadkach wyraźnie stawiają pracę praktyczną „wyżej“ niż teoretyczną lub artystyczną.

Bardzo pięknie i słusznie jest zachęcać ziemian, by mnożyli płody ziemi, polepszali byt parobków, zakładali szpitale i szkoły — zamiast grać w karty, jeździć do wód zagranicznych, niszczyć lasy, obciążać hypoteki, i t. d.

Ale nie godzi się stawiać obok tych czynności ujemnych badań naukowych lub prac artystycznych, jakby one były rodzajem zabawki próżnej — i nalegać, by ci, co do takich zajęć mają istotną zdolność, raczej zajęli się uprawą ziemi.

Niesłusznie zarzuca mi Prus lekceważenie dóbr doczesnych — ja tylko wystąpiłem przeciwko lekceważeniu dóbr idealnych i zdolności je wytwarzających — lekceważeniu, jakie się przebija wyraźnie w pewnych współczesnych powieściach kobiecych, a nawet bodaj do pewnego stopnia i w „Rodzinie Połanieckich“.

Takiego lekceważenia ideałów nigdy nie spostrzegłem w powieściach Prusa, i dlatego, nawet po usunięciu drobnego nieporozumienia co do zarzucanego mi bezpodstawnie lekceważenia dóbr materialnych — widzę w kry-

tyce Prusa zadziwiającą polemiczną jednostronność. Bo wszak dobra materialne są oddawna u nas cenione, a nawet przeceniane, choć nie bardzo umiemy je wytwarzać — podczas kiedy dobra idealne, szczególnie dzieła nauki i sztuki często bywały u nas lekceważone. A tutaj jeden z największych artystów, hojny twórca tylu ideałów — sam pisze:

„Gdybyśmy, zgodnie z teorią p. L., mogli zamienić każdą włókę ziemi na wielkiego artystę — to, ponieważ Królestwo Polskie liczy 848,000 włók, moglibyśmy posiadać aż 848,000 wielkich artystów. Czyli — jeden artysta przypadłby na dwunastu Polaków... pozbawionych jakichkolwiek środków utrzymania, gdyż ziemi już nie posiadalibyśmy. Proszę się teraz zapytać naszych muzyków, malarzy i t. d. czy bardzo byliby zachwyceni tego rodzaju stosunkami i czy raczej każdy z nich nie wolałby jaśnieć samotny, jak słońce na niebie wśród ludności posiadającej nie tylko dużo włók ziemi, ale jeszcze i gotówkę?... A może owych artystów oddalibyśmy do użytku całej Europy? Zapewne, przedewszystkiem oni sami tak by ze sobą zrobili. Lecz wówczas — na 430 Europejczyków przypadłby jeden artysta, co także nie zapewniłoby im zbyt świetnej pozycji material-

nej; a powtóre, owi „polscy“ artyści przestaliby wzbogacać naszą narodowość swojemi idealnemi produktami. Ani dóbr materialnych, ani artystów, ani dóbr duchowych, więc... cóżby nam w rezultacie zostało? Oto do jakich potwornych rezultatów wiodą teorie nie oparte na faktach, lecz na upodobaniach. P. L. tak lubi sztukę, że dla niej poświęciłby wszystko, no — i wszystkoby stracił“.

Wiadoma rzecz, że Prus lubi statystykę, ale rzadko jej tak nadużywa, jak w powyższym rachunku.

Przedewszystkiem mamy w naszym ręku trochę więcej niżeli jakiej ośmkroćstotysięcy włók, więc gdyby owa fantastyczna zamiana włók na artystów była możliwą, zyskalibyśmy aż kilka milionów „wielkich“ artystów, po jednym w każdej rodzinie.

Powtóre, wszak już Kolumb odkrył Amerykę, więc nasi artyści nie byliby skazani na działanie w ciasnych granicach Europy. W Ameryce, Australii, Nowej Zelandji, Egipcie, Rodezji, Kaplandji, Transwaalu, Indjach Wschodnich i Zachodnich, nawet w nowożytnej Japonii lub na wyspach Filipińskich (po ich uspokojeniu) z łatwością znaleźliby utrzymanie.

Po trzecie, dzieła Szopena, Siemiradzkiego lub amerykańskie wydania Quo Vadis wzbogaciły materialnie i moralnie naszą narodowość, choć działały głównie na cudzoziemców.

Więc obrazy i rzeźby, opery, koncerty, dramaty, stworzone przez naszych artystów, osnute w znacznej części na swojskich motywach i rozpowszechniające uczucia, które nas od sąsiadów odróżniają, jeszcze więcej by wzbogaciły narodowość naszą.

Po sprostowaniu tych trzech drobnych błędów w rachunku strat i zysków, bilans owej, niestety, niemożliwej zamiany wielkich obszarów ziemi na wielkie dusze — przedstawia nam się całkiem inaczej, niż według powyżej przytoczonych czarnych prognostyków Prusa.

Gdyby taki wypadek (przezemnie dla wyluszczenia myśli paradoksalnie przypuszczony, zaś przez Prusa podchwycony, jakby jakie rzeczywiście grożące niebezpieczeństwo)—istotnie się zdarzył, gdyby wszyscy „wielcy“ artyści, jacy mają się urodzić w przeciągu kilkuset tysięcy lat na wszystkich planetach naszego systemu słonecznego, jakimś niepojętym cudem przyszli na świat u nas w ciągu kilkunastu pokoleń, jednocześnie z utratą równej ilości włók ziemi dotąd pozostających

w naszym ręku — to naturalnie zbrakłoby wszystkim innym narodom dusz artystycznych, gdyż nawet cały wszechświat nie może posiadać nieograniczonej ilości takich duchów.

Więc wówczas cała ludzkość byłaby zagrożona w pracy materialnie produkcyjnej, a przecież nie mogłaby się nagle pozbyć pragnienia piękna, jakie ją wiecznie trapi i każe jej obsypywać wielkich artystów złotem, wieńczyć ich sławą nieśmiertelną.

Zatem nasi artyści rozproszyliby się po świecie i znaleźliby nietylko własne utrzymanie, lecz nawet środki dla polepszenia losu pozostałych w kraju praktyków.

Skoro już wojujemy statystyką, pamiętajmy, że nawet przy najlepszych chęciach, dla pozbycia się kilku milionów włók ziemi trzeba by kilkunastu pokoleń, więc w każdym pokoleniu mielibyśmy zaledwie sto kilkadziesiąt tysięcy artystów, których zbyt kosztowne utrzymanie, licząc na każdego po jakie 6 tysięcy rubli rocznie, kosztowałoby zaledwie kilkadziesiąt milionów funtów szterlingów na rok, co jest bagatelą w budżecie ekonomicznym sumy narodów, stanowiących świat współczesnej cywilizacji.

Wszak sama Wielka Brytania, nie licząc kolonii, kupuje sobie rocznie za przeszło

dziesięć miliardów franków rozmaitych towarów; Francja, Stany Zjednoczone i Niemcy przeciętnie używają na ten cel po pięć miliardów franków rocznie, i t. d.—a wszystkie te cyfry wzrosłyby wielokrotnie, gdyby według naszego założenia, wszystkie narody prócz nas, głównie dążyły do produkcji materialnej: odgrywalibyśmy wówczas taką rolę wśród całej ludzkości, jak kiedyś Ateny w obrębie Cesarstwa Rzymskiego. A wszak owa armja stała stu kilkudziesięciu tysięcy artystów, stanowiłaby zaledwie jeden procent naszej ludności.

Oprócz nich mielibyśmy kilkanaście milionów robotników produkujących dobra materialne pod umiejętnym kierunkiem Niemców i Żydów (któż inny nabywałby utraczone włóki?) i zyskujących byt daleko lepszy, niż dziś mają nasi robotnicy.

Obawy Prusa o ruinę, spowodowaną utratą ziemi i nadprodukcją artystów, wynikają ztąd, że jako artysta patrzy na naród, jako na odrębny organizm społeczny, oderwany od reszty ludzkości i najdalej obejmuje wzrokiem Europę, najmniejszą z części świata, zamykając oczy na to, co się dzieje u antypodów, a co dziś nam już wcale nie może być obojętnem.

Mniejsza zresztą o skutki materialne. Ważniejsze byłyby skutki moralne pojawienia się owego cudownego szeregu kilku milionów polskich artystów w ciągu kilku wieków. Dzieła ich byłyby przeniknięte tym duchem, który sprawił, żeśmy kiedyś dali u siebie przytułek najmniej do nas podobnemu ludowi; właśnie żydom, uważanym przez Prusa za naród, dążący przeważnie do celów ekonomicznych.

Mając w rękę nieprzepartą moc piękną, zagłuszylibyśmy zgrzyt wszelkich antynomji społecznych, łącząc wszystkich w zachwycie nad naszymi ideałami, tak, jak dziś amerykańskie zachwycają się powieściami Sienkiewicza, grą Paderewskiego, śpiewem Reszków, dykcją sceniczną Modrzejewskiej, i t. d. Musiałoby ustać działanie siły brutalnej, a nadeszłoby królestwo Ducha, przyczem nasi artyści trzymaliby ludzkość całą w dobrowolnej uległości.

Mowa naturalnie o „wielkich“ artystach, z których każdy przyniósłby na świat jakieś nowe widzenie istotnego Piękną, przezeń po raz pierwszy obiektywnie przedstawione. Bo za lichego artystę dekadenta nie warto dać nawet pół morga gruntu — starczy mu tyle, aby jego zwłoki pochować, gdy konsekwentnie roztrzaska sobie czaszkę.

Nam trzeba mężów, co tworzą potężne ideały, w spokojnem poczuciu boskiej siły, jak autor Improwizacji — nie zaś rozdrażnionych dzieciaków samochwalczych, nie umiejących opanować własnych chuci i żądz, a upewniających nas — ciągle napróżno — o swej wielkości, której nie dowodzą czynem.

Dosyć fantastycznych marzeń na temat nieprawdopodobnej hipotezy. Nie tylko włókę, ale nawet tysiąc włók ziemi wartoby dać za nowego Mickiewicza lub Matejkę.

Lecz, niestety, taki handel jest niemożliwy, więc starajmy się zachować nasze włóki, a nie żałujmy naszych środków materialnych na ułatwienie działalności tym nielicznym bardzo artystom, jakich mamy.

Niezrozumiałem jest twierdzenie Prusa, jakobyśmy za zmarnowane włóki ziemi istotnie „zyskiwali sztukę“. Ani na chwilę nie przypuszczałem możliwości takiej operacji.

Przez oczywiście nieurzeczywistnialne przypuszczenie, chciałem tylko wyrazić, że istnienie sztuki jest dla naszych najistotniejszych celów ważniejszym, niż posiadanie własności ziemskiej — bynajmniej nie pragnąc nikogo zachęcać do oddawania ziemi wzamian za urojoną możliwość narodzin wielkich artystów.

Artysta się rodzi z Bożej łaski i żaden nakład materialny, żadne warunki ekonomiczne, ginekologiczne, pedagogiczne, higieniczne nie mogą zwiększyć ilości takich duchów.

Prus mniema inaczej: on uważa sztukę niejako za płomień, którego koniecznym warunkiem są tłuszcze z potu ludzkiego pochodzące. Artysta jest dlań jakby kwiatem pewnej rośliny, nie zaś najwięcej samoistną jednostką — nauka i sztuka są dlań zaledwie drobnymi gałązkami wyrastającymi z pnia życia narodowego, którego głównymi konarami mają być użycie, praca (materialnie produktywna?) i miłość bliźniego. Te poglądy, polegające na wątpliwej analogji społeczeństwa z organizmem fizjologicznym — rozpowszechnione u nas przez tłumaczenia dzieł Buckle'a i Drapera — są echem dawnych szkół, tłumaczących ducha przez ciało, myśli przez odruchy nerwowe.

Są to pojedyncze ogniwa tego żelaznego łańcucha, którym od czasów Demokryta są pewne duchy do ziemi i wrażeń zmysłowych przykute, pozbawione wszelkiej nadziei wniebowstąpienia, a tak przyzwyczajone i przywiązane do swej niewoli, że wypowiadają najgwałtowniejszą walkę każdemu, co im dowodzi, że ów łańcuch dawno już został skruszony, a droga w górę otwarta.

Walka ta, opisywana już przez Platona w Sofistcie, musi trwać, dopóki intuicja idei nie stanie się tak powszechną, jak dziś są wrażenia barw i dźwięków.

Niewarto jej wznawiać tutaj, bo wszelka dyskusja o pierwszych zasadach metafizyki bywa jałową, gdy ma charakter polemiki, w której przeciwnicy wychodzą z przeciwległych założeń.

Łatwiej daleko jest ocenić niektóre konkretne przykłady przytoczone przez Prusa, na poparcie jego wniosków. Twierdzi on np., że nasz chłop więcej się różni od niemieckiego chłopca, niż polski uczoney wykształcony w Niemczech od swych nauczycieli. Dziwny to błąd, świadczący chyba, że Prus nie spotykał wielu niemieckich uczonych. Jeśli brać pod uwagę zewnętrzne objawy, jak np. jedzenie lub mieszkanie — to naturalnie takie rzeczy więcej bywają rozmaite

u chłopów dwóch narodowości, niż u uczonych.

Ale przecie nie godzi się sądzić o istocie człowieka według tego, co jada lub jak mieszka. Myśli i uczucia chłopów są bardzo podobne do siebie wszędzie, dopóki nie pozyskają oni pewnego wykształcenia i nie ulegną wpływowi odrębnej literatury. Natomiast polski uczony wcale nie traci odrębności swoich uczuć i myśli przez niemieckie wykształcenie, jeśli nie jest z natury pozbawiony wszelkiej samodzielności.

Dlatego naukowe teorie polaków, wykształconych w Niemczech, zawsze odbijały od ich zagranicznego otoczenia. Dostyc przytoczyć Śniadeckich, Wrońskiego, Trentowskiego, Cieszkowskiego, a wśród żyjących, np. Gumplowicza.

Zresztą, poglądy naukowe stanowią tylko małoważną cechę osobistości: ważniejsze są inne różnice. Chyba polscy uczeni jeszcze nigdy nie należeli do towarzystwa mającego za cel ucisk rasy słabszej, a tuziny profesorów niemieckich zdobią szeregi hakatystów.

Co do emigracji z Galicji, to zdumiewające jest przypuszczenie Prusa, że jedną z możliwych przyczyn tego społecznego zjawiska — jest przesadne zajęcie galicjan sztuką!

Wszak i u nas w ubiegłym roku emigracja przyjęła bardzo znaczne rozmiary: czyżby to było skutkiem wydania 200,000 rb. na pomnik Mickiewicza?

Znam jeden majątek w Łomżyńskim, gdzie tylko trzech parobków zostało — reszta poszła do Prus — a właściciele przekonali się za późno o potrzebie podwyższenia płacy robotnikom rolnym.

Cóż temu winni artyści? Wszak można źle gospodarować, nie grając nawet na fortepianie.

Jeśli Galicja wyda milion guldenów na budowę nowego teatru, to przez to emigracji nie powiększy, a przyczyni się w pewnej drobnej mierze do zwiększenia tych zasobów duchowych, które będą z czasem zubożonych emigrantów chronić od wynarodowienia.

Ludzie emigrują po prostu dlatego, że prusacy i amerykanie im lepiej płacą. A gdy najśmielsi robotnicy odeszli, okazało się, że i nasi gospodarze mogą nieco lepiej płacić, bo wynagrodzenie parobków poszło w górę.

Niema w tem żadnej biedy, bo dzięki emigracji płyną do nas pruskie i amerykańskie pieniądze, jak o tem dobrze wiedzą urzędy pocztowe. Także wracają niektórzy emigranci z funduszem i doświadczeniem,

a kto ich spotykał, ten wie, jak wielce im podróż wyszła na dobre. Oduczuli się całować panów po rękach, a nauczyli się myśleć o swoim losie i polepszać go wytrwałością i pracą.

Także owo szybkie przechodzenie ziemi z rąk do rąk, na które Prus narzeka, nie powinno nikogo straszyć, bo świadczy ono tylko o tem, że znaczne obszary były dotąd w rękach niewłaściwych i niebawem dostaną się w ręce umiejętniejsze fachowych rolników, których liczba szybko wzrasta.

Wtedy produkcja rolna zwiększy się i zaświtają lepsze dni dla naszych parobków. Cały ten proces doskonale się obejdzie bez udziału artystów i bez zaprzęgnięcia ich do praktycznej pracy.

Musimy tylko jasno się porozumieć, kogo mamy uważać za wielkiego artystę. Oczywiście nie byle jakiego próżniaka, szukającego natchnienia w nadzwyczajnych wrażeniach podniecenia alkoholicznego lub płciowego -- lecz pracownika czerpiącego swe natchnienie z głębi własnej duszy lub ze świata nadziemskich trzeźwych wizji, nie dostępnego wprost dla zjadaczy chleba, a jednak otwieranego im czarownem zaklęciem dzieł sztuki.

Takich, co umieją tym co pracują w pocie czoła ukazać widzenia doskonalszego bytu w pięknej formie, zawsze bywa niewielu, a wartość ich materialnej produkcji byłaby mała.

• Zapytuje Prus, czy Mickiewicz lub Matejko pomagają Poznańczykom w walce z hakatystami? Naturalnie że pomagają, bo gdyby poznańczycy nie woleli czytać Mickiewicza niż Göthego, nie mieliby tak dalece o co walczyć.

Samo przyzwyczajenie do własnego języka łatwoby zmienić, gdyby nie łączyło się ono z uczuciami całkiem innego rodzaju. Te uczucia, choć istnieją w pewnej mierze i u ludów pierwotnych, w najwyższym stopniu bywają rozwijane dopiero przez umysłową kulturę, w której największy udział biorą poeci, malarze, muzycy, rzeźbiarze,—wytwarzający odrębną treść świadomości jednostek narodu, do którego należą.

Oczywiście, oprócz sztuki i nauki na tę treść składają się także obyczaje i urządzenia społeczne, wreszcie charakter mieszkańców. Ale przy dzisiejszych warunkach życia na to wszystko ma wpływ decydujący literatura i nauka, stanowiące atmosferę rozwoju ducha narodowego.

Skoro zaś arcydzieł na obstalunek tworzyć nie można — więc, chcąc ułatwić ich natu-

ralne powstanie, winniśmy zachęcać rozwój odnośnych zdolności. Jedyłą wskazówką możliwego rozwoju zdolności jest silna skłonność do nauki lub sztuki, powzięta za młodu. Im więcej będzie rozwiniętych zdolności, tem częściej zajaśnieje na naszym niebie gwiazda geniuszu, nadająca dopiero wysiłkom całych pokoleń kierunek i doniosłość.

Ktokolwiek znał w szkołach kilkuset kolegów, dobrze wie, jak rzadką bywa silna skłonność do sztuki lub nauki. Wśród tych, co mają skłonność, tylko pewna część rozwija zdolność, a z pośród najzdolniejszych, bardzo rzadko wyłaniają się istotnie oryginalni twórcy nowych ideałów.

Geniusz bywa bezinteresownym i zawsze pracuje dla ogółu, nawet gdy szuka odosobnienia. Owe tłumy producentów materialnych, za którymi się Prus ujmuje, dopiero wtedy zaczynają stanowić naród, gdy wydadzą z pośród siebie przedstawicieli, umiających wyrazić ich aspiracje—nie wyrażone, nie udzielane nikomu, nie podzielane z nikim,—inaczej są skazane na nieuchronną zagładę.

Warunki materialne życia różnych narodów, różnią się tylko drugorzędnymi pozorami — w istocie zaś wszędzie widzimy te

same potrzeby fizyczne, zależne od ustroju ciała ludzkiego, przedstawiającego bardzo nieznaczne różnice.

Wszędzie ludzie dążą do zadosyćuczynienia potrzebom i cel osiagają: wszystko jedno czy chodzą w bluzach, surdutach lub sukmanach, czy jedzą kartofle czy mięso, czy mieszkają z prosiętami, czy w pałacach.

Ogromna różnaitość zjawia się dopiero, gdy zaczniemy porównywać potrzeby duchowe, uczucia, ideały, które wcale nie zależą ani od klimatu, ani od pożywienia, ani od pochodzenia nawet, tylko od odrębności kultury duchowej, przez geniuszy tworzonej. Dopiero ci naturalni przewodnicy tłumów przekształcają dzikie hordy na odrębne narody. Dopiero naokoło każdego ogniska duchowego powstaje życie narodowe, które nie polega bynajmniej na oraniu i zbiorach, choć powoduje w swym rozkwicie nawet ulepszenia orki i żniw.

Samo użycie i praca „bez ideałów“, nawet gdyby je zaprawić miłością bliźniego, poniżałyby ludzi do poziomu bydłczego, bo cóż warta miłość, która nakarmi i napoi ciało, lecz nie wzbogaci duszy? *)

*) Drukowane w № 20 Przeglądu Tygodniowego, z 20 Maja 1899 r.

XIV.

Mimowolne figle logiki. *)

Przeczytawszy jedną powieść współczesną, bardzo dobrze broniącą sympatycznej sprawy, lecz zawierającą w niektórych ustępach widoczne lekceważenie teoretycznej nauki,—uczulem potrzebę napisania recenzji i wytknięcia autorce krzywdy, jaką wyrządza mniej wykształconym czytelnikom przez swe uprzedzenie do czystej teorji.

Nie chcąc pisać napróżno, ani czekać kilka kwartałów na ogłoszenie artykułu, mającego z natury rzeczy znaczenie tylko wkrótce

*) Drukowane w № 115 Gazety Polskiej z 20 maja 1899 r. Artykuł ten stanowi poniekąd zakończenie całej polemiki, a ukazał się jednocześnie z artykułem: Prus obrońca ziemi.

po napisaniu, o ile miał się odnosić wprost do niedawno wydanej książki, — rozpisałem dla większej pewności do czterech pism kartki pocztowe, zapytując każdą redakcję osobno, czy pomieściłaby artykuł „O okrojonych ideałach“, skierowany przeciw tendencji antyteoretycznej autorki.

Wyraziwszy na owych kartkach dosyć krańcowo treść zamieszczonego artykułu, nie liczyłem na odpowiedź bez zastrzeżeń; miałem wysłać rękopism pismu, któreby najmniej robiło zastrzeżeń. Tymczasem, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, aż trzech redaktorowie odpowiedzieli bezwarunkowo przychylnie, obiecując natychmiastową publikację, niezależnie od treści, i zamawiając sobie zapowiedziany artykuł. Czułem się wielce skrepowany przez ten dowód zaufania do nieznanego i nieproszonego, przygodnego współpracownika — i, aby niczyjego zaufania nie zawieść, rad nierad, napisałem zamiast jednego aż trzy artykuły o tym samym przedmiocie. Pragnąc uniknąć powtórzeń, po ukończeniu pierwotnie obmyślanej recenzji „O okrojonych ideałach“, dwóm pozostałym artykułom, przeznaczonym do pism tygodniowych, nadałem treść ogólniejszą, tak, by się wzajemnie uzupełniały. Przypadkiem jednocześnie wyszedł w *Kraju* arty-

kuł treści pokrewnej, napisany znacznie dawniej.

Wybierając pisma rozmaitych kierunków, wyobrażałem sobie, że każdy artykuł będzie czytany przez inne grono czytelników, i nie przypuszczałem, żeby ktoś je porównywał lub obierał za przedmiot dyskusji publicznej. To com pisał, wydawało mi się tak utartem i powszedniem, że oniemal wstydziałem się powtarzać rzeczy znane, a powtarzałem je tylko dlatego, że nowa powieść przekonała mnie, jak dalece nie są one jeszcze przez wszystkich uznane.

To też byłem wielce zdziwiony, gdy kilka innych pism zwróciło szczególną uwagę na moje artykuły, upatrując w nich mnóstwo poglądów, których ja nie miałem wcale zamiaru wyrażać. W pierwszej chwili gotów byłem sobie samemu całą winę przypisać, i oskarżyć się o brak jasności stylu, o nieumiejętne posługiwanie się własnym językiem.

Ale gdy przeczytałem uważnie kilka razy jeszcze własne artykuły i uwagi krytyczne innych o tem, co napisałem—rzuciła mi się w oczy istotna przyczyna całej tej polemiki, podobnej do burzy, wyzwaney nieumyślnie rzuconym do zaczarowanego stawu kamy-

kiem. Winna wszystkiemu logika, płatająca mimowolne figle!

Djagnoza ta wymaga wyjaśnienia. Mało ludzi miewa namiętność logiczną: dziwną potrzebę myślenia o myśli każdej, i znowu rozważania jeszcze myśli, skierowanej na każdą myśl pierwszą. Jednostki, opanowane taką namiętnością, wydają się innym ludziom, myślącym o rzeczach, a nie o myślach, jakby opętane, bo rozumują bez końca, a często bezpłodnie.

Tacy logicy wprawdzie najstaranniej unikają w mowie i piśmie wszelkiej nieściśłości, niejasności lub dwuznaczności — ale za to czasem ulegają szczególnej pokusie (wszak każdy zawód ma swoje pokusy) — i dopuszczają się pewnej bardzo subtelnej obłudy, stanowiącej rodzaj ćwiczenia logicznego. Mianowicie, mówiąc ściśłą prawdę, wprowadzają w błąd nieściśle myślących, dzięki nieprzewartemu urokowi pewnych paralogizmów dla niewyćwiczonych logicznie umysłów. Tego rodzaju ćwiczenia *), jeśli po

*) Liczne przykłady takich ćwiczeń można znaleźć w pięknym zbiorze zadań logicznych wraz z ich rozwiązaniami, ułożonym przez Stanley Jevons'a p. t. *Studies in deductive logic* — dotąd niestety nie tłumaczonym na język polski, choć jest

nich następuje wyjaśnienie fałszywości wniosków z prawdziwych przesłanek niesłusznie wysnutych — bywają bardzo pożyteczne w szkołach, a mogą być nawet zalecane w rozmowach towarzyskich.

Ale gdy są często powtarzane w tej atmosferze koleżeńskiej, w której łatwo się wybaczą zarówno błędy, jak sprostowania— mogą rozwinąć ogólną skłonność do wyrażania prawdy w tak paradoksalnej formie, że po za szkołą, na arenie publicznej, wynikają ztąd nieporozumienia — bo, chcąc w jaśniejszym świetle ukazać jakąś prawdę odrazu kładziemy nacisk na ostateczne krańce jej zastosowania.

Metoda taka jest pożyteczna przy ustnych wykładach lub w przyjacielskich rozmowach, gdy łatwo można sprostować nieporozumienia, wynikające ze zbyt jaskrawego oświetlenia pewnej strony jakiejś kwestji— lecz mniej odpowiada wymaganiom publicystycznym, gdyż artykuły w pismach pomieszczane, winny być jasne nawet dla nie-

tłómaczona elementarna logika tegoż autora. Wydanie i rozpowszechnienie przekładu „Badań nad deduktywną logiką“ byłoby wielkiem dobrodziejstwem dla tych, co nie są wprawni w ścisłości rozumowań.

zbyt uważnych czytelników, bez osobnych komentarzy—inaczej narażają autora na polemikę i nieoczekiwane zarzuty.

Coś podobnego zaszło też w tym wypadku. Przyzwyczajony do logicznych ćwiczeń nie umiałem zastosować się do warunków, wymaganych w publicystyce, i pisałem artykuły tak, jakby to były ustne wykłady przed osobiście znanymi uczniami.

Sądziłem, że ścisłość logiczna wystarczy— a tu potrzeba było użyć retorycznej szerokości. Jeśliby moi krytycy zechcieli w świetle powyższego wyjaśnienia jeszcze raz przeczytać inkryminowane artykuły, to przekonaliby się, że nigdzie nie lekceważę materialnej produkcji, że nikomu nie radzę się pozbywać ziemi, ani emigrować do Ameryki, że nie jestem pozbawiony najgłębszego współczucia dla wydziedziczonych—choć uważam wszelkie zdobycze materialne za środki tylko do celów idealnych; władanie ziemią za warunek mniej ważny, niż ogólna ekonomiczna produktyjność pracy choćby na cudzej ziemi; wydziedziczonych za surowy materiał, z którego kiedyś, przy postępie *nauki i sztuki*, powstać musi społeczeństwo godne tego miana.

Bo w prawdziwym *społeczeństwie*, pod panowaniem miłości bliźniego, dla nędzy,

ciemnoty i głodu miejsca wcale niema, a zaspokojenie fizycznych potrzeb nie wymaga tyle sił, co u nas. Wszyscy w takim społeczeństwie, nawet ci, których głównym celem jest produkcja materjalna, mają czas na rozwój umysłowy i na przejmowanie się dziełami sztuki. Że w obecnej chwili — ani też w ciągu ostatniej doby kilkudziesięciu wieków życia ludzkości — takiego społeczeństwa na ziemi nie było i niema — to nic nie świadczy przeciw jego istnieniu gdzieindziej — a i na ziemi istnieje ono w myśli ludzi dobrych i w ich otoczeniu. Wolno nam już wznieść się po nad ciasne granice bezpośredniego doświadczenia, gdy mowa o ideałach.

Twierdzenie, że wartoby stracić całą własność ziemską, jeśliby za każdą utraconą włókę rodził się nam *wielki geniusz*, jest ściśle prawdziwe, choć samo przypuszczenie takiej zamiany martwych włók na dusze żywe, jest urojone.

Gdyby to stało się możliwem, to produkcja materjalna ziemi, należącej do innych narodów, wystarczyłaby na utrzymanie owych tak licznych geniuszy jednego ludu, tak samo, jak olbrzymia proporcja kupców wśród żydów nie przeszkadza im istnieć.

Bezsensowne byłoby tylko twierdzenie że *wszyscy ludzie na ziemi* mogliby zostać artystami lub kupcami. Ale jeden procent lub dziesięć procent ludności jednego narodu może sobie wybrać powołanie artystyczne, jeśli tylko ci artyści mają wystarczające zdolności, aby zgodnie z założeniem być *wielkimi artystami*.

Zresztą sądy warunkowe bywają najczęściej bardzo fałszywie rozumiane, jako twierdzenie o możliwości hipotezy, z której się wyprowadza wniosek. Gdy mówię: „jeśliby Kopernik ukradł panu Bogu słońce, byłby złodziejem“ to nie tylko nie twierdzę, że chciał lub mógł ukraść słońce, ale nawet nie twierdzę nic o Bogu lub słońcu — tylko po prostu wyjaśniam na przykładzie pojęcie złodzieja.

Tak samo, pisząc o zamianie włók ziemi na artystów, nie twierdziłem, że taka zmiana jest możliwa, tylko chciałem na jasnym przykładzie uwydatnić doniosłość wielkich artystów w porównaniu ze zwyczajnymi właścicielami wielkich obszarów ziemi.

Pan Józefat Nowicki (*Gazeta Polska* № 92,) trafnie usunął pewną część nieporozumień tego rodzaju — a jednak sam wyprowadza wniosek podobny nieco do wniosków Prusa gdy z mego twierdzenia: „Bohaterka ką-

dzieli, mająca za cel poprawę materialnych warunków (zdrowia) ludu, nie powinna leczyć bezpłatnie bogatszych od siebie"—wnosi, że i Sokratesa mógłbym ganić za to, że nauczał bezpłatnie!

Toż właśnie chodzi tu o różnicę celów materialnych i idealnych. Kto dąży do celów idealnych, może lekceważyć środki materialne, gdy mu nie są potrzebne, a Sokrates dla swojej działalności nie potrzebował tyle środków materialnych, co dziś np. potrzebuje badacz Sokratesa, by go wszechstronnie poznać.

Ale jeśli ktoś dąży do celów materialnych, choćby, nie dbając o własną korzyść materialną, to popełnia wielką niekonsekwencję, odmawiając przyjęcia zapłaty za swą pracę od bogatszych. Zresztą jest to kwestja drugorzędna.

Wiele osób prywatnie wyrażało swoje oburzenie na to, że piszę jednocześnie do pism przedstawiających przeciwległe kierunki, przez co jakoby wzbudzam wątpliwość o kierunku własnych moich przekonań.

Kierunek ten jasno się okazuje z treści artykułów, a pisma, któreby w zupełności podzielało moje przekonania, ani w kraju, ani zagranicą nie znam. Posyłając od paru lat artykuły do wielce rozpowszechnionego

pisma, którego tendencja ogólna wydaje mi się najfałszywszą, nie ukrywałem tego mego ogólnego potępienia przed redakcją, a jeśli pomimo tego redakcja помещa mój artykuł na pierwszym miejscu i deleguje stałego współpracownika, by w następnym artykule odparł moje wywody, to widzę w tem dowód bezstronności, zasługującej na uznanie.

W żadnym wypadku nie uważam za słuszne, by przygodny współpracownik jakiego pisma odpowiadał za poglądy stałych tegoż pisma współpracowników, a redakcja również może odpowiadać tylko za takie artykuły, które nie są podpisane. Więc posługując się gościnnością tego lub innego pisma dla wyrażenia osobistego zdania, nie usprawiedliwiam logicznie wniosku, że uznaję słuszność innych zdań przez inne osoby w tem samym piśmie wypowiedzianych.

Echa polemiki o dobra duchowe.

XV

G Ł O S Y. *)

Co powiedzielibyście, gdyby szewc zaczął dowodzić, że obuwie—furda, grunt zaś—podniosłość uczuć i trafność sądów? i co myślicie o wielkim powieściopisarzu i zasłużonym publicyście, który, nie przestając tworzyć dóbr idealnych i nie porzucając usilnych zabiegów o kształtowanie dusz ludzkich na modłę własnego sposobu myślenia, dowodzi raz po raz, że duch—furda, grunt zaś—nafta, łój, świece, bułki, surduty, stołki i kalosze? Takie „widowisko, któremu trudno dać nazwisko,“ oglądać można od niejakiego czasu w feljetonach Bolesława Prusa. Wprawdzie szanowny autor „Kronik Tygodniowych“ występował zawsze pod hasłem „trzeźwości“

*) Drukowano w № 16 Głosu z 1899 r. str. 374—375 bezimiennie. Podaję tutaj artykuły wywołane przeze mnie, bo wyrażają dosyć rozpowszechnione mniemania i rzucają światło na całą polemikę, której doniosłość i dziś jeszcze nie minęła.

i zdradzał predylekcję do „rozumowań ścisłych,“ przecież ostatniemi czasy, jak sam wyznał przed rokiem, zaczął miarkować, że fale „uczucia“ podmywają grunt, uprawiany przezeń w ciągu lat trzydziestu—jął przeto gorączkowo i uporczywie sypać tamy, rzucając na gwałt, cokolwiek znajduje pod ręką: naftę, łój, świece, bułki, surduty, stołki i kalosze. Ale nurty wzbierają coraz wyżej, a na grzbietach fal unosi się już nie sama tylko piana sądów pospółstwa, lecz i wielkie bąble „nauki uniwersyteckiej.“ I rzecz dziwna: im szerzej rozlewa przypyływ „uczuć,“ tem dalej sięga imię niefortunnego „ostrzegacza,“ tem jaśniej świeci serce jego i tem szczerzej wybaczamy mu — błędy. On bowiem był naszym zwiastunem i przewodnikiem młodości naszej: siły sterał na tępieniu bezdusznych trosk o dobrobyt materialny, uczył nas szukać pierwiastków idealnych w piersiach Ślimaków i Węgiełków, a pogardzać idealnymi pozorami Tutmozisów, Mefresów i Dagonów; on wychowywał Pentnerów i Samentów.

Ale do rzeczy. Prof. Lutosławski miał odwagę powiedzieć tu w *Głosie*, że

„to, co istotnie stanowi odrębność plemienną, nie polega na produktach materialnych, lecz na dziełach idealnych...

...Ze czciami więc i uznaniem spoglądajmy na tych, co dążą ku celom idealnym, i nie zaprzęgajmy ich do zadań praktycznych... Gdybyśmy oddając sto majątków hakatystom, mogli za tę cenę zdobyć jednego Mickiewicza lub Matejkę, to wartoby to uczynić, choć władanie ziemią jest najważniejszym z warunków materialnych bytu narodowego.“

Aby pognać „idealistę“, Prus bardzo wymownie przekonywa nas, iż społeczeństwo potrzebuje także rzemieślników, rolników, kupców, bankierów itp., albowiem któż robiłby myślicielom i artystom buty, któżby im szył spodnie, któżby im dostarczał kartofli? Podobnie rozumował pewien młodzieniec, który, gdy mu ojciec mówił, że człowiek o cnotę tylko dbać winien, odrzekł: „a któż mi będzie nos obcierał?“ Z działalności przemysłowej, dla utrzymania życia koniecznej, Prus robi cel i zasadę tego życia, zdając się nie wiedzieć wcale, iż praca fizyczna bez udziału inteligencji jest wprost niemożliwa w społeczeństwie ludzkim, że ta właśnie inteligencja stanowi cechę, odróżniającą pracowitego człowieka od pracowitego wołu i pracowitego Anglika od pracowitego Buszmana. Nie co innego miał na myśli prof. Lutosławski, gdy pisał, że „tylko myśl nasza i wyobraźnia, tworząca dzieła

sztuki lub badania naukowe, odróżnia nas od Niemców.“ Nieprawda, mówi Prus; „Żydzi nie posiadają nauki ani sztuki, tymczasem tworzą najbardziej wyodrębnioną narodowość na świecie.“ Sądzę, że na przykładzie Żydów zdołam dwukrotnie przekonać Prusa, iż dowodzenia jego są mylne. Bo przede wszystkim Żydzi nie są naprawdę narodem: brak im bardzo wielu cech, nieodłącznych od pojęcia narodu, i zdaniem mojem dla narodu istotnych. Nie posiadają żadnego obszaru osiadłości plemiennej, będąc tylko ruchliwą ciecżą, przelewającą się bez skrupułów i trudności pomiędzy nieszczelnie przystającemi do siebie częściami społeczeństw narodowych. Nie mają wspólnego języka, lecz co ważniejsza, nie mają wcale własnych i wspólnych instytucji społecznych, politycznych i prawnych. Nie okazują ani śladu siły przyswajającej, którą znajdujemy u wszystkich narodów bez wyjątku. A jeżeli pomimo to utrzymują dotąd odrębność swoją, to jedynie skutkiem zdumiewającej, Europejczykom obcej i niepojętej, solidarności wyznaniowo-rasowej, która czyni z Żydów nie naród, lecz narodowościową kastę, zjawisko najosobliwsze i jedyne chyba na świecie. Postawiony w położeniu Żydów, żaden naród europejski odrębności swej nie potra-

filby zachować, czy pielęgnowałyby dobra idealne, czy też wyłącznie materialne, czy wreszcie z podręcznikiem statystyki w rękę dbałyby o jedno i o drugie. Żydzi nie mogą być przykładem, tembardziej w ustach Prusa, nie odpowiadają bowiem jego statystyczno-ekonomicznemu wzorowi narodu. Gdzież, proszę, są żydowscy rolnicy? gdzie inteligencja? gdzie przedstawiciele rządu, sztuki, sportu? Mistyczne dziewięć konarowe drzewo życia narodowego niema ani cienia podobieństwa do żydowskiej ljanya, oplatającej pnie i gałęzi narodów aryjskich.

Cechy narodowościowe istnieją dawniej, aniżeli nauka i sztuka, mówi Prus.

„Owca różniła się od kozy, a sosna od świerka nierównie dawniej, aniżeli wykryli ten fakt i opisali go zoologowie, albo we wzruszających obrazach wyśpiewali poeci...“

Tak, lecz dopiero dzięki zoologom i poetom owce i sosny dowiedziały się o różnicach, dzielących je od kóz i świerków, a poznając istotę odrębności swojej, zrozumiały żywotne jej potrzeby. Z tego punktu widzenia najfałszywszem i najpierwotniejszym okaże się twierdzenie, iż Mickiewicz, ani Matejko nie dopomagają poznać przykom

w walce, jaką dziś toczyć muszą z hakatystami.

* * *

W nr. 16 *Wszechświata* znajdujemy „Luźne uwagi“ z powodu artykułu p. W. Lutostawskiego w *Kraju*, roztrząsającego pytanie, czy emigracja ludzi zdolnych przynosi szkodę naszemu społeczeństwu? Pan L. dowodzi, że prace naukowe, wykonane wśród obcych, nie są stracone dla narodu, że praca, nawet ogłoszona w obcym języku, zawsze pozostaje polską (!), płodem ducha polskiego.

„Gdyby szaleniec jaki—pisze *Wszechświat*—zebrał drogie pamiątki narodowe i wrzucił je w ogień, naraziłby społeczeństwo na olbrzymią stratę, której nic już powetowaćby nie mogło. Mniejszą zapewne jest wina takiego manjaka, który bez żadnej potrzeby uwozi ze swego kraju skarby muzealne i bogaci niemi dalekie, obce narody. Ten przynajmniej pozostawia współziomkom nadzieję, że kiedyś, w okolicznościach sprzyjających, mogą, jeżeli zechcą, odzyskać tę stratę czasową. W gruncie rzeczy jednak dla danego pokolenia, może dla całego szeregu pokoleń, wina tego drugiego ma te same następstwa:

wszystkim utrudnia możliwość korzystania z tych skarbów, niektórym przecina ją całkowicie.“

Przykład powyższy przedstawia pewną analogję ze sprawą emigracji naszych pracowników naukowych. Budzenie zamiłowania do pracy naukowej należy u nas do ważnych obowiązków społecznych; spełniać zaś je może z natury rzeczy li tylko drobna garstka ludzi, którzy sami oddają się nauce. Dlatego też nasi specjaliści, którym leży na sercu sprawa podniesienia umysłowego poziomu społeczeństwa, powinni dążyć do tego, aby móc umiejscowić pole swojej działalności w kraju; albowiem tylko w takim razie mogą znać potrzeby współziomków, ta zaś znajomość jest niezbędnym warunkiem pożytecznej działalności: zza gór i zza mórz pełnić jej w każdym razie z należytem pożytkiem nie można; nadto, mówi *Wszechświat*, „winni oni znajdować się w ciągłym pogotowiu, kiedy zdarzy się jakakolwiek sposobność skutecznego tym potrzebom zarażenia.“

„Rzecz powyższa wydaje się zupełnie prostą i zrozumiałą, dopóki nie wtrąci się w nią kwestja środków istnienia materialnego. Mnie się zdaje, że kwestja ta jest u nas bardzo błędnie rozumiana. Nie miejsce

tutaj na obszerniejsze jej traktowanie, ale z osobistych spostrzeżeń i dość rozległych stosunków, jakie mnie łączą z całą jedną grupą ludzi naukowych w kraju, wiem na pewno, że znajdują oni bądź co bądź warunki owe... wystarczające. Muszę zaś dodać, że według mego przekonania znaczna część tych ludzi ma możliwość pracy naukowej. Czy zawsze z niej korzysta, to pytanie inne, ale przeszkodę najgłówniejszą, jeżeli się nie mylę, stanowi powszechna dzisiaj pogoń za karierą. Ona to bowiem zastania przed wzrokiem pokolenia naszego wszystkie cele, prócz dobrobytu.

Wobec takiego stanu rzeczy, cóż będzie, jeżeli z kraju wydalą się najlepsi? Co nam ich zastąpi—czy ta myśl, że oni, zamiast setek zarabiają tysiące. Gdzież te przykłady powracających z zasobem sił nowych?...

Jakież wreszcie ze względu na przyrodników ma znaczenie frazes, że praca, o której pisze się w obcym języku, nie jest stracona dla narodu?... Nie łudzę się wcale przypuszczeniem, że jakaś setka rozpraw naukowych, ogłoszona w każdym roku po polsku, zmieniłaby cdrazu stosunki naszej umysłowości. Nie wątpię jednak z drugiej strony o ważnym znaczeniu, jakieby dla społeczeństwa naszego miało uświadomienie tej nie-

znanej mu rzeczy, że praca naukowa nie jest wyłącznie egzotyczną rośliną, że woń jej kwiatów i słodycz owoców jest istotnie doskonałą, pod jakimkolwiek hodowała się niebem.“

Niektóre z uwag powyższych, osobliwie te, które dotyczą warunków pracy naukowej u nas, mogłyby się wydać nieco zbyt optymistycznymi. Lecz dla nas jest tembardziej znamienna opinja taka, ile że wychodzi z ogniska naszej wiedzy przyrodniczej: oni tedy, ci właśnie pracownicy naukowci są dobrej myśli,—a to już jest skarb wielki i rekojmia pracy pożytecznej.*

*) (Dopisek z 1911-go roku:) Nie przeczę, że nauka powinna mieć swych przedstawicieli w kraju, ale także Polska powinna mieć swych przedstawicieli w tych wszystkich wszechświatowych ogniskach, gdzie się prowadzą prace naukowe takie, jakich w Polsce z powodu braku środków naukowych wykonać niepodobna.

XVI.

Kampanja prof. Lutosławskiego
i humorystyka w cyfrach. *)

Profesor W. Lutosławski w kilku pismach naraz wystąpił przeciw tendencji pewnego odłamu powieściopisarstwa naszego, które, z Rodziewiczówną na czele, wszelką pracę na polu sztuki lub myślenia oderwanego poniża na korzyść pracy około zdobyczy materialnych. W kampanji swej zaszedł prof. L. tak daleko, że nawołując do poszanowania przewodników ludzkości, co, zapatrzeni w ideę, odgadują nowe drogi nie tylko dla myśli, lecz i dla czynów ludzkich, zanadto niedbale się obszedł nawet ze wszelkiem nieujętem w karby rachuby społecznej poświęceniem

*) Drukowane w № 92 Gazety Polskiej z 23 kwietnia 1899 r.

się w imię miłości bezinteresownej dla ludzi. Tak np. doktorka, która przez poczucie obowiązku względem ludności cierpiącej wyrzeka się badań naukowych dla praktyki — w jego oczach podwójnie jest godną potępiania za to jeszcze, że leczy darmo nawet bogatszych od siebie, zamiast zbierać pieniądze na cele naukowe chociażby.

Jednostronne „okrawywanie ideałów“ nie należy do naszego wyznania wiary, zdaje się nam jednak, iż zdrowie tysiąca chłopów i nieokreślone zdobycze naukowe nie są rzeczami współmiernymi. Tylko *uczucie* jednostki może tu przechylić szalę wagi duchowej, to uczucie, którego bezinteresowność jest właśnie sercem owych najwyższych celów cywilizacyjnych ludzkości, w imię których występuje właśnie prof. L. Zarzut jego, czyniony jednej z bohaterek „Kądzieli“ za leczenie *wszystkich* bezpłatnie zawiera w sobie *in potentia* zarzut Sokratesowi, że uczył darmo, zamiast zbierać pieniądze od uczniów zamożniejszych na założenie akademji porządnej lub walkę z wrogami swych idei. Pozwalając myślicielom oderwanym na „nietrzeźwość ekonomiczną“ wypadłoby pozwolić na nią marzycielom społecznym, pracującym w imię miłości bliźniego. Może i Faradajowi zarzuciłby kto, że za odstą-

pienie od zasady pracowania bezinteresownie dla nauki oderwanej nie chciał milionów, które mógłby też obrócić na wzniosłe cele; czyż miłość bezinteresowną dla ludzi cierpiących należy stawiać tak dalece niżej od miłości nauki lub sztuki?

Ten odcień w wywodach prof. L. daje Prusowi asumpt nawet do podejrzenia go, niesłusznie zapewne, o „nietolerancję względem utworów, budzących wrażliwość dla biedy chłopów i wyrobników,“ a tej broni kronikarz *Kurjera Codziennego*, narówni z „życzliwością dla pracy ręcznej i podziwem dla przemysłowego geniusza,“ które wyglądają tu jak troje rodzeństwa, niby... groch, śledź i kapusta. Po za tem zastrzeżeniem praw miłości bezinteresownej, tej najszczytniejszej idealnej, która nadaje wartość istotną nietylko wszelkiemu dorobkowi materialnemu, lecz nawet wszelkiemu innemu dorobkowi idealnoduchowemu — po za tem zastrzeżeniem można jeszcze uczynić prof. L. zarzut z tonu, który robi niekiedy wrażenie postponowania wzgardliwego pracy tych, co cicho pracują, chociaż moc społeczeństw tkwi zarówno w słowie tych, co czując ducha, mówią, jak w liczbie tych, co go czują, milcząc.

Polemika ta, o wywołanie której chodziło oczywiście jej inicjatorowi, dziwnie jest pouczająca; oto jak tracąc równowagę, zmusza się innych do jej utraty. Gdyby prof. L. ograniczył się np. parafrazą orzeczenia Carlyle'a, który „dla Anglii wolatby się wyrzec Indji Wschodnich, niż Shakespeare'a“, czyli zapewnieniem, że „oddanie stu majątków hakatystom za jednego Mickiewicza lub Matejkę“, byłoby zyskiem narodowym—mielibyśmy gotowy argument na odparcie drwin Prusa z nabywania wielkich ludzi „po sto majątków“ za sztukę. Przypomnielibyśmy mu np., że krzyk Ryszarda trzeciego: „pół królestwa za konia“—nie upoważnia jeszcze liweranta do rachunku: „całe królestwo za 2 konie, a za trzy...“ Ale prof. L. sam dał przeciw sobie broń w rękę humorystyce, twierdząc, gdzieindziej, że „moglibyśmy całkiem stracić całą własność ziemską, przez nas posiadaną, bez wielkiej ujmy dla najistotniejszych celów, jeśliby za każdą utraconą włókę ziemi, rodził nam się jaki Sienkiewicz, Paderewski, Siemiradzki lub Chełmoński.“

Oczywiście musiał wobec tego Prus usłyszeć głos: „*caveat* felietonista!“, i urządził humorystykę na wielką skalę, przekładając 848,000 włók ziemi w Królestwie na tyłuż

artystów, którzy, nie mając w domu ani papu, ani „fraków modnych“, niemniej snąc według kronikarza dla artystycznej braci niezbędnych, musieliby iść w służbę do obcych.

...„Nasza literatura—mówi prof. L.—przeważnie szlachecka, w bardzo znacznej części jest skutkiem całkiem innych potrzeb, niż materialne. Jesteśmy artystami prawdziwymi i śpiewamy samym sobie.“

Darmo gdzieindziej wyrażałby on całkowite uznanie swoje dla pozytywnej pracy społecznej! Taka tyrada, niby błękit pruski inne barwy na obrazie—przegryzie wszystko inne i rozgości się w pamięci czytelnika. Takie zapędzenie się, *wyglądające* na urąganie zarówno pojęciom klas pracujących, jak kaście artystów — szlachciców, niby gałąź, nie ciągnąca już soków z pnia, szemrze na wietrze liśćmi uschłymi, takie zapędzenie się godne jest istotnie i śmiechu, i płaczu, a nie dziwię się nawet oburzeniu Prusa. To też wyznaję, że patrząc, jak ten dziwny marzyciel z „Faraona“ na intencję prof. L., dosiada kolejno rozmaitych, dobrze już znanych i ujeżdżonych koników swych kronikarskich, mam żal... do prof. L. Gdyby nie on, o jeden raz mniej spotkalibyśmy się może z taką np. grudką kompostu ducho-

wego, tak skutecznego jakoby na wzrost trzeźwości społecznej.

„Mickiewicz—urąga Prus w swojej krótnice ostatniej — stworzył Wallenroda, pogromcę Krzyżaków, a Matejko wymalował Grünwald, gdzie dokonano pogromu Krzyżaków. Lecz który z tych wielkich artystów pomaga Poznańczykom w walce, jaką dziś muszą toczyć z hakatystami?... Ani jeden, ani drugi.“

Gdyby Prus zapytał wszystkich Marcinkowskich i Jackowskich, których pracę w tym kierunku słusznie apoteozuje, czem dla nich byli ci i owi wielcy artyści, dowiedziałby się wielu rzeczy, których domyśleć się nie chce. Dante w kilkaset lat po swojej śmierci więcej uczynił dla najkardynalniejszych potrzeb swego narodu, niż stu kronikarzy oportunistycznych wraz z tysiącem najpracowitszych mrówek ludzkich.

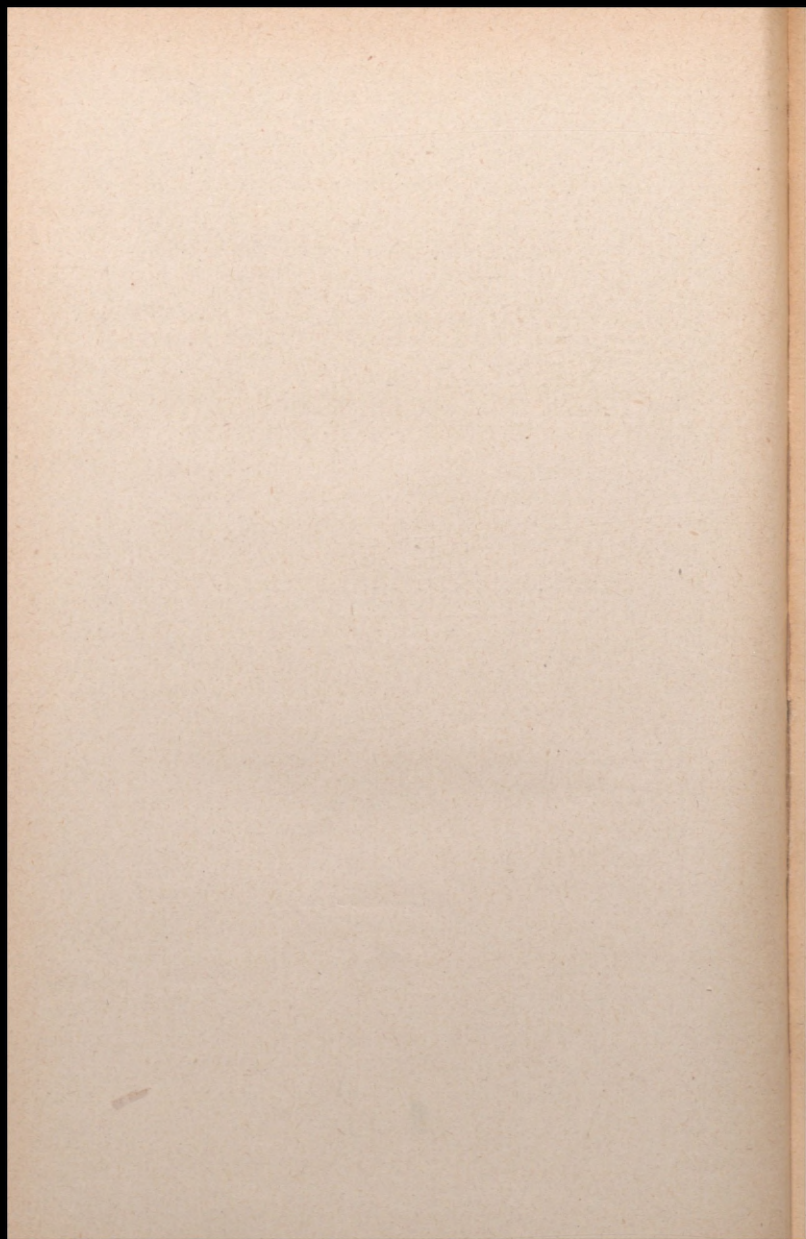
Taka tyrada Prusa, to też pruski... błękit. Dzięki takiemu traktowaniu sprawy ze stron obu, cała ta polemika, która mogłaby zrównoważyć myśl społeczną, roznamiętnia tylko ludzi.

Józefat Nowiński.

*) (Przypisek dodany w 1911 roku:)² Po dwunastu latach nie zmieniłem zdania co do emigracji

zdolności, ani też co do względnej wartości własności ziemskiej i pracy naukowej lub artystycznej. Ziemia cała jest polem pracy dla wszystkich narodów i Polacy powinni udział przyjąć w tej pracy wszechświatowej która się odbywa w licznych ogniskach sztuki i nauki, jak Paryż, Londyn lub Rzym. Te stolice nie należą do jednego narodu, goszczą one pracowników z pośród wszystkich przodujących narodów świata, i dla nas jest tam miejsce zaszczytne, jako dla Polaków. To wcale nie przeszkadza, by te prace naukowe i artystyczne, które mogą być wykonane w kraju, były prowadzone przez ludzi nie mających skłonności do przedstawicielstwa swego narodu zagranicą. Tułaczka po krajach obcych jest strasznie smutną i przykrą, szczególnie dla Polaka, więc tylko ci emigrują, co naprawdę w kraju stosownego do swych uzdolnień zajęcia znaleźć nie mogą, lub co potrzebują zagranicznych środków dla wykonania swych zamiarów. Ci zaś co dla względów materialnych tylko emigrują, chcąc więcej zarobić, wcale nie są prawdziwymi Polakami, i nie mamy co ich żałować. Ci co zagranicą zbierają środki, aby hojnie wydać je w kraju, są zdobywcami, zasługującymi na uznanie. Własność ziemi polskiej wkłada na Polaka poważne obowiązki, ale powołanie naukowe lub artystyczne jest znacznie donioślejsze dla narodu, jeśli jest istotne, niż władanie ziemią—więc jeśli artysta lub badacz posiadają ziemię a nie mogą się na tej ziemi utrzymać, to lepiej zrobią gdy tę ziemię oddadzą rolnikom, w zamian za środki do badań naukowych lub do pracy artystycznej.

II.
ARTYKUŁY POLITYCZNE.



XVII.

O źródłach sił narodowych. ¹⁾

Siły narodu nie zależą ani od liczby jego obywateli, ani od obszaru ziemi posiadanej przez nich. Łatwo się o tem przekonać, gdy sobie przypomnimy, jak wielkie i ludne państwo chińskie zostało pobite przez Japonję, — jak w czasach starożytnych państwo Perskie uległo przemocy walecznych, choć nielicznych Greków.

We wszystkich epokach historii liczne można znaleźć przykłady takiej zwycięskiej walki ubogiej mniejszości z bogatą większością. Zwycięstwo było zawsze po stronie tych, co posiadali duchową przewagę — nie po stronie materialnej siły, ani liczebnej przewagi walczących.

1). Drukowane w № 224, 5, 6 Gońca Wielkopolskiego z 1, 3 i 4 Paźdz. 1899 r.

To też wszelkie wykrzykniki na cześć potęgi Niemiec lub Rosji są pustym frazesem, dopóki mowa o potędze materialnej, o ilości armat, lub wysokości kapitału.

Armaty, żołnierze, kapitał — to narzędzia, których wartość w zupełności zależy od siły duchowej, rządzącej nimi. Gdy doskonała armata dostanie się w ręce nieumiejętne, rychło zostanie zepsuta. Więc nie armata jest istotną siłą, tylko dzielny artylerzysta, który umie się nią posługiwać.

Tak samo armja olbrzymia pod złym wodzem może być łatwo narażona na zniszczenie, szczególnie gdy wódz prócz nieumiejętności grzeszy nieuczciwością, lub zdradza państwo, któremu służy.

Największy majątek w krótkim czasie może być roztrwoniony przy złej administracji — a zupełnie fałszywem jest mniemanie tych, co sądzą, że kapitał własną siłą rośnie. Rotszyldowie, znani bogacze, przy największych wysiłkach umysłowych, skierowanych ku powiększaniu swych bogactw, nie są w stanie osiągnąć od swych kapitałów wyższego dochodu, niż pięć procent, podczas gdy energiczna myśl, posługująca się mniejszym kapitałem, daje sto i dwieście procent dochodu. Więc myśl jest tu rzeczywistą siłą, nie martwy kapitał.

Zważywszy te fakta musimy raz na zawsze wyrzec się fałszywych rozumowań o potędze innych narodów. I tak Niemcy są potężni nie dla tego, że mają miliony, armaty, żołnierzy — tylko dla pewnych cech duchowych.

Więc nie godzi się obawiać przewagi materialnej Niemców, dla tego że są liczniejsi i bogatsi od kogo innego, — tylko trzeba zbadać te cechy duchowe, które stanowią siłę Niemców i postarać się o rozwinięcie w nas tych samych cech lub innych równoważnych, a wtedy będziemy w stanie dorównać wszelkiej sile materialnej i licznej.

Najświetniejszy przykład takiego działania dali Anglicy. Półtora wieku temu mniej było Anglików na świecie, niż dziś Polaków. Nawet obecnie czystej krwi Anglicy licznie są słabsi od Moskali, jeśli nie liczyć Szkotów i Irlandczyków, którzy się uważają za odrębne narody. A jednak panują nad światem i dzierżą w swem ręku rządy nad milionami ludzi innej rasy i wiary.

Zastanówmy się nad warunkami, które Anglikom zapewniły takie panowanie. Są to przeważnie warunki duchowe. Całkiem fałszywym, a nawet śmiesznem jest mniemanie, jakoby potęga Anglii mogła zależeć od jej

położenia geograficznego, od warunków klimatycznych, od bogactw mineralnych i innych materjalnych czynników. Wszystkie te warunki fizyczne posiadała Anglja trzysta lat temu, gdy Anglicy byli jednym z wielu narodów bez wpływu na sprawy Europy. Najlepsze kolonie, jakie wówczas mieli, utracili później wskutek ucisku i niesprawiedliwości swoich rządów. Sto lat temu Anglicy, pomimo smutnego doświadczenia emancypacji Stanów Zjednoczonych, nadużywali władzy swej w Irlandji, gdzie popełniali okrucieństwa godne moskiewskich zbirów.

Prawdziwa potęga Anglji datuje dopiero od początku bieżącego stulecia, a źródła jej są czysto duchowe. Najważniejszym z tych źródeł jest ruch religijny, który można śmiało przyrównać do ruchu, który stworzył chrześcijaństwo.

Kolosalny rozwój towarzystw biblijnych i różnych sekt chrześcijańskich najociężalsze umysły pobudził do rozbioru najważniejszych zagadnień moralnych. Uwolniono się od sztywnych i suchych formulek tradycyjalnych, tworzone siły i formy nowe, powstał cały szereg równoległych prądów, porywających tłumy w kierunku uszlachetnienia życia we wszystkich jego objawach.

Znanym w całym świecie prądem tego rodzaju jest armja zbawienia. Wolno wyrafinowanym sceptykom i estetykom drwić z hałaśliwych i niesmacznych zebrań tego ciała, lecz kto patrzy poważnie na objawy społeczne, ten musi skłonić głowę z uznaniem przed wspaniałymi owocami, jakie samozwańczy generał Booth wyhodował w atmosferze pełnej wyziewów spoconych pielgrzymów, fanfar trąb, ogłaszających zbliżający się sąd ostateczny, i odgłosu bębnow, bębniących na przebudzenie głosu sumienia.

Wszystkie te środki były trafnie zastosowane do potrzeb duchowych anglosaksońskiej rasy i osiągnęły swój skutek.

Drugim prądem, który dopiero w tem stuleciu się rozwinął w Anglji, jest prąd organizacji ekonomicznych, które coraz to więcej i skuteczniej ochraniają robotników od nadużycia kapitalistów. W żadnym kraju bezrobocie nie osiągnęło tak imponujących skutków, jak w Anglji. Gdy zaczęło się bezrobocie maszynistów, zapasy materjalne ich organizacji były tak niewielkie, że gdyby nie znaleźli poparcia w społeczeństwie, wytrwaliby zaledwie kilka tygodni. Tymczasem fundusze napływały ze wszystkich sfer ludności tak stale, że bezrobocie trwało pół

roku i w zupełności usprawiedliwiło zaufanie narodu do organizacji robotniczej.

Trzecim prądem, który się przyczynił do wzmoczenia potęgi angielskiej był wysoce oryginalny rozwój literatury tego narodu. Wprawdzie już Szekspir przewyższył wszystkich poetów dawniejszych, ale dopiero w XIX stuleciu angielska literatura przez swą odrębność wywarła decydujący wpływ na utrzymanie jedności narodowej rozproszonych po całym świecie Anglików.

Najsztubtelniejsze myśli i uczucia są wyrażone w dziełach takich prawdziwych wieszczów, jak Shelley i Browning--a ich cechą charakterystyczną jest śmiała niezależność od obyczajów i tradycji, od uprzedzeń i przesądów. Pod wpływem takiej poezji wyrastają śmiali reformatorowie na wszystkich polach działalności ludzkiej.

Czwartym współrzednym prądem, stanowiącym najważniejsze źródło potęgi narodu angielskiego jest jego emigracja i kolonizacja. Siła emigracji angielskiej polega na tem, że się nie wynaradawia i że utrzymuje stałe stosunki z ojczyzną, wzbogacając kraj, z którego pochodzi.

Taką emigrację można przyrównać do korzeni, które potężny pień drzewa wypuszcza, by z coraz to dalszych miejsc czerpać

soki żywotne. W dawnych czasach, kiedy jeszcze środki komunikacyjne były utrudnione, emigracja ściśle była związana z kolonizacją — i ograniczona do własnych kolonji każdego narodu. Lecz dziś stosunki się zmieniły. Nie ma już na całej ziemi żadnego państwa, w któremby nie żyły obok siebie różne narodowości.

Więc nie potrzebujemy koniecznie posiadać własnych kolonji, aby zabezpieczyć naszą emigrację od wynarodowienia. Sami Anglicy emigrują bynajmniej nie tylko do własnych kolonji. Za kolonie nie można uważać ani Indji, ani Egiptu, ani Transwaalu, a jednak w tych krajach rządzą Anglicy i ciągną z nich olbrzymie korzyści.

Kolonje w życiu każdego narodu odgrywają rolę bardzo doniosłą. Dwa największe ludy na ziemi, Grecy i Anglicy, kolonjom zawdzięczały swoje bogactwo i swój rozwój duchowy. W kolonjach greckich narodziła się grecka filozofja, w kolonjach rozwinął się najwięcej handel i przemysł.

Także i dla Anglji kolonje mają największe znaczenie, gdyż im głównie zawdzięczają Anglicy swoje wielkie bogactwa. Najpopularniejszy wyraziciel angielskiego patriotyzmu, Kipling, przybył z Indji Wschodnich do Anglji, a osiadł ostatecznie w Stanach

Zjednoczonych, które można poczytywać za kolonję angielską.

Jeśli się zastanowimy nad powyższymi czterema prądami, które tak wysoko wyniosły angielski naród nad wszystkie inne w ciągu tak krótkiego czasu, to będziemy musieli przyznać, że fizyczne warunki Anglii żadnego wpływu na ten wielki rozwój angielskiego ducha nie miały.

Ten sam klimat, te same mgły, te same wiatry i morza posiadała Wielka Brytania i dawniej, ale dopiero w XIX-ym stuleciu naród dawniej mniej możny niż obecnie Polacy, doszedł do wszechświatowego znaczenia, do przewodnictwa ludzkości. Nie zależało to wcale od sprzyjających okoliczności żadnych, tylko wprost od indywidualnych potężnych dusz, które zaczęły się pojawiać wśród angielskiego narodu, jakby ze zrządzenia Opatrzności, kierującej ten naród ku wyższym przeznaczeniom.

Organizacja społeczna tem wybitniejszy ma charakter narodowy, im więcej myśl narodowa przez rodzimą oryginalność wyodrębniła się od myśli innych narodów.

Pod tym względem jesteśmy wyjątkowo bogaci — z Mickiewiczem ani Puszkim, ani nawet Goethe się równać nie może. Puszkim i Goethe byli sługami swoich panów, Mic-

kiewicz niezależnym panem, który po szlachecku nawet Boga jako brata szlachezca traktował.

Gdy Goethe najczęściej opiewał swoje własne uczucia i osobiste doświadczenia, Mickiewicz czuł za miliony. Goethe był poetą zmysłowych pożądań i doświadczeń — Mickiewicz miał nadzmysłowe ideały.

Jakkolwiek Szyler moralnie stoi wyżej od Goethego, to Krasiński znowu o wiele przewyższa Szylera, bo roztacza przed nami znacznie szersze horyzonty, niż te, jakie obejmował Szyler, gdy przedstawiał nam, jak Fiesco lub Wilhelm Tell tragicznie ginęli.

Irydjon, Pankracy, Aligier, hrabia Henryk — to są potężne postacie, którym równych niemiecka poezja cała nie posiada.

W nowszych czasach także nasza filozofja zaczęła się rozwijać, jak świadczy niezwykle powodzenie Przeglądu filozoficznego, który w krótkim czasie zdobył dwa razy więcej prenumeratorów niż ma ich najstarsze pismo filozoficzne niemieckie „Zeitschrift für Philosophie“.

Polski pogląd filozoficzny na świat jest oparty na najsilniejszym przeświadczeniu o wolności woli, przez co zasługuje na miano

eleuteryzmu. Zasady eleuteryzmu niedawno wyłożyłem po niemiecku w dziele „Seelenmacht, Abriss einer zeitgemässen Weltanschauung“, w którym bliżej uzasadniam wyższość moralną Polaków nad Niemcami, rokującą nam lepszą przyszłość, jeśli będziemy się starali nasze cnoty narodowe rozwinąć, zamiast ciągle wątpić o własnych siłach.

Najważniejszym dla nas źródłem siły będzie umiejętnie pokierowana i wyzyskana emigracja. Emigracja zapewniła wielkość Anglii – w kolonjach angielskich powstały najważniejsze prądy społeczne nowożytne.

Emigranci stale przysyłają pieniądze do kraju, a często też na starość powracają sami, przywożąc ze sobą cenne doświadczenie praktyczne i gorącą miłość wolności, do której w Ameryce przywykli. Kraj nasz jest ubogi, ale bogactwa całego świata stoją nam otworem, jeśli wyślemy na wszystkie jego krańce wiernych rodaków, którzy nigdzie nie zapomną o swej Ojczyźnie.

Dla ułatwienia racjonalnej emigracji najważniejszym warunkiem jest ujęcie tego ruchu żywiołowego w karby kierunku rozumowego. Trzeba założyć Towarzystwo racjonalnej emigracji, któreby zapewniało opiekę rozumną nie tylko emigrantom, ale i czaso-

wym wychodźcom, którzy się udają na roboty do Saksonji, Westfalji, lub Danji.

Dziś lud wychodzący na roboty jest w zupełności zależnym od obcych agentów, którzy go wyzyskują w najstraszniejszy sposób, odbierając mu znaczną część zarobku.

Trzeba zatem założyć szkołę narodowych agentów emigracji, przygotowanych do kierowania ruchem emigracyjnym. Tacy agenci powinni dobrze znać niemiecki i angielski język, mieć jasne wyobrażenie o społecznej organizacji i politycznych partjach, do których bywają zaciągani robotnicy, znać warunki pracy w różnych krajach, znać nasz lud roboczy i jego wymagania. Przede wszystkim zaś powinni być gorącymi obywatelami, zachęcać robotników ufających im do obchodzenia rocznie narodowych, i stale utrzymywać stosunki między wychodźcami a pozostałymi w kraju obywatelami.

Często dają się słyszeć głosy, odwołujące od emigracji, narzekania na to, że emigranci się wynaradawiają, że kraj nasz traci obywateli. Takie żale i skargi polegają albo na nieznajomości stosunków emigracyjnych, albo na obłudzie, ukrywającej pod płaszczem patryjotycznych frazesów obawę o utratę „bydelka roboczego“, za jakie często nasi rolnicy mają lud wiejski.

Przez emigrację zarobek pozostających w kraju się wzmaga, warunki ich bytu się polepszają. Z jednej strony bowiem pracodawcy są zmuszeni płacić im więcej, z drugiej emigranci przysyłają swoim krewnym do kraju część zarobku, zdobytego w obcych krajach.

O wynarodowienie żadnej obawy nie ma ¹⁾. - Mineły te czasy, kiedy naród i państwo były pojęciami jednoznaczacemi. Dziś różne narody żyją w jednym państwie i wcale sobie wzajemnie szkodzić nie powinny.

W Stanach Zjednoczonych mamy miliony Polaków szczerych patriotów, mamy polskie szkoły i wojska. Tak jak Anglik wszędzie na świecie pozostaje Anglikiem, tak samo Polak wiernym jest swoim ideałom narodowym. Wynaradawiają się tylko gorsze jednostki, na których nie ponosimy poważnej straty.

Zresztą gdyby nawet na serjo groziło wynarodowienie tym co dzisiaj są za oceanem, to byłoby tylko poważnym powodem,

1). Zdanie to potwierdzają moje doświadczenia późniejsze, zebrane w Stanach Zjednoczonych w 1907—1908 r. —

aby posłać tą samą drogą więcej braci, bo tam gdzie dwa miliony się nie oprą, oprze się pięć milionów. Ale wszystkie te obawy są urojone. W Ameryce nie tylko Polacy się nie wynaradawiają, ale wielu się uczy patriotyzmu i polskiego języka.

XVIII.

Prusacy i Persowie. *)

Choć historia się nie powtarza, to jednak analogie dziejowe czasem dużo światła rzucają na współczesne wypadki. Mieliśmy w odległej przeszłości wiekową walkę dwóch aryjskich narodów: Persów i Greków.

Persowie — naród wojowniczy, zaborczy, a także słynny z filozofji i Zarathustry. Idealem ich była władza państwowa, kolejno podbijali ościennie narody i wcielali je do

*) Drukowane w № 25 Świata z 20 Czerwca 1908 r. Myśli tego artykułu zostały później rozwinięte w dziele o Ludzkości Odrodzonej i w cyklu wykładów publicznych p. t. Przyszły Grunwald, wygłoszonych w Krakowie, we Lwowie i w innych miastach w Kwietniu, Maju i Czerwcu 1910 r.

swego potężnego państwa. Mieli zdolnych królów i niepospolitych wojowników.

Grecy, z tej samej rasy aryjskiej pochodząc, wielce się różnili od Persów. Myśl ich w znacznej mierze skierowana była ku polepszeniu politycznych urządzeń drobnych państweczek, ku ograniczeniu nadużyć ludzi możnych,—byli oni najdawniejszymi pionierami demokracji. Przy tem odznaczali się artystyczną twórczością.

Po kolei szereg miast greckich Persom uległ, i wśród Greków zaczęli się zjawiać „czciciele potęgi“, tak jak ci nasi współcześni, pod osłoną starożytności opisani przez Orzeszkową.

Zdawało się, że fala perska Grecję zaleje. Ale gdy rozzuchwaleni Persowie postanowili Grekom wydrzeć nie już kolonje, lecz dziecinną ziemię, doznali naprzód porażek, potem fala się odwróciła i pół-grecki zdobywca podbił całe państwo perskie, którego budowa, na gwałcie oparta, nie przetrwała kilku stuleci. Cofnęli się Persowie do ziemi rodzinnej i dopiero po kilku tysiącach lat doczekali się konstytucji.

W całym tym przebiegu walki jest kilka punktów, które zasługują szczególnie na naszą współczesną uwagę. Najważniejsze jest to, że wewnątrz aryjskiej rasy już w daw-

nej starożytności spotykamy dwa typy przeciwległe: jeden wojowniczy, koczowniczy, zaboreczy—protestancki,—bo Zarathustra jest umysłowym przodkiem Lutra i łamie jedność lub troistość praaryjską swoim dualizmem,—drugi osiadły, rozmiłowany w wolności, w polityce, dążący ku demokracji, a przytem wielce twórczy w sztuce i katolicki w religji, to jest dążący do powszechnej jedności.

Grecy uważali się za autochtonów, synów ziemi, czyli zamieszkałych od najdawniejszej starożytności na ziemi, którą zajmowali.

Podobnie i Słowianie nad Wisłą znikąd nie przyszli, nie mają żadnego podania, by ten kraj kiedykolwiek zdobyli; są synami tej ziemi, miłośnikami swobody wielce twórczymi w sztuce, a nie zaboreczymi wobec krajów sąsiedzkich.

Im przeciwlegli są wędrowni, zaboreczy, nieosiedli Germanowie. Wśród Germanów wyłania się najgorszy ród mieszaińców, powstający z wynarodowionych Słowian, z tych czcicieli potęgi—i to plemię renegatów przyjmuje miano Prusaków.

Prusacy posuwają się przez stulecia na wschód, jak Persowie się posuwali na Zachód. Potęga pruska wydaje się dziś tak ustaloną, jak była potęga perska. A hasłem

rozpoczynającej się powrotnej fali było zamierzone wywłaszczenie Greków z ich odwiecznych siedzib.

Dziś to hasło padło wśród nowożytnych Persów,—ale gdy ich powrotna fala pochłonie, czy będą mieli jakąś ściślejszą ojczyznę, w której po tysiącioletniem odrętwieniu mogliby się odrodzić?

Czy ci potomkowie najslabszych Słowian, co się dali zniemczyć, nie będą odpadać tysiącami od zachwianej potęgi i powracać do mowy i wiary ojców?

Czy Pomorze i Szląsk nie ockną się z uludy, w której dziś się mają za niemieckie ziemie, a nawet Zgorzelec czyli Brandenburg nie stanie się niepewnym?

Jakież więc ostateczne granice miałyby odrodzona Germanja? Czy tylko Szczecin i Wrocław odda pod sprawiedliwszą słowiańską administrację? czy Budziszyn nie zechce być zabezpieczony przed dalszem wynaradawianiem gwałtownem? czy Rugja nie przypomni sobie, że jest ziemią słowiańską?

Wydają się te pytania zbyt śmiałe,—lecz gdy Persowie panowali w Milecie, któż mógł wtedy marzyć o tem, że aż do Egiptu sięgnie greckie panowanie?

Persowie, dawniej wojowniczy naród, tonąć zaczęli w rozpuszcie i zbytku, jak zwy-

kle zaborcze ludy po krótkiej epoce rozrostu nazewnątrz.

Teraz rozpusta i zbytek toczą państwo pruskie, pokolenia tego ludu nie mają błogosławieństwa tak liczne go potomstwa, jak wzgardzeni przez nie polscy robotnicy. Pomimo, a może dzięki prześladowaniom, wzmagają się stosunkowa ilość Polaków w państwie pruskiem.

Powrotna fala już się rozpoczęła, brak tylko jeszcze Aleksandra, coby ją nazewnątrz uwidoczniał,

Ale nie ma już miejsca na ziemi dla tych ambitnych Aleksandrów, odkąd upadł największy wśród nich, Napoleon.

Walka nie będzie walką ambitnych jednostek, lecz dwóch różnych form życia: walka między samorządem narodów, a zaborczością państw i dynastji.

Zaborczość państw — to dawna zasada, która z kolei wytwarzała państwa takie, jak babilońskie, perskie, macedońskie, rzymskie, hiszpańskie, moskiewskie, pruskie, do których rządu nie można zaliczyć cesarstwa brytańskiego, gdyż od wyzwolenia Stanów Zjednoczonych w XVIII-ym wieku i buntu Indji w XIX-ym wieku, wielka Brytanja zaczęła uwzględniać prawa i potrzeby obywa-

teli oddzielnych prowincji, którzy zaczynają wytwarzać oddzielne narody.

Samorząd narodowy, to ideał, który powstał w Polsce i przez dobrowolną Unję na Ruś, Litwę i Prusy został rozciągnięty.

Odkąd Polacy utracili niepodległość, co raz to więcej narodów samorząd zdobywać zaczęło. Rozpadło się olbrzymie państwo hiszpańskie na tuzin republik, Brazylijskie stany wyzwoliły się od Portugalji, Belgja od Hollandji, Grecja, Rumunja, Bułgarja, Serbja od Turcji, Włochy od Austrii, nawet Norwegja od Szwecji, nareszcie Finlandja od Rosji.

Jednocześnie Prusacy gwałcili prawa Duńczyków w Szleswigu, Francuzów w Lotaryngji, Polaków na wschodzie.

Mamy dziś dwa różne typy państw w Europie: państwa narodowe, jak Francja, Włochy, Hiszpanja, Grecja, Hollandja, Szwecja, Norwegja—i państwa dynastyczne cztery, z których trzy zaboru Polski dokonały, czwarte południowych Słowian gnębiło.

Zasada narodowości—wytwór ducha polskiego—w Polsce do najżywszego wyrazu doprowadzona, coraz to silniej się wszędzie przejawia, — towarzyszy jej żądanie ludów, by same sobą rządziły.

kle zaborcze ludy po krótkiej epoce rozrostu nazewnałrz.

Teraz rozpusta i zbytek toczą państwo pruskie, pokolenia tego ludu nie mają błogosławieństwa tak licznego potomstwa, jak wzgardzeni przez nie polscy robotnicy. Pomimo, a może dzięki prześladowaniom, wznaga się stosunkowa ilość Polaków w państwie pruskiem.

Powrotna fala już się rozpoczęła, brak tylko jeszcze Aleksandra, coby ją nazewnałrz uwidoczniał,

Ale nie ma już miejsca na ziemi dla tych ambitnych Aleksandrów, odkąd upadł największy wśród nich, Napoleon.

Walka nie będzie walką ambitnych jednostek, lecz dwóch różnych form życia: walka między samorządem narodów, a zaborczością państw i dynastji.

Zaborczość państw — to dawna zasada, która z kolei wytwarzała państwa takie, jak babilońskie, perskie, macedońskie, rzymskie, hiszpańskie, moskiewskie, pruskie, do których rządu nie można zaliczyć cesarstwa brytańskiego, gdyż od wyzwolenia Stanów Zjednoczonych w XVIII-ym wieku i buntu Indji w XIX-ym wieku, wielka Brytanja zaczęła uwzględniać prawa i potrzeby obywa-

teli oddzielnych prowincji, którzy zaczynają wytwarzać oddzielne narody.

Samorząd narodowy, to ideał, który powstał w Polsce i przez dobrowolną Unję na Ruś, Litwę i Prusy został rozciągnięty.

Odkąd Polacy utracili niepodległość, co raz to więcej narodów samorząd zdobywać zaczęło. Rozpadło się olbrzymie państwo hiszpańskie na tuzin republik, Brazylijskie stany wyzwoliły się od Portugalji, Belgja od Hollandji, Grecja, Rumunja, Bułgarja, Serbja od Turcji, Włochy od Austrii, nawet Norwegja od Szwecji, nareszcie Finlandja od Rosji.

Jednocześnie Prusacy gwałcili prawa Duńczyków w Szleswigu, Francuzów w Lotaryngji, Polaków na wschodzie.

Mamy dziś dwa różne typy państw w Europie: państwa narodowe, jak Francja, Włochy, Hiszpanja, Grecja, Hollandja, Szwecja, Norwegja—i państwa dynastyczne cztery, z których trzy zaboru Polski dokonały, czwarte południowych Słowian gnębiło.

Zasada narodowości—wytwór ducha polskiego—w Polsce do najżywszego wyrazu doprowadzona, coraz to silniej się wszędzie przejawia, — towarzyszy jej żądanie ludów, by same sobą rządziły.

Gdy dążenia konstytucyjne już sięgnęły od Japonji do Turcji, Persji, Chin, to i Bülow nie utrzyma długo autokracji nawet w Prusach.

Zaślepienie zaborców wywołać musi nowe konflikty i walkę wielką, ostateczną, ową świętą wojnę o wolność ludów, o której wspomina litanja pielgrzyma.

Jak zwykle w istotnie wielkich dziejowych ruchach, ta wojna z początku celu swego świadomą nie będzie, bo samolubne dążenia jednostek lub grup zwykle bywają narzędziem takich przemian etycznych, o których nikt w tych walczących grupach nie marzy. Więc wybuchnie jakaś pospolita waśń państwowa, wskutek jakiegoś zbyt śmiałego zaborczego zamachu.

Ale gdy wiele narodów do walki zostanie wciągniętych wskutek tej wzrastającej ludzkiej solidarności, która czyni, że dziś pokój w jednym miejscu zakłócony, wszędzie jest zagrożony, gdy po ciężkiej i bezowocnej walce zechcą trwałego pokoju, wtedy oprą go na zasadzie słowiańsko-greckiej: samorządu narodowości, a nie na podstawie persko-pruskiej: dynastycznych uroszczeń.

XIX.

Rozbiór Turcji *)

Wprawdzie Turcja nie jest Rzeczpospolitą, powstałą z dobrowolnej unji niezależnych ludów, ani też nie miała żadnych zasług wobec Europy, broniąc jej cywilizacji przed barbarzyństwem, a jednak o ileż trudniej następuje rozbiór tego państwa, niż daleko mniej usprawiedliwiony rozbiór innego państwa sto kilkadziesiąt lat temu!

Turcja, podobnie jak większość dawniejszych mocarstw, powstała z podbojów i zaborów i nigdy nie dbała o narodowe prawa swych poddanych. Ale wśród państw zaborczych Turcja ma jednak pewną cechę moralną, która ją stawia o wiele wyżej, niż takie państwa zaborcze, jak Prusy lub Austria.

Gdy te ostatnie podbijają i zabierają prowincje dla chwały i potęgi swych panują-

*) Drukowane w № 43 Świata z 24 Paźdz. 1908 roku.

cych lub panującej w tych państwach narodowości, Turcy stworzyli wielkie swe państwo w imię Boże, opierając się na wierze w swego proroka i szczerze pragnąc doczesnego i wiecznego szczęścia swych poddanych, przez udzielenie im wiary, uważanej przez nich za prawdziwą.

Kto tę wiarę przyjął, zdobywał równouprawnienie i mógł w państwie dojść do najwyższych stanowisk.

Zład w państwie tureckim istnieje siła moralna, obca naszym dzisiejszym wrogom, bo jedność wiary, nawet błędnej, stanowi olbrzymią siłę.

A jednak każde państwo, powstałe z podbojów i zaborów, nieuchronnie skazane jest na upadek i rozkład. Takim był los Assyrii, Babilonu, Persji, państwa Aleksandra Wielkiego, a nawet rzymskiego cesarstwa.

Więc pomimo nowej konstytucji, która trzeci rozbiór Turcji sprowadza, (licząc pierwszy w 1831, a drugi w 1878 r.), — co nam dziwnie przypomina nasze własne dzieje, — pomimo protekcji króla Edwarda i rządu angielskiego, Turcja jest skazana nieuchronnie na ostateczny rozkład, a narody, przez nią podbite, Serbowie, Bułgarowie, Grecy, Rumuni mają przed sobą przyszłość i nadzieję utworzenia potężnej Rzeczypospolitej,

gdy przewyciężą wiekowe waśnie, a przykład dawnej Litwy i Rusi naśladować zechcą.

Ale Turcy zawsze utworzą przynajmniej narodowe państwo i trwać będą, jak Persowie, po upadku mocarstwa Cyrusa.

Zaś z Austrii o ile się nie wyzwoli ze swych słowiańskich prowincji i nie przedzierzgnie w narodowe niemieckie państwo, nie zostanie, może nawet nazwa z użycia wyjdzie. Nic nie pomoże przewrotność dyplomatów i sofistyka, za pomocą której od tak dawna usiłują Austriacy usprawiedliwiać każdy akt gwałtu.

Nic nie pomoże im rozszerzać terytorja podległe rządowi w Wiedniu, gdy nie mogą żadną miarą wzmocnić jedności sztucznego konglomeratu, zawierającego w sobie pierwiastki niezgodne.

Nieuchronny i niepowstrzymany niczem postęp ludów ku coraz to większej niezależności narodowej, ku rozbudzeniu i wcieleniu narodowych aspiracji, rozsądzi takie sztuczne wytwory ambicji i przewrotności ludzkiej, jak Austrija, jeszcze pewniej, niż takie na fanatyzmie i religii fałszywej zbudowane mocarstwa, jak Turcja.

Więc jakież stanowisko mamy zająć wobec ostatnich wypadków? Czy oburzać się na formalne zgwałcenie postanowień Kon-

gresu berlińskiego, gdy daleko idące postanowienia Kongresu wiedeńskiego pozostają zgwałcone?

Czy cieszyć się, że Bośnia dozna dobrodziejstw politycznych, którymi cieszy się Galicja pod najmiłościvszym rządem Franciszka Józefa?

Czy sympatyzować z prawosławną Serbją, mającą niezdrowy apetyt na katolicką Kroację?

Czy obawiać się zgniecenia i podboju Serbji przez potężną Austrię lub Bułgarji przez Turcję?

Cokolwiek się stanie, będą to zawsze fakta, należące do tej wszechświatowej tragedji, o której Mefisto wspomina w Fauście, gdy siebie samego określa, jako część tej siły, która złego pragnie, a dobro czyni.

Austrja chce wzrostu potęgi, uroku panowania. Zaś zdobędzie przyrost słowiańskich posłów w parlamencie i osłabienie niemieckiej przewagi w rządach.

Na zabór Serbji ani Bułgarji mocarstwa nie pozwolą, więc one nie wiele mają do stracenia, lecz mogą wywołać poważniejsze starcia, które z konieczności doprowadzą do Kongresu, o tyle dla praw narodowości wyrozumialszego, niż berliński, o ile ten os-

tatni dał więcej zadawalniające i trwalsze rezultaty, niż wiedeński.

Więc nie potrzebujemy wcale stanąć dziś po stronie Austrii, ani Serbji, Bułgarji, ani Turcji, a tylko możemy winszować Grecji, że się doczeka połączenia z Kretą, o którą dziesięć lat temu na pozór bezowocnie walczyła. Krew, wylana w walce o prawa narodów, nie bywa nigdy bezowocnie wylaną.

Pozatem w dzisiejszych konfliktach obie strony bezwiednie pracują nad przybliżeniem wymiaru sprawiedliwości, o który żadna z nich nie dba. Lepiej dla nas jest zawsze, gdy coś się dzieje i zmienia, gdy ruch jakiś się wszczyna, niż gdy panuje martwa cisza.

Lecz aby ruchy wszczynające się gdzieindziej wyzyskać w chwili stosownej, trzeba usilnej pracy nad własną naszą wewnętrzną jednością, nad usunięciem wszelkich rozterek, które nas osłabiają.

Są liczne pocieszające objawy, które dowodzą nam jasno, że dalej idziemy ku celowi, do którego zdawna szli nasi przodkowie, wedle ich głosu w Przedświcie.

Trzeba tylko „wytężyć słuch“, aby te głosy pochwycić, a gdy więcej będzie takich ce tę pieśń Lecha, zasłyszaną i spisaną przez Deotymę, słyszą w duszy i pojmują cudow-

ną jej harmonję, to łatwiej nam będzie też być w zgodzie między sobą i z ludami, którym wiekuißtą unję ślubowaliśmy.

W zawierusze teraz panującej, wśród świstu kul skrytobójczych, wśród jęków niewinnych ofiar, bezmyślnie rzucanych bomb, wśród zgrzytu oszczerstw między partjami lub w łonie nawet jednej partji, miotanych na osobistych przeciwników, przy tylu bezprawiach, i od góry i od dołu, wielu jest ludzi słabego serca, tracących nadzieję, widzących wszędzie tryumf siły materjalnej, podstępu, intrygi, i tłamaczących sobie dzieje ludzkości, jakby jaki bardzo brudny interes.

Takie fakta jak postępujący rozbiór Turcji, przypominają nam jasno, że są siły wyższe ponad przewrotność dyplomatów lub pojemność marynarki wojennej. Najprzewrotniejsza lub najgenjalniejsza nawet jednostka nie powstrzyma życia budzących się narodów, nie utrzyma w jedności pierwiastków niezgodnych.

Życie państw jest wytworem materjalnej przyczynowości a często brutalnej siły, lecz tylko w życiu narodów widać ukrytą duchową celowość i siłę nieuchwytną, a jednak zwycięzką. Siła ta nie tylko stała się

jawną w wypadkach bałkańskich, ale nawet w dyplomatycznych rozumowaniach, tych wypadków dotyczących.

Materjalnie wszak nie stanowi to różnicy wcale, czy Bośnia jest okupowaną czy anektowaną, ani też — czy książę bułgarski jest gubernatorem Rumelji, czy królem niezależnym całej Bułgarji, ani nawet, czy Kreta jest rządzoną autonomicznie w pozornej tylko zależności od Turcji, czy też stanowi część królestwa greckiego.

We wszystkich tych stosunkach doniosłość zmiany polega na pewnych idealnych normach, choć nawet fałszywie stosowanych.

Aneksja Bośni ma nadać istniejącemu bezprawiu okupacji prawne pozory, niezależność Bułgarji, która i tak była niezależną, przecina czysto idealną nić, łączącą jeszcze księstwo z cesarstwem otomańskim, a decyzyja Krety, pragnącej prawnego związku z Grecją, jest też idealnem zadosyćczynieniem potrzebom narodowym.

Anglja broni Turcji w imię ideału poszanowania postanowień międzynarodowych, nawet gdy już nie odpowiada im istotny stan rzeczy, lub zmiany tych postanowień tylko za międzynarodową zgodą.

Wszystko to jasno wskazuje ogromną różnicę w układzie stosunków współczesnych

w porównaniu z temi, jakie nam są znane, z przed półtora lat.

Wszystko to jasno dowodzi, że wypadki, które wówczas przeszły bez protestu, dziś zagrażałyby pokojowi całej Europy. A nawet to bezczelne rozprawianie o kompensatach na koszt cudzy, jak np. odszkodowanie Włoch w Albanji lub Tripoli za powiększenie posiadłości Austrii, wskazuje także na kres, położony zaborczości, również jak i dobrowolne wycofanie załóg austriackich z Nowego Bazaru.

Wzrost sił i praw narodów, obok ograniczenia samowoli państw — to jest wielka rzeczywistość, której wypadki bałkańskie są tylko jednym z przykładów.

Bo wszak nawet ta prowincja teraz anektowana ma właśnie dzięki aneksji otrzymać większe narodowe prawa, lub przynajmniej skuteczniejszą możliwość dobijania się o te prawa.

Życie narodów nie jest wynikiem dyplomacji, ani wysiłków genjalnych jednostek, lecz w istotnych swych objawach pozostaje tak nieświadomem, jak zakwitnięcie bzu na wiosnę.

Bez kwitnie i pachnie, a czyż kwiaty też i zapach ich są dziełem jakiegś przedsię-

biorczej komórki w krzaku, na którym kwitają?

Są one tajemniczym skutkiem całego ustroju tej rośliny, który ją różni od wszystkich innych roślin. Tak samo np. my, choć tysiące naszych rodaków bez żadnych formalności zawisło na szubienicach bez istotnej winy, wytaczamy Sycylii długą proces i sami dajemy mu furtkę, przez którą może wybawić się od śmierci, bo w Polsce trzeba było aż Zamojskiego, by ściąć Zborowskiego, a i ten nie mógł uczynić tego bezkarnie, bo Słowacki go pozwał w trzecim stuleciu po śmierci za to, że zabił zabójcę.

Polski naród nie wydał przykazania: ząb za ząb, oko za oko; całkiem inaczej kwitnie i pachnie kwiat na gałęziach szczepów słowiańskich, niż u turańskich lub semickich ludów.

Ztąd wynika, że turańskie narody, jak Węgry lub Turcy, bez litości usuwając opornych, silne stworzyły państwa, ale wszystkie te państwa przetrwa siła takiego życia narodowego, jakie się np. przejawia w tem, że serbska skupczyna do głosowania o mającej wybuchnąć wojnie przygotowała się uroczystym obrzędkiem religijnym i gorącą modlitwą.

Rozbiór Turcji zwraca powszechną uwagę na te kontrasty między życiem narodów a wzrostem i upadkiem państw. Istnieją liczne bliższe nam objawy potęgi naturalnego życia narodowego, którego nic nie może przytłumić ani zabić, i warto zwrócić na nie uwagę, aby się wznieść ponad przygnębiające nas obecnie codzienne wrażenia do tej pogody wiekiustej, która panuje na wysokości, z której się ogarnia szersze horyzonty dziejów.

Zpośród państw zaborczych Turcja miała najsilniejszą moralną podstawę w zapale religijnym, którym wiara Mahometa natchnęła tam naród, i w dobrej wierze, z jaką Turcy uważali za swój obowiązek szerzenie tej wiary ogniem i mieczem.

Takiej konsekwencji i dobrej wiary inne rządy zaborcze, a szczególnie Austrja, wykazać nie umieją. Jeśli więc Turcja po kilku stuleciach groźnej Europie potęgi upada i rozkłada się pod wpływem rozbudzenia narodowego ludów, przez nią podbitych, to —co będzie z Austrją i jej naturalnymi sprzymierzeńcami, którzy ludzą się nadzieją, że narodowość czyjaś można sztucznie gwałcić, na inną zamienić, tak jakby kto chciał gałązkę bzu zaszcześcić na ścianie!

Tureckie państwo, nie krępujące narodowych aspiracji swych poddanych, dążąc do szczęścia ich doczesnego i wiecznego przez uznanie Koranu, miało silniejsze podstawy nawet, niż Rzymskie cesarstwo, a jednak wkrótce już krzyż musi się wznosić na minaretach Konstantynopola!

Tembardziej wieczne nie są haftowane kołnierze biurokratów austriackich, ani prawa różne wyjątkowe, przeciwko nam skierowane ciągle przez ich naturalnych sprzymierzeńców.

Odrodzenie Śląska w Texasie. *)

Cudowny zaiste obraz oglądałem na własne oczy: Ślązaków, niemczonych od 600 lat, przekształcających się na polaków najprawdziej w Texasie, gdzie żyją już w trzecim pokoleniu, od 60 lat.

Widok tyłu kolonji, które wyrosły z pierwszej osady *Panna Marja*, założonej przez księdza Moczygębę, a stanowiącej najstarszą kolonję polską w Ameryce, każdemu doda otuchy co do losów ogólnych emigracji polskiej.

Mamy tu dowód, że polacy się nie wynaradawiają, gdy mają dobrych księży i szkoły.

Chciałbym najwięcej rodaków skierować ku tym kolonjom, od macierzy oderwanym i nie mającym dziś żadnego prawie związku

*) Drukowane w № 48 i 49 Świata z 28 List. i 5-go Grudnia 1908 r.

ze starym krajem. Chciałbym cześć wyrazić kapłanom polskim, księżom Przyborowskiemu i Jaroniowi, którzy w tej pustyni żyją w ewangelicznem ubóstwie i całą duszą służą owieczkom swoim. Więc poczytuję za obowiązek narodowy i za potrzebę serca wycieczkę tę opisać, by innych zachęcić, aby w te odległe tropikalne krainy nieśli wieści z Polski, świadczyli tym prostaczkom, że wielki naród w ojczyźnie się budzi i wzywa najdzielniejszych swych synów pielgrzymów, by wracali, a udział przyjęli w ostatecznej walce o prawa.

Z Nowego Jorku codzień wychodzi pociąg pośpieszny, idący z szybkością tysiąca kilometrów na dobę, do Kalifornji przez New Orleans—bez zmiany wagonów, bez granic celnych, bez potrzeby wyjścia z pociągu przez pięć dni i sześć nocy. Jest to jedna tylko z tych dróg wszechświatowych, łączących Atlantyk z Pacyfikiem, najdłuższa, gdyż wielkim łukiem ku południowi zmierza, przez Waszyngton, Atlantę, Nowy Orlean, wzdłuż zatoki Meksykańskiej.

Odległość taka mniej więcej tą drogą z Nowego Jorku do San Francisco, jak w Europie z Permu do Lizbony. Pędząc tak dniem i nocą tym pociągiem, w którym są sypialnie, jadalnie, bawialnie, biblioteka—

przejeżdżając po kolei państwa: New Jersey, Pensylwanję, Maryland, Wirginję, Karolinę, Georgję, Alabamę, Missisipi, Luizjanę, Texas, Nowy Meksyk, Aryzonę, nim się do Kalifornji dostaniemy — pamiętając, że każde z tych państw ma swój parlament i swe prawodawstwo, — dopiero spostrzegamy wielkość Stanów Zjednoczonych i podziwiać je musimy.

Przez całą drogę niema potrzeby wyjść z pociągu—jednym i tym samym wagonem się jedzie od Atlantyku do Pacyfiku. Tylko lokomotywy, jadalnie i lokalne wagony pasażerskie zmieniają się w drodze kilka razy, ale wagony sypialne pozostają te same, i cena ich przystępna dla najuboższych, bo nocleg nie wiele więcej kosztuje w pociągu, niż w dobrym hotelu — około 1½ dolara na dobę.

Otóż w połowie drogi, o 1918 mil angielskich od S. Francisco, zaś o 1945 mil od Nowego Jorku, jest miasto San Antonio, w Texasie.

Tam na dworcu już trafia się słyszeć polską mowę. Jest tu polski kościół i polska szkoła, oraz polska sala św. Wojciecha, lecz, niestety, obecny proboszcz, ks. Dąbrowski, niepomny nazwiska, wstawionego w legjonach, nadmiernie pokrzepia się alkoholo-

lem, tak, że bucha od niego woń antyeuleu-
teryyczna już na odległość.

Przyjął mnie, jako bezwładna ogromna
masa, powalona w ubraniu na łóżku, pomimo
niedzieli i późnej godziny — i nie okazał się
rozmownym, ani uprzejmym — ale dał mi za
to doskonałą radę, bym się wybrał dalej, do
Falls City, jeśli chcę poznać liczniejsze ko-
lonje polaków.

Nie zachęcał do zatrzymania się w S. Anto-
nio, nie zapraszał na kazanie, zachęcał całą
postawą, by wizytę u niego skrócić. Skarzył
się przytem na reumatyzm, a gdym mu
odrzekł, że reumatyzmy z nadmiernego je-
dzenia wynikają i że najlepsze na nie lekar-
stwo to post czterdziestodniowy bezwzględ-
ny — wcale nie chciał wierzyć.

Pożegnałem więc opasłego duszpasterza
i udałem się na stację, t. z. *S. A. P. railway*,
skąd idą pociągi do Falls City. Jedzie się
dwie godziny, głównie pustynią, zarosłą kak-
tusami i rodzajem akacji, które tu nazywają
muszkietami polacy — według hiszpańskiego
mosquito. Mają te krzaki małe bardzo listki
i duże kolce.

Tak się ciągnie przez wiele mil puszcza,
rzadko porośła krzakami muszkietów, a w niej
od czasu do czasu widać na puszczy zdo-
byte pole bawełny, kukurydzy lub cebuli.

Gdym dojechał do Falls City—(stacja na pustyni, otoczona kilkoma domami, niezasługująca na miano miasta),—oczekiwałem koni z Częstochowy, gdyż przed wyjazdem telegrafowałem do księdza Przyborowskiego.

Częstochowa jest odległa 10 kilometrów od Falls City—a droga meksykańska taka, że te 10 kilometrów znaczy tyle, co dwadzieścia kilka szosą — a nawet więcej, gdyż szosą zawsze dojedzie się lub dojdzie, a tutaj można w błocie ugrzęznąć i wcale nie dojechać — tak, że czasem, gdy się jaka droga zepsuje, ludzie nakładają dwa razy tyle wokoło, by dojechać.

Telegram mój naturalnie doszedł dopiero nazajutrz po moim przyjeździe—koni wcale nie było, więc do ludzi, których spostrzegłem na dworcu, zwracam się z pytaniem „czy są tu polacy?“

— Tu wszyscy polacy!—odpowiadają ku memu zdumieniu.

Wdaję się w rozmowę, mówią poprawnie po polsku. Dowiaduję się, że Falls City, a także inne wsie okoliczne—wszystkie wyrosły z pierwszej polskiej kolonji na ziemiach amerykańskich, założonej przed trzema pokoleniami pod nazwą Panna Marja w Texasie przez księdza Moczygębę.

Kolonje powstały z samych ślązaków, od trzech pokoleń pozostawały odcięte od kraju i nie przyjmowały nowych przybyszów. Ale pierwsi koloniści rozmnażali się fenomenalnie, tak, że w każdej parafji liczą przeciętnie 30 urodzin i 7 ślubów na jeden zgon!

Gdyby Warszawa rosła w takiej proporcji, toby co roku prawie podwajała swą ludność. Ślązacy zachowali jeszcze niektóre właściwości gwary śląskiej — np. zamiast *tak* mówią *ja*, lecz ogólnie biorąc, ich mowa jest daleko poprawniejsza, niż narzecze ślązaków na Górnym Śląsku pruskim w Europie.

Zawdzięczają to polskim zakonnikom, wychowującym ich dzieci w szkołach polskich.

Rozmawiając tedy z gronem rodaków, wypytyuję się, jak dostać się do Panny Marji, gdzie właśnie (w d. 8-go grudnia) odbywał się odpust. Radzą mi przez telefon porozumieć się z księdzem Przyborowskim.

Więc w tej pustyni są telefony!

Prowadzą mnie do budki ciasnej i ciemnej, która stanowi biuro telefoniczne, a zarazem w tym samym pokoiku bardzo ubogie mieszkanie telefonistki. Ta uprzejmie zapytuje mnie czy mam ochotę za rozmowę zapłacić, czy też chcę rozmawiać na koszt księdza Przyborowskiego.

— Ile kosztuje rozmowa? — zapytuję.

— Dwadzieścia pięć centów.

Placę 25 centów (50 kop.) i łączą mnie z księdzem.

— Hallo! — jestem Lutosławski, przybyłem do Falls City.

— Kiedy pan przyjechał?

— W tej chwili. W jaki sposób mogę się dostać do Panny Marji?

— Koni stąd posłać niepodobna, bo nie doszłyby dziś; niech pan wynajmie je w Falls City i przyjeżdża. Bardzo będziemy radzi. Naprzeciwko stacji znajdzie pan remizę.

— Więc—do widzenia dziś wieczór w Pannie Marji.

— Do widzenia.

Idę do remizy, koni niema.

Pytam się, czy doszedłbym piechotą — śmieję się z tego pomysłu.

Nareszcie po długiej rozmowie, gdy wszyscy radzili mi nocować w Falls City, jeden z nich, Gabryś, ofiaruje się pojechać konno ze mną, bo żadnego wehikułu niema.

Pytam się, ile to kosztować będzie.— To my już się z księdzem Przyborowskim porachujemy; to mój kamrat.

Po krótkim czasie przyprowadza dwa konie, z meksykańskimi siodłami, i ogromnymi skórzanymi strzemionami, w których

nogi całkiem giną i bardzo sztywnieją. Dosiedliśmy koni i zaczęła się jazda dla mnie całkiem nowego rodzaju, choć dużo już podróżowałem w różnych częściach świata. Konie idą krok za krokiem, grzęznąc w błocie, bo właśnie przybyłem po deszczowej porze.

Droga szeroka stanowi jedną kałużę, na prawo i na lewo sucha puszcza, którą jechać nie można, bo porosła krzakami muszkietów.

Śladu ludzkiej obecności niema. Ni domów, ni ludzi, a bardzo rzadko uprawne pola.

A jednak wzdłuż całej drogi idą po obu stronach druty kolczaste, jako parkany, i drut telefoniczny.

Tak jechaliśmy 15 kilometrów przez cztery godziny. Słońce zaszło i wśród ciemnej nocy kłapały kopyta końskie po błocie. Poza tem cisza najzupełniejsza — nie słychać żadnego głosu, nie spotkaliśmy nikogo. [Nogi unieruchomione w strzemionach ścierpły mi; towarzysz mój, nie bardzo rozmowny, krótko zbywał pytania.

Dotkliwie odczuwałem, że jednak ten drobny pyłek w przestrzeni światów, ziemia nasza, ma dużą powierzchnię i tak mało dotąd spożytkowaną! Tyle jeszcze miejsca próżnego jest w Texasie i gdzieindziej!

Gabryś w milczeniu brnął naprzód, koń mój za nim. Kilka razy uprzejmie ofiarował mi zamianę koni, ale skoro tu o wyścigach mowy być nie mogło, więc w tem błocie chyba woziwoda wyścigowcowi demokratycznie równy, istny symbol wszelkiej demokratycznej równości.

Skupienie myśli mego towarzysza, jego krótkie a głębokie odpowiedzi na moje pytania, przy zupełnej swobodzie i poczuciu obywatelskiej równości, wielce mnie zastanawiały. Ci mieszkańcy pustyni, czy w Arabji Skalistej, czy w Texasie południowym, są wszakże z urodzenia filozofami!

Po drodze napotkaliśmy tylko jedno gromno ludzi, około rozpalonych ogni i wozu Drzymały.

Żdziwiony, że Drzymała tu, w wolnym kraju, znajduje naśladowców, zapytuje, co to obozowisko znaczy.

„Przenoszą się na nową siedzibę“ — tłumaczy Gabryś.

Wtedy sobie przypomniałem, że Drzymała nie jest wynalazcą swego wozu mieszkalnego, tylko rząd pruski zmusza go cofnąć się do zwyczajów pradawnych pustyni, gdzie rodziny z dobytkiem, nim zbudują domy, w wagonach, wołami ciągnionych, zamieszkują.

Refleksji filozoficznych, jakie mi to brniecie przez błoto ku kościołowi Panny Marji, w niepewnym blasku księżyca w nowiu nastroczało, nie spisałbym w całym tomie.

Stałem daleko w czasie i przestrzeni od wszystkiego, co mnie kilka dni przedtem przejmowało—byłem przeniesiony do czasów pierwotnych i spoglądałem w dal na losy tych kolonji, na ich udział w życiu narodu, z którego wyszły, i państwa, którego ich członkowie są obywatelami, a o którego władzy przez całą drogę przypominały druty kolczaste, idące wzdłuż pustyni blisko ziemi, i drut telefoniczny nad nami.

Zdawało się, że przez całą wieczność tak brnąć będziemy. Od czasu do czasu wyjmowałem zdrętwiałe nogi ze strzemion i siadałem na siodle wpoprzek, lub zakładałem nogi nakrzyż naokoło kulbaki, tak—aby dla odmiany prawą zwiesić na lewo, zaś lewą na prawo, gdyż meksykańskie strzemiona, stanowiące jakby skórzane kalosze, bardzo w tył mi nogi wyginały i unieruchomiały.

Na jasnym niebie po deszczach świeciły gwiazdy i pocieszały mnie, że gdybym tę drogę odbywał nie po jesiennych deszczach, lecz w czasie owej słoty, trwającej całe doby, to wrażenie byłoby jeszcze więcej filo-

zoficzne i marność ludzkiego ciała uświadamiające.

Czasem też, przy niedostatecznym świetle gwiazd i nowiu, kolczasta gałązka muszkietów uderzała mnie w twarz, budząc z zadumy. Trzebaby poety, by opisać cały urok tej podróży nocnej w pustyni, przerzniętej dwoma równoległymi kolczastymi parkanami, a budzonej prądem elektrycznym, przebiegającym po drucie telefonu. Kraj płaski równy, niezmienny. Błoto ciepłe, grzązkie, głębokie, czasami przerywane piaskiem.

Nareszcie dojeżdżamy. W tej ciszy ogromnej słyhać konia z daleka, więc ksiądz Przyborowski wybiegł na ganek na nasze spotkanie, wyznając, że już mnie się nie spodziewał. Wszedłem do plebanji, a Gabrys pożegnał się i bez popasu wracał do Falls City! Zduje się, że także nie przyjął wynagrodzenia. Więc choć on już urodził się na ziemi amerykańskiej, zachował polską ofiarność dla gościa z dalekich stron i naraził się na osiem godzin uciążliwej jazdy przeważnie nocą, by mu pomódz w dobrnięciu do celu.

Ksiądz Przyborowski serdecznie mnie powitał w Pannie Marji, najdawniejszej kolonii polskiej. Plebanja — jak nasze chaty wiejskie, złożona z dwóch tylko izb, przedzielonych sienią. W osobnej dobudówce mieści

się kuchnia, będąca razem mieszkaniem kucharki. Nie podobna ta plebanja do tych zbytkownych domów, w których mnie przyjmowali księża w stanie Massachusetts. Także nie podobne utrzymanie księdza do tych dochodów, jakie tam nasi kapłani otrzymują. Ksiądz Przyborowski obsługuje dwie parafje — w Pannie Marji i Częstochowie, a parafjanie mu płacą taką pensję, jaką pobiera organista w Bostonie (czterdzieści dolarów miesięcznie, czyli 80 rb). Ubocznych dochodów też nie ma wiele, bo zgony rzadkie bardzo, a chrzciny z powodu pospolitości tanie — dają dolara.

Więc księża w ubóstwie żyją, choć parafjanie są zamożni, a to dlatego, że chłopci każdy grosz zarobiony używają na kupno ziemi.

Chłop śląski, po 600 latach wynarodowienia, ledwo się wyzwolił w Texasie od niemieckiej opieki, wraca do swej polskiej natury z całą nieprzepartą siłą rasowego impulsu, choć sobie wcale związku z narodem nie uprzytamnia i nie uświadamia. Więc uwydatnia się w nim ta cecha polska ogromnej chęci posiadania ziemi.

Wszak u nas z własnością ziemską związane były wszelkie prawa polityczne przez tyle stuleci — chłop tęsknił do tej własności

i zazdrościł szlachcicowi tak długo, aż posiadł ziemię narówni ze szlachcicem. Odmówił sobie wszystkiego, by tylko ziemi więcej mieć i ją obrobić. Ziemia ta wymaga pracy ciężkiej, do której pierwotni jej właściciele nie skłonni, więc łatwo ją chłopu polskiemu nabywać. Dawniej kupował tę ziemię po dolarze za akr, teraz warta dwadzieścia pięć razy tyle, ale nic go nie skusi, by sprzedać, tylko nowe przestrzenie kupuje od wielkich właścicieli amerykańskich — tak że niektórzy chłopci mają majątki, warte 50,000 rubli, a żyją w tej samej prostocie, w tem samym ubóstwie, jak kiedy przybyli. Niema u nich rozpusty, ani też nieprawych dzieci — wśród potomstwa silnie przeważają chłopcy, więc dziewczęta są wybredne i żądają od swych narzeczonych takiej samej czystości, jaką im przynoszą. Posagów pannom ojcowie nie dają, więc małżeństwem rządzi miłość i dobór.

Książd Przyborowski nie jest ślązakiem, ale bardzo ceni i kocha swych parafjan. Z dwóch swych izb na nocleg gościowi oddał lepszą, o czem nie wiedziałem, gdym się do snu kładł, bo w ciemności jeszcze nie mogłem się zorientować w rozkładzie i rozmiarach plebanji. A gdy z trzech stron okna otworzyłem, by jaknajwięcej wchłonać

ciepłego czystego powietrza tej grudniowej texaskiej nocy, ksiądz się przeraził tą nieroztropnością, ostrzegając, że się zaziębię.

Spałem na twardym łożu księdza Moczygęby, który przeszło 60 lat temu tę kolonję założył, w której nic od tego czasu się nie zmieniło.

Cała ludność tej okolicy pochodzi od tych pierwotnych kolonistów—nowego przybywu nie było, ani też nikt do kraju nie wracał. Nowe pokolenie uważa się za tułtejszych, przywiązani są do zdobytej ziemi i wcale nie chcieliby jej opuszczać.

Nazajutrz zwiedziłem szkołę. W szkole przez pół roku uczą polskie zakonnice, poprzestające na niesłychanie małym wynagrodzeniu (po 12 i pół dolarów miesięcznie na całe utrzymanie), zaś przez pół roku państwowi nauczycielowie, po części wzięci z miejscowej ludności.

Z Panny Marji zawiózł mnie ksiądz Przyborowski do swej stałej siedziby w Częstochowie, odległej o kilka mil angielskich. Tam także zwiedzałem szkołę najbliższą—Częstochowa ma aż trzy szkoły w różnych miejscach, by dzieciom z odleglejszych chat ułatwić uczęszczanie.

Spostrzegłem, że dzieci mówią poprawnie po polsku, ale o Mickiewiczu żadne nie sły-

szalo. Także Sobieskiego, Kordeckiego, Skarżgi nazwiska są dla nich pustym dźwiękiem. Owe polskie zakonnice, które ich uczą, znają tylko język i przedmioty obowiązkowe, ale należą do zakonów międzynarodowych i o historję Europy się nie troszczą, jak zwykle amerykanie. Próżno się pytałem, czy kto przynajmniej zna Bolesława Chrobrego lub Jagiełłę!

Mamy tu zatem polaków, najistotniej polskich w uczuciach swych i mowie, a oderwanych od życia narodowego, od jego tradycji. Jeden tylko ślad tych tradycji zauważyłem: Dzieci śpiewają „Boże, coś Polskę“, „Jeszcze Polska nie zginęła“, trochę tekst przekręcając.

Ileż dla nich zatem niespodzianek przyszłość chowa, gdy się dowiedzą, jaki to naród jest, do którego należą! Gdym im mówił o Mickiewiczu i Mickiewicza nazwisko po raz pierwszy ujrzały wypisane na tablicy, przyrzekły mi, że będą się domagać, aby im tego autora utwory czytano.

Ksiądz Stanisław Przyborowski zachęcił mnie gorąco, bym odwiedził też jego sąsiada, o kilkanaście kilometrów odległego księdza Teodora Jaronia, który się wyrzekł najbogatszej parafji w Texasie, aby tu w ciszy i ubóstwie osiąść w osadzie Kościuszko.

Jechałem więc znów kilkanaście kilometrów pustynią, na której uprawne pola stanowią jakby oazy, kaktusom i muszkietom odebrane, ale jechałem już bryczką czterokołową, której duże a cienkie koła nieraz prawie do samej osi grzęzły w błocie. Błota tego po dwóch dniach słonecznej pogody było już znacznie mniej, a może droga między Częstochową a Kościuszką była lepszą. Wiózł mnie młody chłopiec, rozmowniejszy, niż Gabryś. Jechaliśmy znów drogą prawie tak szeroką, jak Aleje Jerozolimskie, a z dwóch stron otoczoną parkanem z kolczastego drutu.

Ksiądz Jaroń przyjął mnie z wielką serdecznością i opowiadał dziwy o tym świętym, jak on mówi, ludzie. Kościoły zwiedzałem we wszystkich trzech wioskach, bardzo pięknie budowane i wewnątrz znacznie ozdobniejsze, niż plebanje.

Ksiądz Jaroń, wysłuchawszy z radością wieści o ruchu wychowania narodowego, budzącym się u nas, gorąco zachęcał, bym elsa do niego przysłał, któryby umiał zdać państwowy egzamin na nauczyciela. Abstynencji nie potrzebowałby szerzyć, bo karczmy niema w Kościuszcze — i póki ksiądz Jaroń żyje, nie będzie.

Ale ten nauczyciel, gdyby z jego ust po raz pierwszy usłyszała ludność „Pana Tadeusza“, „Przedświt“, „Wallenroda“, „Grażynę“, ten nauczyciel dziwny zdobyłby sobie urok, jako rewelator nieznanych piękności, których istnienia ten inteligentny i wykształcony lud się nie domyśla. Pytam się księdza Jaronia, czemuż on sam, będąc wielce ocytanym i wykształconym, na siebie tej roli nie przyjmie? — „Trzeba kościoła pilnować — wszyscy parafianie co miesiąc się spowiadają — czas jest bardzo zajęty!“

O wynarodowienie tu obawy niema, lecz narodową świadomość trzeba dopiero budzić. Na kilkuset kilometrach kwadratowych sami polacy mieszkają, wszyscy potomkowie ślązaków.

Rozmnażają się z niesłychaną szybkością — ksiądz Jaroń podaje 30 urodzin rocznie na 200 parafian, co stanowi 150 na tysiąc mieszkańców, gdy w Europie najwięcej bywa 60. To też coraz to nowe osady zakładają, coraz to dalsze przestrzenie odbierają puszczy na uprawę rolną.

To są ci Piastowie Marcinowskiej, z których wyszła i szlachta i naród cały; patrząc na nich, świeżo po przeczytaniu dzieła Bergsona „*L'évolution créatrice*“, rośnie wiara w potęgę niezniszczalną polskości. Gdybym

nigdzie się nie okazał przydatnym, wśród nich bym najchętniej osiadł i czytał im dzieła wieszczów, a mówił o dziejach narodu!

Przyrzekłem im tymczasem przysłać nauczyciela, i czuję całą odpowiedzialność wyboru. Dla takich ludzi tylko najlepszy jest dobrym. Jest w nich mądrość i siła, mają też niepospolitych duszpasterzy.

Widać w nich całą skuteczność tego co Bergson nazywa „*élan originel*“. Naród—to nie wytwór okoliczności, rasy, praw, lecz twórca tego wszystkiego, a sam wynika z pewnej twórczej myśli Bożej, która nowy gatunek ludzi na widownię historji wprowadza.

Przypadkiem, a raczej zrządzeniem Opatrzności, czytałem w drodze do Texasu wspańnię, niedawno wydane dzieło polskiego żyda, dziś profesora w Collège de France i najznakomitszego myśliciela Francji, Henryka Bergsona: *L'évolution créatrice*. W jego dziele, może nieświadomie, odbił się duch polski, wpływ Polski na jego przodków, którzy u nas znaleźli przytułek. Formułuje on, z całym zasobem wiedzy ścisłej, prawdy polskiego mesjanizmu: nad inteligencję stawia intuicję, nad teorię czyn twórczy. A źródła czynów szuka w pewnej duchowej sile, od otoczenia całkiem niezależnej, oto-

czenie przetwarzającej, urozmaicającej swe działanie wedle duchowych potrzeb twórczych. Otóż nie mogłem lepszej i więcej przekonującej ilustracji teorii Bergsona znaleźć, jak ten lud z pnia polskiego pochodzący, przez 600 lat germanizowany na Śląsku, teraz od 60 lat znów, jak wyzwolona sprężyna, do swej naturalnej polskości powracający.

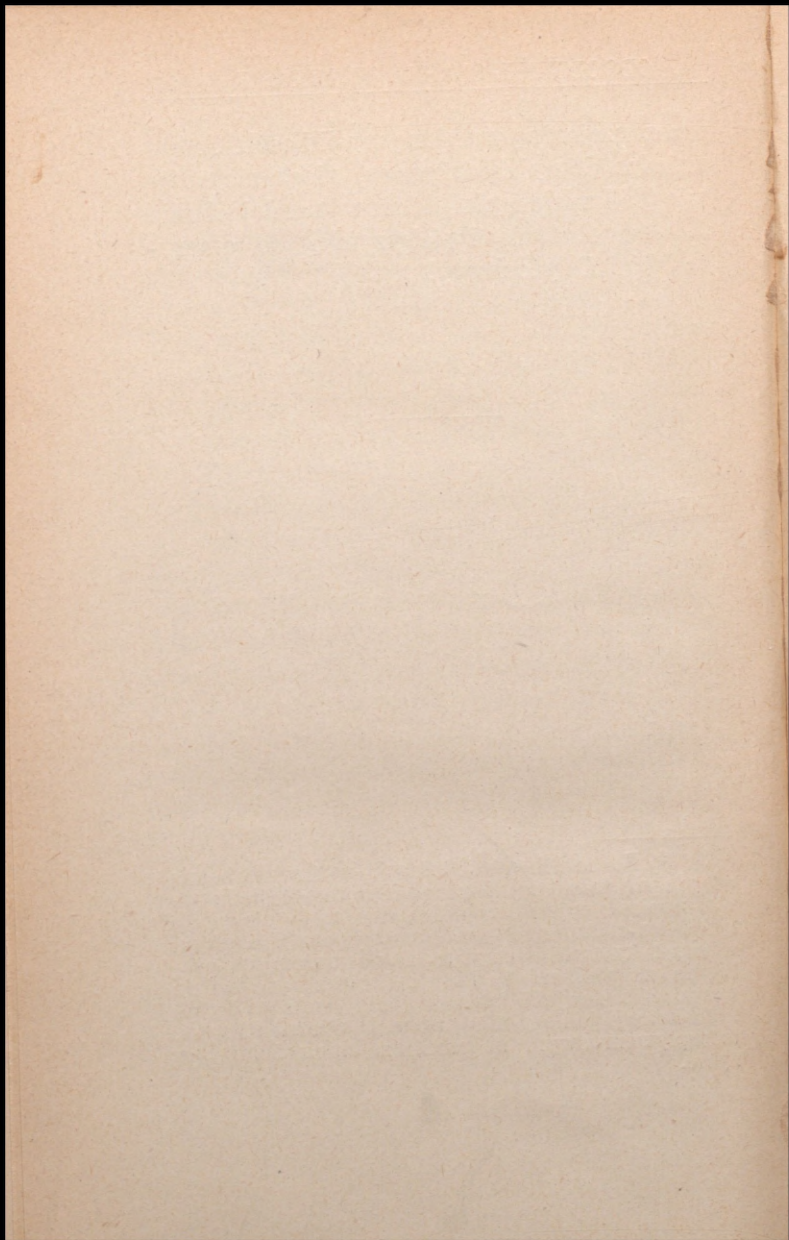
Podzwrotnikowe słońce nie zmieniło typu fizycznego — jasne włosy, jasne oczy w tych dzieciach przeważają. Typ zaś duchowy jest istotnie ten, do którego, wskutek pewnej duchowej potrzeby w ludzkości, naród polski dąży od lat tysiąca i dążyć będzie jeszcze przez wiele tysiącoleci, wzmagając się w sile pod wpływem przeciwnych okoliczności, aż urzeczywistni swój ideał: wprowadzenia chrześcijaństwa do stosunków społecznych, wcielenia doskonałości i potęgi duchowej w życie materialnem.

Z tych to texaskich ślązaków wyszedł P. Kiołbasa, skarbnik m. Chicago, który zasłynął uczciwością w finansowej administracji rewolucyjnej stolicy.

Wydadzą oni jeszcze wielkich ludzi, duchy polskie, ale trzeba koniecznie zapoznać ich z tradycją narodu, z jego życiem w ubiegłym stuleciu. Trzeba ich związać z krajem

przez wzajemną wymianę myśli i osób. A kto zwiedza Stany Zjednoczone, niech nie pożaruje kilkudziesięciu dolarów na dojechanie do San Antonio i pielgrzymkę do amerykańskiej Częstochowy!

*) Po moich odwiedzinach w Częstochowie odbyła się tam misja jezuicka. Potem Ksiądz Jaroń napisał mi, że zmienił zdanie co do elśów, że nie dopuści żadnego elsa do swej parafji, a gdy nalegał, by wytłomaczył tą nagłą zmianę usposobienia, zagroził mi, że listy me nieczytane będzie zwracać, i że jeśli wbrew jego woli poślę do tych kolonji jakiego misjonarza wstrzeźliwości, to wpływem swym na parafjan uniemożliwi mu życie.



Treść dzieła.

Przedmowa.

I—VIII

Powrót z Ameryki, wykłady w Warszawie, współpracownictwo w pismach, nauczanie angielskiego języka, opuszczenie Warszawy, pochodzenie Iskierek, ich charakter ogólny, indywidualność autora.

I. DAWNA POLEMIKA O Dобра DUCHOWE

z r. 1898—1899. str. 1—198

3. Wystąpienie w prasie polskiej w 1898 r., po powrocie
4. z Hiszpanji, wytłumaczenie współpracownictwa w pismach ugodowych, jak Kraj i Czas.

I. Fałszywa filozofja (Kraj 1898)

str. 5

5. Podfilipski Weysenhoffa: porównanie z Monsieur Grain-
7. dorge, charakterystyka Podfilipskiego i osób, które stano-
10. wią jego otoczenie, kobiety Weysenhoffa, jego lekarstwa
11. na społeczną chorobę, a jej prawdziwe źródło i kuracja:
12. rozcieńczenie samolubstwa przez rozszerzenie horyzontów,
13. Weysenhoff porównany z Sienkiewiczem: Chilon i Podfilip-
14. ski, nadużycie terminu filozofja przez sofistów, niegodne
15. znakomitych powieściopisarzy, prawdziwy indywidualizm
16. nie jest egoizmem, dopisek z 1911-go roku.

II. O prawdziwą filozofję (Kraj 1898) str. 17

17. Ks. Czeczott i filozofja, ideał prawdziwego filozofa, rozmia-
19. tość systemów, zgodność filozofów prawdziwych między
22. sobą wbrew oszczercom: postępy filozofji, wieczny pokój.
23. przypisek z 1911-go roku.

II

III. Polski indywidualizm i typ obywatela (Kraj 1898) str. 24

24. Stanisław Szczepanowski i jego ideał, indywidualizm i uni-
26. wersalizm, liberum veto, niesłusznie ganione, miłość polska,
29. swoboda jednostek, dyktatura czasem usprawiedliwiona
30. w potrzebie społecznej, Mickiewicz i Libelt, w czym zgodni?
32. Towiański a Skarga, stosunek jego do Mickiewicza; rozwój
33. pojęć autora wyrażony w przypiskach z 1911-go roku.

IV. Eleuteryzm i jego krytycy (Kraj 1899) str. 34

34. Dzieło *Seelenmacht* przeznaczone dla Niemców, występ na
35. wiecu hakatystów, eleuteryzm jako pogląd narodowy,
37. Henryk Struve jako krytyk, jego zarzuty przeciwko eleute-
41. ryzmowi, Chmielowski uznaje miłość, Feldman nie zna się
44. na mistycyzmie, ani nawet na fizjologii, i nie pojmuje, że
46. metafizyki nie zastąpi muzyka.

V. Ofiary giełdy (Czas 1899) str. 47

47. Tendencja w powieści, przykład tendencyjności u Cerwan-
49. tesa. Prus, Orzeszkowa i Sienkiewicz, ich tendencje; giełda
50. warszawska, fałszywa tendencja Gruszeckiego, porównanie
55. Gruszeckiego z Zołą, bogactwo i uczciwość, skąd się bierze
59. nędza? szachrajstwo nie zapewnia bogactwa.

VI—VII. Emigracja zdolności (Kraj 1899) str. 60

60. Skargi na emigrantów, Joseph Conrad, jako autor angielski,
62. rzemiosło literackie, pogoń za groszem, różnica między
64. emigracją polityczną a ekonomiczną, narodowość i państwo,
68. zarzuty p. Żuk-Skarszewskiego, Chopin i Mickiewicz co
69. zyskali emigrując, przykład Orzeszkowej, niezależność uczuć
70. od miejsca pobytu.

ELIZA ORZESZKOWA: Emigracja zdolności str. 71

VIII. Odpowiedź Orzeszkowej (1910) str. 96

96. Wielcy emigranci, w XVIII-m i XIX-m wieku, gdzie moż-
97. na być Polakiem bez kompromisu? tułactwo pielgrzymów,
98. niezależność emigracji od motywów ekonomicznych, odręb-
99. ność powołań, wiedza jako środek i jako cel, nie może iść
100. w porównanie z zarobkiem.

III

100. jej doniosłość niezależna od zarobku, urojone straty ekono-
101. miczne, kalectwo ducha wywołane niewolą nawet
102. u Orzeszkowej, rozmaitość uzdolnień, jakie zdolności po-
104. trzebne w kraju? coby Mickiewicz robił, gdyby pozostał
105. w kraju? obrona Korzeniowskiego, powrót Argonautów,
106. przykład wzięty z doświadczenia osobistego, wybór dróg,
108. nieumiejętność działania społecznego i jej skutki, marno-
110. wanie sił bezowocne w kraju, czwarta emigracja do Afryki.

IX. Okrojone ideały (Czas, maj 1899) str. 111

111. Tendencja Rodziewiczówny, jej Kądział, jako typowy przy-
114. kład, miłość wyłączna jako jedyny ideał nieokrojony, war-
117. tość nauki i powołań naukowych, niedoceniona jałowość
120. celów materialnych, na czym polega nieśmiertelna potęga
122. Grecji? do czego jedynie służyć może gromadzenie środków?

X. Teorja i praktyka (Głos, kwiecień 1899)

(rok mylnie podany w tekście) str. 123

123. Ambicja przedstawiana jako jedyny motyw wyboru powo-
124. łania, wiedza i badania mają cel bezinteresowny, postępy
126. nauki teoretycznej niezbędne i dla praktyków, doniosłość
128. czystej teorji, Faraon Prusa ukarany za lekceważenie nauki,
129. holenderskie sery i polska pęzja, zamiana majątków na
130. geniuszy, nie zaprzęgajmy wszystkich do zadań praktycz-
131. nych.

XI. Środki i cele (Przegląd Tygodniowy,

kwiecień 1899)

str. 132

132. Walka o własność ziemi jako jedyny cel społeczny, nauka
133. i sztuka jako zabawki zbyt kosztowne, artyści jako darmo-
134. zjadzi, sprzedaż pomników wielkich ludzi i bibliotek, odzys-
135. kanie majątków coby nam dało? siły materialne są tylko
136. środkami, a cele życia mają charakter idealny.

XII. BOLESŁAW PRUS: Kronika tygodniowa str. 138

XIII. Prus obrońca ziemi (Przegląd Tygodniowy,

maj 1899)

str. 155

155. Polemika o ideały, obawy Prusa o szkodliwość czystej
156. teorji, nie lekceważę wcale dóbr doczesnych, lecz Prus
158. lekceważy dobra idealne, zamiana ziemi na artystów, jakie
159. byłyby jej skutki, gdyby jakimś cudem stała się możliwą?

IV

160. coby ci wielcy artyści skupieni w jednym narodzie robili?
164. wpływ materializmu Buckle'a i Drapera na publicystów
166. polskich. Sofista Platona, polskość ducha, przyczyny emi-
168. gracji, jej korzyści, czy Mickiewicz lub Matejko pomagają
170. Poznańczykom w walce z hakatystami? rola prawdziwych
172. geniuszy, ich rzadkość, kto stwarza narody?

XIV. Mimowolne figle logiki (Gazeta Polska, maj 1899 r.) str. 173

173. Wyjaśnienie powstania powyższych artykułów, żywotność
175. kwestji poruszonej udowodniona, poruszenie powszechne
176. prasy, źródło nieporozumień tkwi w braku wycwiczenia
178. logicznego u publicystów, społeczeństwo prawdziwe jak
180. przyjmuje wielkich geniuszy, honorarja Sokratesa byłoby
181. czem innym niż honorarja lekarki, stosunek przygodnych
182. współpracowników do redakcji pism w których pomiesz-
czają swe artykuły.

ECHA POLEMIKI O DOBRA DUCHOWE str. 183—197

XV. REDAKCJA GŁOSU: Polemika z Prusem str. 183

XVI. JÓZEFAT NOWIŃSKI: Humorystyka w cyfrach str. 192

II. ARTYKUŁY POLITYCZNE str. 199—251

XVII. O źródłach sił narodowych (Goniec Wielkopolski, Paźdź. 1899 r.) str. 201

201. Walka mniejszości z większością, Grecja i Persja, Japonja
202. i Chiny, od czego wyniki zależą? źródła potęgi Anglików,
204. wpływy religijne, rozwój organizacji robotniczych, bogac-
206. two i rozpowszechnienie literatury angielskiej, znaczenie
207. kolonji i emigracji dla żywotności narodów; nasze poło-
209. żenie obecne, na czem możemy budować nadzieje, warunki
210. i skutki emigracji, czy emigrantom grozi wynarodowienie?
213. jak temu zapobiedz?

XVIII. Prusacy i Persowie (Świat, czerwiec 1908) str. 214

214. Walka wiekowa Persów z Grekami, Zarathustra i Luter,
216. czem są Prusacy?, ich walka ze Słowianami, jak się
217. skończy? co mają do stracenia? — jaka im grozi już rychło

218. powrotna fala? państwa zaborcze wszędzie dziś upadają,
 219. państwa narodowe się mnożą ciągle, o co się toczy osta-
 220. teczna walka?

XIX. Rozbiór Turcji (Świat, Paźdz. 1908 r.) str. 221

221. Porównanie Turcji z Polską jako pierwowzorem państwa
 222. narodowego, a także z innymi państwami zaborczymi, re-
 223. ligijny charakter podbojów tureckich, porównanie Turcji
 224. z Austrią, aneksja Bosnii, zwycięstwo Krety, co nam z tego?
 225. budzące się życie narodów przeistacza najpotężniejsze
 226. współczesne państwa, wzrastające poszanowanie prawa,
 227. porównanie rozbioru Turcji z rozbiorem Polski, wzrost
 228. uznania praw narodowych, państwa turańskie i życie na-
 229. rodowe Słowian, moralna siła Turcji nie zdoła zapobiedz
 231. nieuchronnemu jej upadkowi.

XX. Odrodzenie Śląska w Texasie

(Świat, List. 1908 r.)

str. 232

232. Ksiądz Moczygęba stwarza nową Polskę 60 lat temu w Te-
 233. xasie, ksiądz Jaroń i ksiądz Przyborowski na pustyni, po-
 234. ciągi od Atlantyku do Pacyfiku zatrzymują się w San An-
 235. tonio, Ksiądz Dąbrowski nie wierzy w posty, ale pija!
 236. Falls City, zamożna polska kolonia w pustyni, niebywała
 237. płodność emigrantów w Texasie naokoło Panny Marji, te-
 238. lefoniczna rozmowa, gościnność Gabrysia, droga w nocy
 239. przez błoto, filozofja mieszkańców pustyni wszędzie bywa
 240. jednakowa, wóz Drzymały z kąd się bierze w Ameryce?
 241. niezwykle doświadczenie, ubóstwo ewangeliczne kapłanów
 244. polskich, rasowy impuls, wzorowe małżeństwa, czystość
 245. wymagana od narzeczonych, łożo księdza Moczygęby, pol-
 246. skie zakonnice, Mickiewicz im nie znany, ale przynajmniej
 247. śpiewają śpiewy narodowe, ksiądz Jaroń, bezinteresowny
 248. filozof, sympatja jego dla elsów, Piastowie Marcinowskiej
 249. gdzie jeszcze żyją? Bergsona *élan originel*, zastosowanie
 250. jego teorii, skarbnik miasta Chicago, warto wędrować do
 251. amerykańskiej Częstochowy, misje Jezuickie.

Ważniejsze pisma W. Lutosławskiego.

1. **Ludzkość odrodzona.** Wizje przyszłości. Cena w oprawie 1 rs. 60 kop., dla kolportażu 3 egz. za 3 rs. 20 kop., jeśli żądać w imieniu autora u nakładcy. Warszawa 1910.

W dziele tem autor ukazuje obraz przyszłości społecznej i narodowej, która będzie wynikiem nadchodzącej wielkiej wojny. Wskazuje też środki, za pomocą których każdy Polak może się przyczynić do urzeczywistnienia tych ponętnych marzeń.

2. **Rozwój potęgi woli przez psychofizyczne ćwiczenia,** w 2-m ulepszonej wydaniu, Warszawa. Cena w oprawie 1 rs. 20 kop., dla kolportażu wyjątkowo 3 egz. za 2 rs. 40 kop.

Jest to nowe wydanie dzieła, w którym autor opisał swe uzdrowienie z upartej chronicznej choroby, wyczerpującej jego siły, przez zastosowanie doświadczeń starożytnych Hindusów, znanych pod nazwą Jogi. Pierwsze wydanie w 3100 egz. wyczerpane zostało w ciągu roku, a to nowe wydanie zawiera uzupełnienia, które je czyni cennem nawet dla tych, co posiadają pierwsze. Wskazane ćwiczenia okazały się nieocenione dla wielu czytelników cierpiących na brak zdrowia i żywotności lub na osłabienie woli.

✓ 3. **Logika ogólna, czyli teoria poznania i logika formalna,** Warszawa 1909. Cena w oprawie 1 rs. 50 kop.

Dzieło to zawiera klasyfikację głównych poglądów na świat i zarys metafizyki eleuteryzmu, która stanowi podstawę naukową dla wniosków zawartych w *Ludzkości Odrodzonej*. Jest przystępnym dla samouków i stanowi jedyny w swoim rodzaju podręcznik ścisłego myślenia, z licznymi zadaniami i ich rozwiązaniami.

✓ 4. **Nieśmiertelność duszy i wolność woli.** Warszawa 1909. Cena 60 kop.

Dzieło to w bardzo przystępny sposób doprowadza czytelnika do świadomości swej nieśmiertelnej jaźni i do poczucia wolności, co stanowi niezbędne wstępne szczeble dla rozbudzenia świadomości narodowej, na której się opiera cały obraz „*Ludzkości Odrodzonej*“.

✓ 5. **Początki filozofii greckiej.** Warszawa 1910, Cena w oprawie 1 rs. 20 kop.

Zawiera krótki i jasny obraz początków rozwoju myśli europejskiej przed Platonem, z punktu widzenia polskiego czy-

tełnika, i z wieloma porównaniami greckich myślicieli z polskimi wieszczami. Ułatwia to zrozumienie odrębności naszej narodowej, więc przyczynia się do rozbudzenia narodowej świadomości i przez to przygotowuje do przyjęcia ideałów Ludzkości Odrodzonej. Dalszy ciąg tego dzieła stanowi:

6. **Platon jako twórca idealizmu.** Warszawa, 1899. Cena 50 kop.

7. **Darwin i Słowacki.** Warszawa 1909. Cena 30 kop.
Jest to pierwszy wykład publiczny autora, wygłoszony w Warszawie 23 List. 1908 r., po długiej nieobecności w kraju. Zawiera porównanie dwóch teorii ewolucji, polskiej i angielskiej.

8. **Losy jaźni u Słowackiego,** Kraków 1910. Cena 30 kop.
Zawiera zestawienie najważniejszych ustępów, wyrażających poglądy Słowackiego na przeszłość i przyszłość jaźni ludzkiej. Rozprawa ta stanowi poetyczne uzupełnienie dzieła o nieśmiertelności duszy i wolności woli.

9. **Religja w życiu narodowym.** Warszawa 1909. Cena 30 kop.

Zawiera wyjaśnienie stosunku wiary do wiedzy, religii do kościoła, kościoła do narodu.

10. **Eleusis. czasopismo elsów,** t. I, Kraków 1903

Cena 2 rs.

Tom ten jest całkowicie napisany przez W. Lutostawskiego pod różnymi pseudonymami i zawiera sprawozdanie z jego działalności społecznej, a także poglądy na metafizykę płci, emancypację kobiet, koedukację, wychowanie narodowe, reformę społeczną przez kobiety.

11. **Seelenmacht, Abriss einer zeitgemässen Weltanschauung,** Leipzig, Engelmann 1899, cena w oprawie 5 rs.

W dziele tem autor daje całokształt swego poglądu na świat przed swem nawróceniem religijnem, które nastąpiło w 1900 r. Tutaj po raz pierwszy występuje nazwa i treść ełetyzmu.

12. **Un grand initiateur, Adam Mickiewicz,** Genève, Georg et Cie, 1902 cena 60 kop.

Wykład wstępny, wygłoszony z katedry Mickiewicza w Lozannie, przedstawia go w nowem świetle.

13. **The Origin and Growth of Plato's Logic,** reissue, London Longmans 1905, cena 3 rs.

VIII

✓ 14. **Z dziedziny myśli.** Kraków 1900.

Dzieło to było pierwszym obszerniejszym polskim dziełem autora, i zawiera szereg rozpraw o zasadniczych zagadnieniach etyki i metafizyki. Pozostaje nie wiele egzemplarzy na składzie w księgarni Krzyżanowskiego w Krakowie.

Wkrótce wyjdzie w Paryżu dzieło W. Lutostawskiego p. t.

15. **Psychologie théorique et pratique de la volonté,**

Paris 1911, cena 7 fr. 50 centymów; dla tych co zaprenumerują u Gebethnera i Wolffa w Warszawie przed 1 Października 1911-go roku niższa do 2 rs.

Nadto można nabyć następujące odbitki artykułów, nie będących w powszechnym obiegu księgarskim, za pośrednictwem nakładców innych dzieł tegoż autora:

16. Psychologie des conversions, 60 kop.
17. Z dziejów wstrzemięźliwości, 30 kop.
18. The Polish nation, 90 kop.
20. Eine neuaufgefundene Logik, 60 kop.
21. Sur une nouvelle méthode de déterminer la chronologie des dialogues de Platon, 90 kop.
22. Kant in Spanien, 60 kop.
23. Genèse de l'éleutherisme, 90 kop.
24. El Personalismo, 90 kop.
25. Teoria della Stilometria, 90 kop.
26. О значении и задачах историч философии 60 kop.
27. Ueber die Echtheit und Reihenfolge der platonischen Dialoge, 90 kop.
28. Principes de stylometrie, 90 kop.
29. Komunja wiernych, 15 kop.
30. Listy robotnika polskiego, 30 kop.
31. Rudolf Steiners sogenannte Geheimwissenschaft, 60 k.
32. Słowacki's centenary, 60 kop.





92257

17